

HISTORIA JEDNEJ MANIPULACJI

Jak na Polaka zrzucono winę
za prześladowanie Żydów



TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

NR 8/413 22-28 LUTEGO 2021

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Stronnik Gowina
o kulisach walki o władzę
w Porozumieniu

ŻYCIE CODZIENNE
W SZWECJI

– WALKA
Z COVID-19
BEZ LOCKDOWNU



Warzecha kpi
z klimatycznych rad
Billa Gatesa

Zwodniczy czar mesjasza lewicy

HOŁOWNIA KONTRA KOŚCIÓŁ

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829



9 772299 850000

Nakład: 57,5 tys. egzemplarzy



WIZJONERZY

ZDROWIA 2021

**„PRZYSZŁOŚĆ OCHRONY ZDROWIA
W POLSCE 2021–2023”**

**NAGRODY DLA WYBITNYCH OSOBOWOŚCI
ŚWIATA MEDYCYNY ORAZ SYSTEMU OCHRONY ZDROWIA,
LUDZI, KTÓRZY ZMIENIAJĄ POLSKĄ MEDYCYNĘ
I OPIEKĘ NAD PACJENTAMI.**

**INFORMACJE I ZGŁOSZENIA DO NAGRODY NA:
dorzeczy.pl/wizjonerzy-zdrowia**

PARTNER STRATEGICZNY





W RZECZY SAMEJ

Między cynizmem a obłudą

PAWEŁ LISICKI

Kobiety muszą mieć prawo do decydowania o własnym szczęściu i życiu. Dlatego stajemy dziś po ich stronie. Po stronie cywilizacji szacunku do drugiego człowieka i wiary w niego. Cieszę się, że mogłem dziś o tym powiedzieć – w taki sposób Borys Budka tłumaczył decyzję władz Platformy, która zamierza dążyć do liberalizacji ustawy aborcyjnej. Według największej partii opozycyjnej aborcja powinna być dostępna do 12. tygodnia ciąży. Żeby jej dokonać, potrzebne będą powołanie się kobiety na trudne warunki osobiste oraz konsultacja z lekarzem i psychologiem. Dodatkowo, uznały władze PO, należy przywrócić dotychczasowe przesłanki, zezwalające na dokonanie tego zabiegu, sprzed wyroku Trybunału Konstytucyjnego. Komentarz Marcina Kierwińskiego: „Jesteśmy chadecką partią, tak. Szacunek do godności innego człowieka to postawa chrześcijańska”.

Nie wiem, co w tych głosach bardziej uderza: cynizm czy obłuda. Może najpierw sprawa najważniejsza, czyli istota sporu. W całej debacie nad aborcją najważniejsze jest jedno pytanie: Czy płód w łonie matki jest od chwili poczęcia człowiekiem? Jeśli tak, to przysługiwać powinna mu pełna obrona praw – tak jak każdej innej osobie ludzkiej. Nie ma tu zatem nic do rzeczy obrona god-

ności kobiety czy szacunek dla niej – tych nikt nie podważa ani nikt nie neguje. Jednak wyrazem szacunku dla jednej osoby nie jest nigdy przyznanie jej prawa do zabijania innej, niewinnej.

Jedynym możliwym kontrargumentem w tej debacie byłoby stwierdzenie, że płód nie jest człowiekiem, lecz jedynie, konsekwentnie, zbiorem tkanek i komórek, rodzajem, powiedzmy, wrzodu lub narośli. Ci, którzy tak uważają, muszą jednak wyjaśnić, w jaki sposób z tego przypadkowego zbioru komórek powstaje obdarzony pełnią praw człowiek – tym bardziej że istnieje ścisła i całkowita tożsamość, co się tyczy kodu DNA i życia biologicznego, między tym rzekomo „niebędącym człowiekiem zbiorem” a dzieckiem, które wychodzi na świat z łona matki dziewięć miesięcy po poczęciu. A więc w którym momencie zbiór komórek staje się osobą? Każda cezura – 12 tygodni, 16 tygodni, 8 tygodni, 24 tygodnie – może mieć wyłącznie charakter arbitralny. Jak widać, w tej argumentacji w ogóle nie trzeba się odwoływać do religii – jest ona oparta na rozumie i przekonaniu o istnieniu prawa natury.

Innaczej, gdyby przyjąć stanowisko aborcjonistów i myśleć konsekwentnie, należałoby uznać, że również już narodzone dziecko nie może być podmiotem praw i obowiązków. Godność, rozumiana jako coś wewnętrzne-go i nieusuwalnego, przynależącego osobie ludzkiej jako takiej, w ich myśleniu się nie mieści. Przyznanie komuś godności byłoby arbitralną decyzją państwa, efektem umowy społecznej, a nie odpowiedzią na wiążący człowieka stan rzeczy. Gdyby jednak tak było, godność stałaby się czymś płynnym. W efekcie okazuje się, że prawo zabezpieczałoby interesy najsilniejszych – zdrowych, świadomych, tych mogących decydować w imieniu innych, którym tego prawa odmówiono, czyli właśnie dzieci w łonie matki

albo, kolejna konsekwencja, ludzi ciężko, nieuleczalnie chorych.

Raz uruchomiony system działa z bezwzględną koniecznością, odbierając stopniowo ochronę kolejnym grupom obywateli – dokładnie tak dzieje się w niektórych państwach Zachodu. Coraz częściej mówi się w nich o aborcji do dziewiątego miesiąca ciąży, coraz szerzej przyznaje się prawo dokonywania eutanazji. Tak zwane prawo do aborcji i do eutanazji to dwie strony tej samej monety: odrzucenia bezwzględnych norm chroniących niewinne ludzkie życie. Decyzja liderów Platformy oznacza zatem, w tym sensie, prawdziwy przełom cywilizacyjny i jest, używając języka Jana Pawła II, wypowiedzeniem się za cywilizacją śmierci.

Czy politycznie będzie ona skuteczna? Czy, innymi słowy, uda się przekonać do zagłosowania na PO większość Polaków? Trudno powiedzieć. Może być tak, że politycy opozycji na tym zyskają. Może jednak zdarzyć się inaczej: są przecież zakładnikiem lewicowych radykałów, dla których jakiekolwiek ograniczenie rzekomego „prawa” kobiet jest czymś nieznośnym.

Ważne, rzecz jasna, dużo zależy, rzecz jasna, od postępowania PiS i szerzej prawicy. Do tej pory można odnieść wrażenie, że politycy PiS zachowują się, jakby bali się sami wyroku TK, i zamiast bronić jego słuszności – a w tej sprawie raczej mieliby po swojej stronie – oddali pole przeciwnikom. Czy radykalny zwrot PO obudzi PiS? Jeśli prawica nie ulegnie szantażowi i nie da sobie narzucić języka lewicy, jeśli odważnie będzie nazywać zabójstwo zabójstwem, a nie prawem do wolności – tak jak to się stało w przypadku PO – to platformerski zwrot może się okazać punktem krytycznym: momentem, który pozwoli odzyskać polityczną inicjatywę. Na szczęście w Polsce zwolennicy zabijania niewinnych wciąż są w mniejszości. ©©

RYСУNEK TYGODNIA

„Chodzi mi o to aby język gietki powiedział wszystkim co pomyśli głowa”



TEMAT TYGODNIA

14 PIOTR SEMKA
KTÓREMU PANU SŁUŻYĆ...
Zwodniczy czar mesjasza lewicy

17 MACIEJ PIECZYŃSKI
DUSZPASTERZ ABORTERÓW



KRAJ

20 ROZMOWA Z JANEM STRZEŻKIEM
MY Z KOALICJI NIE WYCHODZIMY
Rozmowy Gowin-Tusk nie było

22 TOMASZ ROWIŃSKI
MINIMUM PRYZWOITOŚCI

26 PIOTR SEMKA
ZDZISŁAW NAJDER
– KONRADYSTA PRAKTYCZNY

28 KRYSZTOF KRATIUŁ
MŁODZIEŻ SPOLARYZOWANA

30 ROZMOWA Z DR. HAB. RAFAŁEM
CHWEDORUKIEM
MŁODZI NIE ZAGŁOSUJĄ JUŻ NA PIS

32 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
PLAKAT, KTÓRY UWIERA



KULTURA

34 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
PRZEMYSŁ POGARDY
Narodowe nakręcanie słabych filmów

36 PIOTR GOCIEK
ZDARZYŁO SIĘ W TEKSASIE



38 REMIGIUSZ WŁAST-MATUSZAK
PASZPORTY ANTYKULTURY

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

46 ŁUKASZ WARZECHA
FAŁSZYWY ALARM
Weryfikacja utopijnych pomysłów
klimatycznych totalistów

HISTORIA

48 ADAM ZUBEK
POTĘGA ŚNIEGU
Tajemnice zimy



ŚWIAT

52 MAREK JUREK
WASZYNGTON-WARSZAWA-MIŃSK
Iluzja wolnej Białorusi

54 OLIVIER BAULT
RZĄD HYBRYDOWY WE WŁOSZECH

56 ŁUKASZ ZBORALSKI
SZWECJA WCIAŻ CZYNNĄ

EKONOMIA

60 ROZMOWA Z MARKIEM DIETLEM
DZIĘKI AKCJOM WCIAŻ
MOŻNA ZOSTAĆ MILIONEREM
Prezes GPW: Warszawska giełda
jest dobrym miejscem do lokowania
środków

64 JAKUB WOZIŃSKI
SKŁADKA NA ARTYSTÓW

66 ROZMOWA Z WANDĄ ZWINOGRODZKĄ
CZAS ŚMIAŁO BRONIĆ
WŁASNYCH INTERESÓW

SPORT

69 DODATEK SPECJALNY – SKOKI NARCIARSKIE
ZIMOWY SPORT NARODOWY
POLAKÓW

O ZDROWIU

76 KATARZYNA PINKOSZ
PRZEŁOMOWE TERAPIE
W NEUROLOGII

FELIETONY: SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK, JASTRZĘBOWSKI (9), GMYZ, GOCIEK (12), ZYCHOWICZ, KOPER (51), PRZYBYLSKI (58), GABRYEL, WARZECHA (63), KOMUDA (78), ŻALEWSKI, WOŁCZYK (80), SIEDLECKA (81), CEJROWSKI (82)

Drodzy Czytelnicy!

Jak co tydzień zapraszamy do przesyłania listów do redakcji. Te elektroniczne prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Senior w cyfrowym świecie

Witam redakcję!

[...] Dużo w naszym świecie nieracjonalnych zachowań i sprzecznych teorii i nie bolałoby to tak bardzo, gdyby nie zmuszano ludzi administracyjnymi decyzjami do tychże nieracjonalnych zachowań, a tak właśnie odbieram pomysł przymusowego zakładania kont bankowych, często przez niepełnosprawnych seniorów, w celu przekazywania rent i emerytur.

Pomysł musiał powstać za biurkiem w głowie człowieka urodzonego i mieszkającego w dużym mieście, który nie utrzymuje bliskich kontaktów ze starszymi członkami swej rodziny, w związku z czym nie wie, z jakimi problemami borykają się ci ludzie. Człowiek ten nie zna również specyfiki życia polskiej prowincji, gdzie nie zawsze dociera Internet, gdzie do najbliższego banku jest czasem kilkadziesiąt kilometrów, gdzie nie kursuje autobus, a jedynym kontaktem ze światem dla samotnego seniora jest listonosz – na razie żywy człowiek, a nie robot.

Wiele lat temu zmuszano nas do zakładania kont bankowych w celu przelewania na nie poborów. Na początku usługa ta była bezpłatna, jak jest dziś, każdy widzi: śladowe oprocentowanie oszczędności i comiesięczne koszty utrzymania konta zjadają nasze pieniądze po kawałeczku.

Senior nie śledzi nowych regulaminów ani ofert banków, które służą jedynie do ukrycia prawdziwego oprocentowania,

senior płaci swe niewielkie rachunki w sposób tradycyjny, nie posiada komputera ani smartfona, ani profilu zaufanego, bo po prostu boi się oszustów, którzy przez telefon proponują swe nieuczciwe usługi. Pomysł cyfrowej obsługi 80-latków służy więc bankom i urzędnikom ZUS, którzy na razie są zadowoleni, bo nie widzą w perspektywie redukcji etatów zatrudnienia, która ich wkrótce dotknie przy takiej polityce, jak wiele zinfornowanych branż.

Najbardziejzie jednak rozśmieszył mnie argument, że emerytury wypłacane na konta ograniczą oszustwa „na wnuczka”. Dziwna to dedukcja, gdy dając pełny dostęp wnuczkom, którzy będą zapewne te konta obsługiwać, do konta bankowego babci i stanu jej oszczędności, motywuje się to dobrem babci :) Zapewne 80 proc. wnuczków poinformuje babcię o swych wypłatach. Ale te 20 proc.? No cóż, pewnie ucieszy się z tej innowacji niepomniernie. Zawsze wnuczki miały większe potrzeby niż babcie. [...]

Jestem jeszcze w miarę sprawnym seniorem, ale w imieniu wszystkich nas proszę: nie uszczęśliwiajcie nas na siłę. Nam naprawdę niewiele potrzeba oprócz stabilizacji i spokoju. Wbrew naszej woli informacje o naszych chorobach i branych lekach są już dostępne w Internecie dla przeciętnego hakera i proszę nie rozśmieszać mnie bajką o RODO. Budujcie sobie swój dziwny wirtualny świat, ale bez nas, nie będziemy wam w tym przeszkadzać. Powolutku usuniemy się i zwolnimy wam przestrzeń zarówno realną, jak i wirtualną.

PS Byłam dziś w poradni lekarskiej, gdzie zdezorientowane babcie usiłowały się dowiedzieć, jak mają pokazać doktorowi e-skierowanie. Chyba nikt przy zdrowych zmysłach nie sądzi, że seniorzy zakładają sobie profil zaufany tylko z tego powodu, by zobaczyć swoje e-skierowanie lub e-receptę, których rosnące wciąż koszty ponoszą podmioty medyczne ze składki zdrowotnej przeznaczonej na leczenie.

Życzę wszystkim cyfrowych kontaktów, cyfrowej pracy, cyfrowych przyjaciół i cyfrowego zdrowia, bo tego normalnego mamy coraz mniej w naszej cyfrowej rzeczywistości.

Pozdrawiam moich
ulubionych redaktorów
Lucyna



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojaś**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociel, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiłowicz

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Łukiewicz, Krzysztof Czałajski, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn,
Marek Jurek, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik,
Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska,
Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torajski, Szwach Weiss,
Piotr Włoczek, Marcin Wolski, Małgorzata Włoczek, Jakub Wozinski,
Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapart

PORTAL DORZECZY.PL redaguje: Karol Gac z zespołem: Zofia Magdziak
(zastępca), Antoni Trzmiel (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej),
Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja), Anna M. Piotrowska,
Małgorzata Puzyr, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk,
Przemysław Harczuk, Paweł Jędrasik

Studio graficzne: Wojciech Niedziółka (szef studia), Jakub Taniś,
Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski
Fotoredacja: Edyta Bortnowska, Przemysław Trzask
Korekta: Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz
Rysownicy: Andrzej Krauze, Cezary Krzypota
Okładka: Piotr Bławicki / DDTVN/EAST NEWS

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu: spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Ilona Weiss, Jolanta Kłoc

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: 539 953 631; Monika Doros, tel.: 508 040 664

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 57,5 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyrażnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/





PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Po co komu Rzeszów?

Prawo i Sprawiedliwość nie rządzi żadnym miastem w Polsce z liczbą mieszkańców powyżej 100 tys. Wielka, sprawująca władzę w kraju już drugą kadencję partia może pochwalić się jedynie prezydentami Chełma (64 tys. mieszkańców) i Stalowej Woli (60 tys.).

I oto zdarzył się cud. Tadeusz Ferenc, wieloletni prezydent Rzeszowa (190 tys. mieszkańców), ogłosił, że pandemia COVID-19 dała mu się na tyle we znaki, iż zamierza zwolnić fotel gospodarza miasta. Ferenc ma już 81 lat i nikogo nie zdziwiło, że w końcu uznał, iż nadszedł czas na odpoczynek. Bardziej zaskakujące było co innego. Jak zadeklarował Ferenc, w najbliższych wyborach chętnie poprze Marcina Warchoła, polityka związanego z Solidarną Polską Zbigniewa Ziobry, rodem z podkarpackiego Niska. Warchoł pełni teraz funkcję wiceministra sprawiedliwości, ale od razu zadeklarował, że chętnie opuści stanowisko i zawalczy o władzę nad stolicą Podkarpacia.

Odchodzący prezydent Rzeszowa Tadeusz Ferenc wywodzi się z Sojuszu Lewicy Demo-

kratycznej i rządzi miastem od 2002 r., ale po 19 latach sprawowania funkcji dziś postrzegany jest bardziej jako samodzielny politycznie gospodarz niż polityk lewicy. Wsparcie Warchoła mogłoby się więc udać.

PiS być może będzie próbował tej samej sztuki. Z wiadomym skutkiem

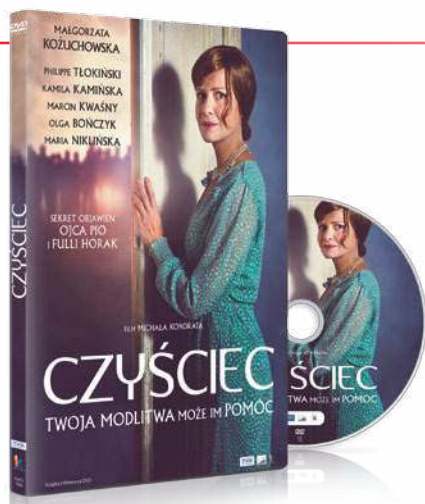
Co zrobiłaby każda partia? Powściągnęłyby emocje, przystąpiły na pozapartyjny wizerunek Warchoła w kampanii, pomagałyby mu po cichu i modliłyby się, aby rekomendacja lubianego w Rzeszowie Ferenc przyniosła efekty. A i tak zwycięstwo nie byłoby oczywistością, bo opozycja nie odda zapewne łatwo pola. W ostatnich wyborach prezydenckich Andrzej Duda wygrał tu minimalnie z Rafałem Trzaskowskim (51 proc. do 49 proc.).

Solidarna Polska ucieszyła się z niespodziewanego daru losu i wysłała szefostwu PiS informację o nadarzającej się świet-

nej okazji do sukcesu. Co na to Nowogrodzka? Podobno entuzjazmu nie było. A jeśli ktoś jeszcze mógł mieć nadzieję, to rozwiął ją komunikat podany przez PAP: „Zarząd Prawa i Sprawiedliwości okręgu nr 23 (Rzeszów) przyjął jednogłośnie stanowisko o konieczności wskazania własnego kandydata w zbliżających się wyborach na prezydenta Rzeszowa”.

Politycy Solidarnej Polski odczytali to jako veto lokalnego PiS przeciw kandydaturze Warchoła. I jakoś im się nie dziwi. W ostatnich wyborach samorządowych w wielu miastach PiS wskazywał zasłużonych 60-latków z nie-nagannym PiS-owskim stażem i pełnym poparciem miejscowych struktur. Jedyny problem był taki, że tacy „śluszni” kandydaci z namaszczeniem Nowogrodzkiej przegrywali z kretesem z „wiecznymi prezydentami” lub kandydatami opozycji.

Teraz PiS być może będzie próbował tej samej sztuki. Z wiadomym skutkiem. No, ale młodziki od Ziobry muszą przecież dostać po nosie. Przecież to jest w tej chwili w Zjednoczonej Prawicy najważniejsze. Nieprawdaż? © ©



ZA TYDZIEŃ Z „DO RZECZY” FILM „CZYŚCIEC”

Najnowszy film Michała Kondrata jest próbą znalezienia odpowiedzi na najbardziej nurtujące pytania o życie po śmierci. Mistyczka Fulla Horak (w tej roli Małgorzata Kożuchowska) pod wpływem pewnego spotkania podejmuje duchowe poszukiwania i powraca do utraconych wartości. Pewnej nocy pogrążonej w modlitwie Fulli objawia się Magdalena Zofia Barat – zmarła 70 lat wcześniej założycielka Zgromadzenia Najświętszego Serca. Od tej pory mistyczkę nawiedzają

inne dusze świętych opiekunów (m.in. Jana Boski, Teresy od Dzieciątka Jezus, Joanny d'Arc) i odkrywają przed nią wiedzę o niebie, piekle i czyśćcu. Poruszający dramat, konsultowany z teologami i naukowcami badającymi stan świadomości człowieka w momencie śmierci, będzie można kupić z najbliższym wydaniem naszego tygodnika. Specjalne wydanie „Do Rzeczy” z płytą DVD i książeczką w salonach prasowych i kioskach już od 1 marca w cenie 29,99 zł. © ©

oprac. raw



HORYZONT

NARAMOWICE

PREMIERA INWESTYCJI w Poznaniu



www.grupainwest.pl +48 882 818 848

eprasa.pl d661ad10ef





RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Koniec epoki

Oburzenie, jakie wzbudziła w obozie lewicowo-liberalnym nominacja Tomasz Greniucha na szefa wrocławskiego IPN, jak zwykle w takich przypadkach trąci hucpą i obłudą. Zaznaczam, że nowego szefa oddziału nie znam, o jego dorobku nic nie wiem i zresztą nie mam szans się z dotyczących go publikacji dowiedzieć, bo jedynym powodem, dla którego, zdaniem miłośników „tolerancji”, ma on mieć do końca życia wilczy bilet, jest fakt przynależności przed laty do radykalnej organizacji narodowej i wygłoszona gdzieś opinia, że hajlowanie to niekoniecznie hajlowanie, bo „salut rzymski” jest gestem znacznie starszym od nazizmu. Opinia, moim skromnym zdaniem, analogiczna do częstego w liberalnych

mediach twierdzenia, że „tęcza nie obraża”, bo to przecież, he, he, biblijny symbol przymierza z Bogiem.

Rzecz w tym, że ci, którzy przeszłość dr. Greniucha uznają za absolutnie niewybaczalną, nawet jeśli się od niej dawno odciął, nie mają najmniejszych zahamowań, jeśli idzie o zaakceptowanie członków innych radykalnych organizacji – i to takich, którzy z radykalizmu bynajmniej nie wyrosli. I to nawet nie tylko organizacji lewackich, których przedstawicieli łatwo wskazać w ratuszach rządzonych przez PO i Lewicę miast czy wśród personelu posłów tych partii. Nikt na salonach jakoś

nie wyrzuca dziś Michałowi Kamińskiemu, że swą nader popłatą polityczną drogę zaczynał w Narodowym Odrodzeniu Polski. Nikt nie brzydzi się Romanem Giertychem, choć ten do radykalnej organizacji narodowej nie tylko należał, lecz także, kiedy podobnie jak Kamiński uznał, że drogą do kariery politycznej jest odgrywanie narodowego katolika, sam takową założył.

Prawdziwą „winą” dr. Greniucha nie jest więc to, gdzie należał przed laty, ale to, gdzie pracuje obecnie – a jego dawne występy w ONR to tylko pretekst do uderzenia w instytucję, którą PO i Lewica obiecują rozwiązać. Wszystko jak zwykle. ©

OD POCZĄTKU

Dżungla fundamentalizmów



MAREK JUREK

Chesterton mawiał, że świat współczesny jest pełen cnót chrześcijańskich, które powariowały i rozbiegły się każda w swoją stronę. Szacunek zamienił się w totalitarną poprawność polityczną, wyrozumiałość – w represyjną tolerancję, miłość do innych – w (skrywaną) nienawiść albo (jawną) niechęć do swoich. Tak się stało, gdy kultura straciła zmysł dobra wspólnego (więc harmonii i wzajemnego powiązania wartości) oraz odniesienia uniwersalne (do Boga i normatywniej etyki).

Wypreparowane i wyabsolutyzowane wartości nie tolerują żadnych „rozsądnych wyjątków” i „koniecznych granic”. Weźmy karę śmierci. Przecież wszyscy są jej

przeciwni, tak jak aborcji, bo przecież nikt nie uważa, że powinna być rutynowym narzędziem prawa karnego. „Czyż więc ogólny zakaz kary śmierci nie mógłby zawierać paru »rozsądnych wyjątków«?” – zapyta Umia. „Przepraszam, chyba sobie kpisz! Egzekucję nazywasz wyjątkiem!?” – zatrzęsie się Moralne Oburzenie.

I tak wchodzimy w świat, w którym prawo do życia mordercy, wsparte antypaństwową fobią, staje się absolutne, a prawo do życia niewinnego dziecka, z furją atakowane przez „prawo do własnego ciała” i „wolność wyboru”, podlega stopniowej, ale totalnej anihilacji. Te oszalałe cnoty łatwo bowiem atakują i oskarżają, ale prywatnie nikogo do niczego nie zobowiązują.

Jeśli więc w tym świecie oszalałych fundamentalizmów nie chcemy zapomnieć (i pozwolić zapomnieć), że choć „tak wielką uwagę zwraca się na szacunek dla każdego życia, nawet dla życia przestępcy”, to „przykazanie »nie zabijaj« ma wartość absolutną” właśnie „w odniesieniu do osoby niewinnej” (Ewangelium Vitae 57) – musimy ocalić prawo do życia jako takie, jako zadeptaną przez rozszałałe fundamentalizmy zasadę. Ocalić, więc przypominać, że w tym wypadku nie chodzi o abstrakcyjną normę, ale o każdorazowo ginącego człowieka. Nie przestępcę, ale niewinne dziecko. Nawet to, które – jak mówi prezydent Duda – i tak umrze. ©



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Italia: krajobraz po bitwie

Powoli opada pył bitewny. Wyłania się z niego nowy rząd geniusza finansów prof. Maria Draghiego, przed którym podobno Bruksela, Berlin, Paryż i Waszyngton padają plackiem. Równocześnie jednak pojawiają się obawy, że zmiana jest doskonałą ilustracją słów z „Lamparta” di Lampedusy: „Jeśli chcemy, by wszystko zostało, jak jest, to wszystko musi się zmienić”.

Wypożyczony w trybie nagłym z uniwersytetu do polityki poprzedni premier Giuseppe Conte wraca na florencką uczelnię. Ci, którzy obiecywali, że oddadzą za niego życie, znaleźli sobie nowego idola. Co gorsza, aż dziewięciu członków fatalnego rządu Contego nadal jest ministrami. To efekt targów nowego premiera z partiami.

34-letni chłopiec Luigi Di Maio w dalszym ciągu jest szefem MSZ, ale Włosi pocieszają się, że będzie tam teraz sortował papiery, bo politykę zagraniczną poprowadzi Draghi, który z możliwymi tego świata jest na „ty”. Pozostał również minister zdrowia Roberto Speranza, który z wrodzoną skromnością popełnił w lecie książkę o tym, jak wygrał wojnę z koronawirusem. Tymczasem

wirus ma się świetnie, a książka poszła na przemiał.

Bardzo interesująca jest nominacja na ministra pracy Andrei Orlando. Pan Orlando nie splamił się pracą w życiu swoim. Po maturze został działaczem partyjnym. Był komunistą, a teraz jest wiceszefem największego ugrupowania lewicy – Partii Demokratycznej.

Natomiast nie wszedł do rządu Vincenzo Spadafora, minister sportu Contego. Zbożna działalność Spadafora na tej niwie o mało nie doprowadziła do wykluczenia włoskich sportowców z udziału w najbliższych igrzyskach w Tokio. Być może dlatego premier Draghi postanowił, że w jego rządzie ministerstwa sportu nie będzie. Słusznie. Primum non nocere.

Natomiast Spadafora pytany o swoją działalność ministerialną odpowiedział, że było to wspaniałe doświadczenie, bo nigdy przedtem nie miał ze sportem niczego wspólnego, co mówi wszystko o kompetencjach poprzedniej ekipy. Zdaje się, że w Polsce mieliśmy podobny przypadek. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

CZYTAJ TAKŻE „RZĄD HYBRYDOWY WE WŁOSZECH” NA STR. 54



ĆWIERKOT

Sławomir Jastrzębowski

Fundamenty na kółkach

Spieszmy się kochać posłów, tak szybko przechodzą – z autodystansem rzecz mógłby śp. ks. Twardowski, gdyby obserwował w minionym tygodniu Twitter. Całkiem sporo ożywczego zamieszania mieliśmy dzięki posłance Paulinie Hennig-Klosce z Nowoczesnej. (Tak, tak, jest jeszcze taka partia.

Przypomnę, że do roku 2017 ta partia nazywała się Nowoczesna Ryszarda Petru. Czemu już się tak nie nazywa? Nikt tego nie wie). Otóż Łukasz Szpyrka puścił na Twitterze przeciek, że pani poseł Paulina dołączy do Polski 2050 Szymona Hołowni. Na co kąśliwie i niezwłocznie odpowiedziała poseł Paulina z Nowoczesnej w te słowa: „Rozumiem, że plotki to sól pracy dziennikarzy, ale nie zawsze prawdziwe. Warto sprawdzać u źródła”. Następnie podłą plotkę zdementowała także Katarzyna Lubnauer, była szefowa Nowoczesnej: „Dementuję tę informację. Paulina nigdzie nie idzie”. Następnie Paulina poszła, do Szymona Hołowni poszła, co zresztą sama obwieściła. Następnie odbył się rytuał zdziwienia oraz niedowierzania zabarwiony wzburzeniem. Dziennikarka Dominika Długosz zadała publicznie pytanie: „Pani poseł, przecież na korytarzu w Sejmie mówiła pani do nas w czwartek, że nie może pójść do Hołowni, bo się nie zgadzacie w sprawach fundamentalnych. Jest to poziom absurdu, który nawet mnie – po 25 latach pracy z politykami – zaskakuje”.

Kiedyś widziałem w telewizji takie wieżowce w Japonii na kółkach. Serio. Wieżowce na kółkach. Gdy było trzęsienie ziemi czy jakaś drzączka, a tam są dość często, to ten wieżowiec się nie zawalał, tylko przemieszczał trochę na tych kółkach, w korzystną stronę. Myślę, że część polskich polityków tak samo traktuje fundamenty, że są na kółkach, że im mogą się od czasu do czasu te fundamenty przemieścić w korzystną stronę. Owieczna walka honoru z pożywieniem...

Zostawmy jednak politykę i przejdźmy do tego, czym naprawdę żył Twitter. Otóż Marcin Najman stoczył swoją 248. pożegnalną walkę w ringu. Tym razem walczył z taksówkarzem. Ulubione powiedzenie cwaniakowatych menedżerów po skróconym kursie rozwoju osobistego brzmi: „Jedyną stałą rzeczą w życiu jest zmiana”. Otóż Marcin Najman po raz kolejny udowodnił, że te kursy to lipa. Są rzeczy absolutnie niezmiennie: Marcin Najman przegrał, co na TT komentowano w wielkich emocjach. Niepotrzebnie, naprawdę powinniśmy szanować wojowników, którzy nigdy, przenigdy się nie poddadzą. ©©



FOT. PAVEL GORDON

JAK TRACIĆ, TO Z PRZYTUPEM

Michał Wiśniewski, lider zespołu Ich Troje, postanowił powspominać swoje życie w okresie, gdy był na szczycie sławy. Wyjaśnił, że do 2005 r. zarobił blisko 40 mln zł, ale większość z tego majątku przehulał. Na koniec zaś został bankrutem. – Sytuacja jest bardzo prosta. Jeśli zarobisz 40 mln, musisz odprowadzić od tego blisko 10 mln podatków. Gorzej, jeśli go odprowadzisz, a sam nie dbasz o finanse. Nie jestem pierwszą osobą, która sobie z tym nie poradziła. Lista nazwisk jest bardzo długa, z Michaeliem Jacksonem na czele – opowiada gwiazdor. – Kupowało się bezsensownie samochody, samoloty, mieszkania, łódki. Całą masę pierdół, których dziecko z domu dziecka na oczy nie widziało – wyliczał. Wiśniewski dodał też, że większość pieniędzy stracił przez fałszywych przyjaciół, a nie przegrał w karty, jak sugerowały media. – Nie jestem profesjonalnym pokerzystą. Nie wrzuciłem nigdy w pokera pięciu złotych. Poker to pasja, ale bardzo często mówiło się, że ja przegrałem te pieniądze, ale nie, proszę państwa, gdybym przegrał, tobym zrobił z tego zdjęcia i relację. A tego nie ma – zapewnił. I my mu wierzymy! Jak już przegrywać 40 baniek w karty, to musowo wrzucić jakieś zdjęcia na Instagram! Może chociaż część by się zwróciła!

SZACUNEK NA SPRZEDAŻ

Celebryta Michał Piśroń, który był kiedyś jurorem w jednym z tanecznych show TVN, teraz wiesza psy na swoich kolegach z show-biznesu, którzy zdecydowali się wziąć udział w tanecznym show konkurencji, czyli w TVP. Nie przebiera przy tym w słowach, mówiąc górnolotnie, że „historia oceni ich decyzje”.

„»You can dance« to dla mnie piękne wspomnienia. Wszystko się kończy, by zacząć mogło się nowe. Zmieniał się skład jurorski oraz prowadząca. Aż jestem w szoku, że połowa tego składu wybrała się na bal reżimowej telewizji. Mówiąc: »To tylko rozrywka«” – napisał w mediach społecznościowych.

„Fakt. Na balach u wielu sku...eli zawsze grała jakaś orkiestra, tańczył jakiś balet, grali jacyś aktorzy i to jest w tym najgorsze. Oczywiście to moje subiektywne odczucia. Każdy robi, co chce, i podejmuje dobre dla siebie decyzje. Jedni uprawiają seks, bo kochają partnera/partnerkę, inni, bo kochają seks, a inni, bo kochają pieniądze” – dodał Piśroń. Znany głównie z domagania się dla siebie tolerancji i szacunku.

KANAŁ KOMPLEKSÓW

Paulina Młynarska postanowiła napisać, co myśli o nowym programie Małgorzaty Rozenek, w którym

ta pod okiem kamer i tabunu ekspertów, dietetyków, lekarzy od medycyny estetycznej, trenerów próbuje wrócić do formy po ciąży. Młynarska uważa, że Rozenek robi tym programem dużą krzywdę wszystkim polskim kobietom. „Nasza Egeria przez chwilę zeszła na ziemię i musiała zmierzyć się z biologicznym realiem życia w ludzkim ciele kobiety. Urodziła i utyla! Teraz palec wymierza więc w samą siebie: trzeba z tym zrobić porządek! Migiem! Nie można tolerować podtytego, podmęczonego ciała macierzyńskiego z rozstępami i zmarszczką przy ustach!” – pisze złośliwie Młynarska. „Życiowe spojrzenie na kobietę, która niedawno została mamą, której ciało i psychika jeszcze nie przepracowały ciąży i porodu, nie polega, do ciężkiej cholery, na zapędzaniu jej do obróbki, do sprawowania kontroli nad ciałem, aby jak najszybciej znowu grzecznie spełniało chore, wyznaczone przez przemysł i media, kompletnie nierealistyczne standardy estetyczne” – denerwuje się w dalszej części swojego wpisu. Na koniec podkreśla jeszcze: „Małgorzato Rozenek, grasz na siebie, a nie na rzecz innych kobiet. Nie namawiasz ich do żadnego »życiowego spojrzenia na siebie«. Wręcz przeciwnie. To, co robisz i jak wyśrubowałaś własny standard wyglądu, wpędza kobiety w kanał kompleksów”. Tak jakby Perfekcyjną Lady Rozenek obchodziły kompleksy innych kobiet. Najważniejsze, że miała okazję, by szybko pozbyć się własnych. I to jeszcze na koszt TVN!

RUSZ TEŻ GŁOWĄ

Małgorzata Rozenek postanowiła jak najszybciej potwierdzić prawdziwość słów Pauliny Młynarskiej i na swoim Instagramie zamieściła motywujący wpis, by każda kobieta zaczynała swój dzień od jogi, tak jak ona! „Od czego zaczęliście dzień? Od narzekania czy poruszania? Ruch to tylko kwestia decyzji, nie pieniędzy! Wybierz zdrowie. Poruszaj się dziś trochę. Może spacer, może joga, może fitness, rozciąganie, bieganie. Jak wolisz. I odmów sobie czegoś niezdrowego do jedzenia. To wspinały początek. Poczujesz się lepiej i zdrowiej. Obiecuję” – pisze Rozenek. Część jej fanek odpisywała jej, podając własny plan dnia z pytaniem: Gdzie mają wcisnąć tu jogę? Niezrażona Rozenek odpisywała, że „im więcej masz na głowie, tym więcej udaje ci się zrobić, im więcej się ruszasz, tym więcej masz energii! Szkoda, że czasem pani Małgorzata nie ruszy też głową. Może wtedy oprócz energii udałoby się pozyskać coś jeszcze? ©©



FOT. JAKUB KAMINSKI / E&S NEWS



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, iż do szkół wrócili najmłodsze osobodzieci, można znów iść na shopping do galerii (choć na miejscu nie można normalnie jak osoba zjeść przy stoliku, tylko trzeba siedzieć na podłodze, bo widocznie wirus nie roznosi się na wysokości mniejszej niż pół metra od podłoża), jednocześnie rośnie liczba nowych przypadków zakażeń, więc doszły nas słuchy, iż rząd postanowił, aby niebawem ponownie zamknąć stoki narciarskie.

Uh, wszystko przez tych januszy, co zjechały się na weekend w góry. Janusze balowały na Krupówkach w sobotę, przez co zdaniem ekspertów w poniedziałek było więcej zachorowań, a zdaniem innych ekspertów sprowadzi to na ten kraj nową mutację wirusosoby.

Całe więc szczęście, iż zamknięte są stadiony, ale za to otwarte kina i teatry, przynajmniej będzie co zamknąć, chociaż duże sieci kinowe się wciąż nie otworzyły, bo może uznały, że głupio tak się co chwila otwierać i zamykać.

Od tego rozkminiania wszystkich zależności, co przez co i od kiedy znów będzie zamknięte, a co otwarte, to, szczerze mówiąc, już nas głowa boli i jak nie lubimy rządu, tak się nie zdziwimy, kiedy zamkną wszystko, bo serio, nie rozumiemy, jak jeszcze im się chce nad tym wszystkim zastanawiać.

Bardzo niepokojące wieści płyną z różnych stron tego kraju. Otóż Kościół katolicki w XXI w., w dużym

kraju w środku Europy, wciąż decyduje za ludzi, jak mają żyć.

Donosiliśmy Wam niedawno o dyskryminacyjnych praktykach, według których księży nie chcieli dawać bierzmowania osobom manifestującym poparcie prawa do wyboru.

Teraz dodatkowo co chwila z przeżeniem widzimy informację, że a to ksiądz nie dopuścił kogoś do bycia osobą chrześną, a to miał jakieś następne



wymagania co do ślubu kościelnego, no masakra jakaś.

Przecież osoby płodzące powinny móc wybrać na chrześnego dla swojej bombelkoosoby, kogo tylko by zechciały, i naprawdę księży nie muszą wchodzić z butami w czyjeś życie i wypytwać o sprawy prywatne. Czas zaprzestać dyskryminacji osób niewierzących w Kościele i znaleźć dla

nich godne miejsce! Przynajmniej jakiś parytet w episkopacie.

Pewnie widzieliście, że w jednym z seriali żonę jakiegoś króla ze średniowiecznej Anglii zagra aktorka uposażona pigmentalnie. Słusznie domyślacie się, iż wybiło prawackie szambo.

Tak jak się pewnie domyślacie, prawica nie dość, iż zaczęła głądzić o prawdziwej historycznej, to jeszcze zaczęła uprawiać typowy dla siebie whataboutism, iż co by było w sytuacji odwrotnej. Gdyby na przykład Baracka Obamę miał zagrać Tomasz Karolak. Uspokajamy: na tak zadawane pytania nie ma potrzeby odpowiadać, iż to nie jest to samo.

A my, kochani, z utęsknieniem zerkamy w stronę teatru greckiego albo nawet szekspirowskiego, kiedy osoby fallusododatnie odgrywały rolę waginoosób i nikomu to nie przeszkadzało. Fajnie byłoby, gdybyśmy w obsadzeniu ról przestali mieć wzgląd na płęć biologiczną. Chociaż mamy trochę obaw, iż w niektórych kontekstach przestrzeni przez męską dominację. Sami już nie wiemy :/ ©©



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
[FB.COM/MWIZWO](https://www.facebook.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Trybunał pojednania

Gratuluje, Borys, gratuluje. Wreszcie to zrobiliśmy z tą aborcją.

Tak, Gosia, ja też się cieszę.

No?

Co „no”?

No, co dalej? Co teraz?

Ja idę na piwo, jest taki lokal niedaleko, tylko trzeba podpisać umowę, że się testuje jedzenie. Dołączysz?

Nie, to znaczy tak, to znaczy – nie wiem, bo się boję, ale ja nie o to pytam. Co dalej w sensie – generalnie? Z partią, znaczy.

Ale że jak to?

Mamy tę aborcję. I co dalej? Robimy jakiś program bardziej szczegółowy, coś o tych pieniądzech, bo podobno ktoś się tam

czepiał, że nie tłumaczymy, skąd je weźmiemy. A przecież to są różne takie sumy...

... wiem, wiem – które wynikają z różnych takich działań. Ale czego ty jeszcze chcesz? Mamy aborcję, mamy likwidację TVP Info, już naprawdę nie wiem co jeszcze. No dobra, możemy jeszcze jakiś trybunał do rozliczeń PiS-u ogłosić. Projekt, znaczy. Że niby „trybunał pojednania” czy jakoś tak. No chyba jak na poważny program partyjny wystarczy?! ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Zakaz reklamy mięsa, mleka, jaj”.

SYLWIA SPUREK, europosłanka Wiosny, przedstawiając na Twitterze jeden z punktów swojego programu „Piątka dla branży roślinnej”

Dobre wieści dla Krakowa. Premierzy krajów Grupy Wyszehradzkiej podpisali tam deklarację. Wreszcie to piękne miasto będzie się kojarzyć z jakąś deklaracją, którą sygnatariusze traktują w miarę poważnie. Nie tak jak słynna deklaracja krakowska Platformy Obywatelskiej sprzed lat, w której partia zobowiązywała się do obrony rodziny, tradycji i miejsca Polski w chrześcijańskiej Europie.

Prawdopodobnie właśnie z tej okazji – odesłania przez jedną deklarację – innej deklaracji w zapomnienie – PeŁo ogłosiła, że jednak jest za aborcją. Gratulujemy i z utęsknieniem czekamy, czy tzw. konserwatyści z PeŁo wykażą się teraz taką samą determinacją jak w rzucaniu obelg na Jarosława Kaczyńskiego. Może jako pierwszy powie coś wybitny konserwatysta Kazimierz Budyń Ujazdowski?

Oczywiście konserwatyści w PeŁo są – podobnie jak ich dawny prezydent, Bronisław Wąsaty – konserwatystami bezobjawowymi. Co oznacza, że pomruczą w mediach, pomruczą i wszystko rozejdzie się po kościach. Znaczą rozeszłoby się po kościach, gdyby mieli kręgosłupy. Czyli wszystko rozejdzie się raczej po tkankach miękkich.

Dla tych z PeŁo, którzy jednak chcieliby opuścić partię, ale nadal zbyt mocno nienawidzą PiS, brzydzą się Gowinem, a Władka Tygrysa Kamysza uważają za pechowca, mamy rozwiązanie. Nigeria. Były poseł PeŁo John Godson właśnie ogłosił, że będzie kandydować na prezydenta tego pięknego kraju. W jego sztabie przydadzą się doświadczeni konserwatyści. No i za polskie diety w Nigerii będziecie żyć jak królowie. A głosowania sejmowe i tak przez Internet.

Swoją drogą to smutne i zabawne, że jedynym posłem PeŁo, który serio traktował jej konserwatyzm, okazuje się właśnie John Godson. On nawet z partii odszedł, gdy Tusk chciał mu łamać sumienie. Godson jest więc jak ten miły student z Afryki w serialu „Alternatywy 4”, który jako jedyny pojawił się na pracach społecznych i sam musiał skopać cały skwer.

Jak pisaliśmy tydzień temu, przekładany kongres PiS ma się odbyć w drugiej połowie czerwca, ale już wiewiórki

z Nowogrodzkiej sygnalizują, że może to nie wyjść. Gdyż w sumie cały czas nie wiadomo, jak to z pandemią będzie w czerwcu. Pomysł kongresu on-line został stanowczo odrzucony przez szeregowego wicepremiera Jarosława Kaczyńskiego. Trwają próby przekonania go do kongresu hybrydowego – na sali tyłu delegatów, na ilu pozwala reżim pandemiczny, a reszta przez Internet.

dwaj panowie



Pojawia się za to pytanie, czy będą dwa konkurencyjne kongresy Porozumienia. Adam Bielan bardzo serio się bowiem zabiera do organizowania kongresu, włącznie z wyborami władz partii, co niekoniecznie podoba się zwolennikom Długiego Jarosława. Gdyby kongresy były dwa, to pewnie Porozumienia też mielibyśmy dwa. Musiałyby się jakoś różnić. Mamy propozycje nazw. Dla frakcji Gowina – Porozumienie Obywatelskie. Dla tych od Bielana – Porozumienie Centrum.

Mamy fatalną wiadomość dla Jarosława Gowina. Otóż ufa mu Stefan Niesiołowski. Co gorsza, Niesiołowski wierzy w Gowina. Choć niechętnie. Stefan poinformował o swych uczuciach na fejsiku. My w tej sytuacji natychmiast zamknęlibyśmy się w łazience, żeby poważnie przemyśleć swoje życie.

Mecenasowi Romanowi zwanemu Koniem też zostały już tylko media społecznościowe. Od kiedy sąd puścił go wolno, przestał się pokazywać w Polsce. A i tak żyje w nieustannej obawie, że znajdzie się sposób, by mu doręczyć wezwanie do prokuratury. Nie współczujemy.

Klientom Konia też idzie jak córom Koryntu w deszcz. Zapadły pierwsze wyroki w aferze, w którą jest umoczony senator Stanisław Gawłowski. A mecenas przekonywał, że żadnej afery nie było. Sąd jednak uznał inaczej. Nie wróży to dobrze panu senatorowi.

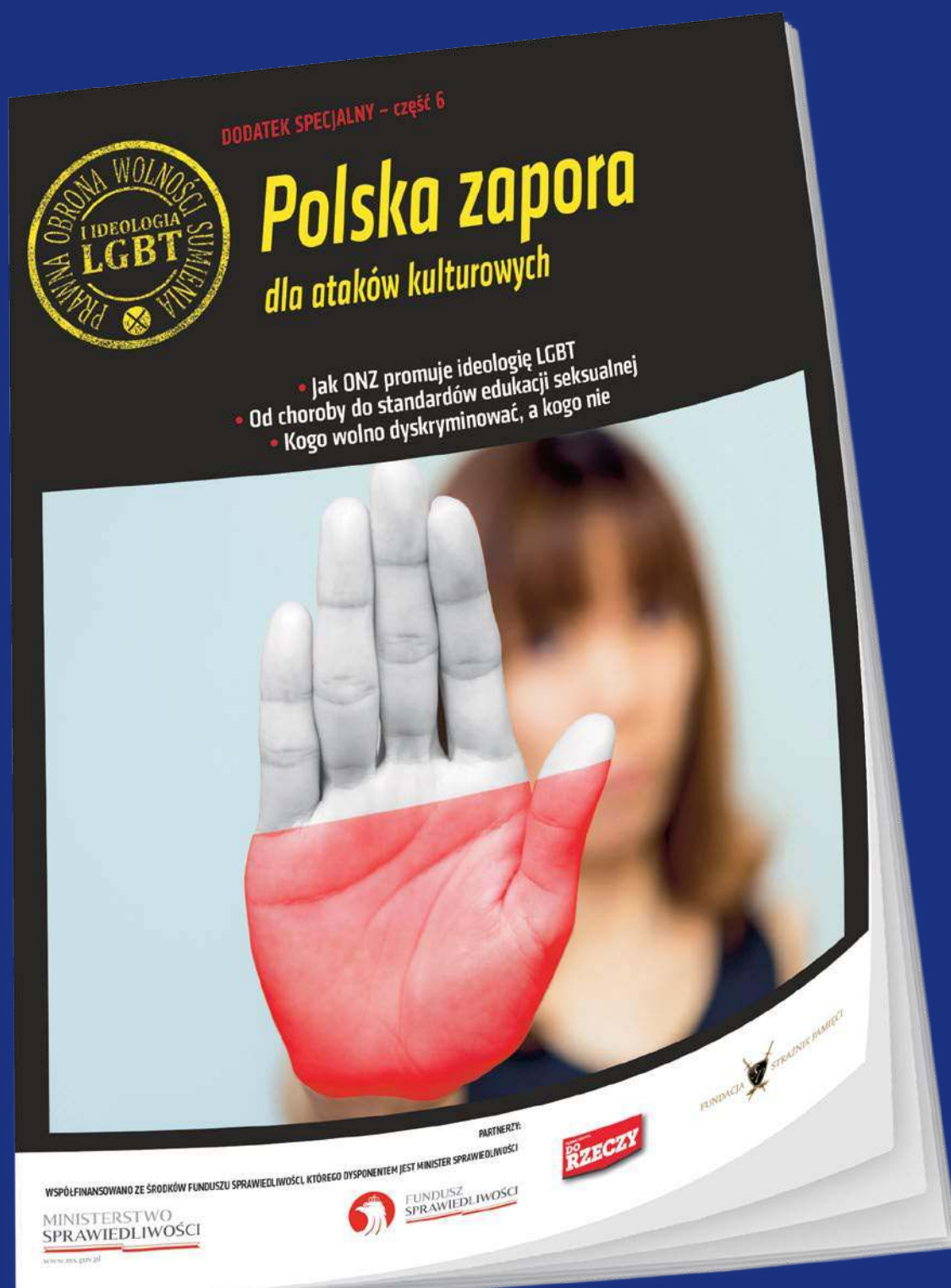
Ujęła mnie wasza autentyczność, pełne przekonanie, że nic nie udacie” – wyznała natomiast publicznie Paulina Hennig-Kloska, przechodząc do Polski 2050 Szymona Świątoszka. Mamy apel do rodziny Pauliny: pilnujcie jej pieniędzy. Z tą łatwowiernością codziennie musi wydawać fortunę na telezakupy.

Paulina będzie miała ciężko w nowej partii, bo ładowanie bzdur jest tam na niesłychanie wysokim poziomie. Czego ostatnio dowiódł Szymon Świątoszek, opowiadając, że działalność Polski 2050 „to ileś uśmiechów, które wywołali, ileś dni w cieple, a nie zimnie, ileś łez, które nie pociekły”. Nie do końca się zgadzamy. A czy Borysława Budki po utracie Joanny i Pauliny?

W związku z powyższym przytaczamy my bon mot. Nie nasz, ale świetny. Aż zzielenieliśmy z zazdrości, że to nie my go wymyśliliśmy. Jak powinno się nazywać koło Szymona Hołowni w Sejmie? Koło łowieckie.

Klamka zapadła. Jarosław Szarek nie będzie prezesem IPN na następną kadencję. Ostatecznie pogrzebało go to, że miał obiecać prezydenckiemu ministrowi Wojciechowi Kolarskiemu odwołanie harcującego Tomasza Greniucha z funkcji szefa oddziału IPN we Wrocławiu. Ale wkrótce po rozmowie się jednak rozmyślił. W tej sytuacji w Dużym Pałacu postanowiono rozmyślić się z obecności 1 marca na uroczystościach ku czci żołnierzy wyklętych na warszawskiej Pradze. Zamiast tego prezydent Andrzej Sebastian pojawi się w katowni NKWD w podwarszawskich Włochach. ©©

Pobierz i czytaj za darmo dodatek w wersji elektronicznej!
www.dorzeczy.pl/dodatki



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl

FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

eprasa.pl d661ad10ef

Jeśli ktoś zakładał, że popularność Szymona Hołowni będzie tylko elementem kampanii prezydenckiej, to można już powiedzieć, że się mylił. W lutowym rankingu zaufania do polityków grupy badawczej IBRiS, przeprowadzonym na zlecenie portalu Onet, Hołownia znalazł się na trzecim miejscu po prezydencie Andrzeju Dudzie i premierze Mateuszu Morawieckim. Uzyskał zaufanie 37,7 proc. osób – to stosunkowo dużo, choć jego polityka angażowania „uciekierców” z Platformy Obywatelskiej osłabiła nieco jego sondaże w stosunku do notowań z początku roku. I tak jednak przewyższa Rafała Trzaskowskiego, który w tym samym badaniu zdobył zaufanie 35,4 proc. respondentów.

Hołownia jest na drodze do uzyskania ważnego dla siebie statusu jednego z dwóch (obok Trzaskowskiego) liderów opozycji. Oznacza to, że prędko z centrum politycznej gry nie da się wypchnąć. Na dodatek – szczególnie na tle np. Borysa Budki czy miewającego różne fazy aktywności Trzaskowskiego – prezentuje się jako lider, który wie, czego chce, góruje nad rywalami obciem medialnym i umiejętnym wykorzystywaniem Internetu.

Jego ugrupowanie Polska 2050 także zyskuje stosunkowo niezłe wyniki w sondażach. W lutowych badaniach agencja Pollster przypisywała mu wynik 15 proc., IBRiS – 20 proc., United Surveys – 17 proc. W sondażu IBSP ruch Hołowni zrównał się z Koalicją Obywatelską – miały po 20 proc. Stworzenie trzyosobowego koła Polski 2050 w Sejmie także wywoła efekt umacniania się „żółtego” ugrupowania w polskiej polityce.

Przyłóżmy ten sukces byłego katolickiego publicysty do dotychczasowych karier osób utożsamiających się z katolicyzmem otwartym w polskiej polityce po 1989 r. Warto porównać dotychczasowe kariery ludzi tego środowiska z tym, co prezentuje aktualnie ambitny celebryta rodem z Białegostoku.

ASCEZA I SŁUŻBA

Najbardziej znanym przykładem kariery polityka z obozu katolicyzmu otwartego po 1989 r. jest w Polsce oczywiście Tadeusz Mazowiecki. Ten pierwszy niekomunistyczny premier po epoce absolutnej dominacji PZPR był przedstawicielem generacji, która była silnie naznaczona wojną, ale i specyficzną sytuacją katolików spod znaku „Tygodnika Powszechnego”, „Więzi” i „Znaku”. Ma-



FOT. MARCIN DUBA/PAP



Piotr Semka

Hołownia to najnowszy „otwarty katolik” w polskiej polityce. Jak będzie godził zasady wiary z wymogami współczesnej polityki? Jaka część hierarchów i wiernych będzie widziała w nim przedstawiciela swoich interesów, a jaka część odrzuci jego pojmowanie zależności między życiem publicznym a religią?

zowiecki miał za sobą wiele lat praktyki politycznej w komunistycznym Sejmie, w ramach której lawirował między nieformalnym reprezentowaniem interesów Kościoła katolickiego a wpasowywaniem się w oczekiwania władz PRL, które katolikom z koła „Znaku” wyznaczyły rolę listka figowego w całkowicie ubezwłasnowolnionym parlamencie.

Ludzie ci pędzili dziwny żywot ni to osób zaliczających się do sfery publicznej PRL, ni to quasi-opozycjonistów. Na pewno nawet ci przedstawiciele życia katolickiego, którzy krytycznie patrzyli na ich fascynację zachodnimi trendami modernizmu w Kościele, przyznawali, że byli to ludzie o bardzo skromnym stylu życia. Oczytani, zaangażowani w duszpaństwo pogłębiające ich wiarę. Korzystający w bardzo niewielkim stopniu z przywilejów, które dawał status posła na Sejm PRL. Mazowiecki wykazywał się

Jako szef rządu kierował się filozofią przyjaznego rozdziału Kościoła od państwa. Był politykiem, który dbał o to, by nie powstawało wrażenie bezpośredniego kierowania przez Kościół polityką państwową. A jednocześnie, gdy trzeba było, bronił zasady, że idee chrześcijaństwa mogą mieć wpływ na kształt państwa. Tak było, gdy wypracował razem z politykami SLD tekst preambuły do uchwalonej w 1997 r. konstytucji. Zdanie: „My, Naród Polski – wszyscy obywatele Rzeczypospolitej, zarówno wierzący w Boga będącego źródłem prawdy, sprawiedliwości, dobra i piękna, jak i niepodzielający tej wiary, a te uniwersalne wartości wywodzące z innych źródeł, [...] w poczuciu odpowiedzialności przed Bogiem lub własnym sumieniem ustanawiamy Konstytucję Rzeczypospolitej Polskiej”. Mazowiecki niewątpliwie zaważył o obecność tych słów w polskiej ustawie zasadniczej nie

z wolna chrześcijańskiego sztafazu swojej partii jako zbędnego już atrybutu.

Spór na linii Gowin-Tusk o projekty in vitro i powolne przesuwanie się PO ku postulatowi feministek spowodował jego rozstanie z Platformą. Gowin znalazł się już w rządzie Prawa i Sprawiedliwości w 2015 r., ale po sporze o werdykt TK jego postawa wobec np. kwestii aborcji także zaczęła ewoluować. W lutym br. w jednym z wywiadów mówił: „Po tym, gdy naruszono tzw. kompromis aborcyjny z 1993 r., którego byłem i jestem zwolnikiem, być może nie ma już innej drogi jak tylko referendum; należałoby dobrze przemyśleć pytania i wówczas oddać głos Polakom”. Lider Porozumienia, który wcześniej dystansował się od pomysłów referendalnych, utrzymując, że życie ludzkie nie może być obiektem głosowania, teraz akceptuje ideę referendum.

Podobne „zmiękczenie stanowiska” zaprezentowali konserwatywni posłowie Platformy, którzy protestując przeciw liberalizacji linii swojej partii w sprawie aborcji, nie przyjęli postulatu powrotu do kompromisu aborcyjnego, tylko uchwycili się idei referendum. Zarówno Gowin, jak i tradycjoniści z PO nie rozumieją, że lewica, pewna przesunięcia nastrojów w kierunku progresywnym, na żadne referendum już ochoty nie ma.

KATOLICYZM Z PASTELINY

Na tle Mazowieckiego i Gowina ewolucja Szymona Hołowni jest zjawiskiem zupełnie odmiennym. Zdołał on w ciągu pierwszej dekady swojej aktywności publicznej doprowadzić do współlistnienia dwóch swoich wizerunków. Z jednej strony żarliwego publicysty katolickiego, wyrażającego się o aborcji ze znaczną dozą sprzeciwu moralnego, a z drugiej strony showmana medialnego sypiącego żarcikami w fatalnym guście i z niesmacznymi erotycznymi odniesieniami. W świecie wyobrażeń Mazowieckiego czy Gowina coś nie do pomyślenia. Wielu czytelników jego książek o religii nie było w stanie przyjąć do wiadomości, że ich ulubieniec ma zupełnie inne, mało uduchowione oblicze, a z kolei wielu widzów programu „Mam talent” w ogóle nie podejrzewało, że Hołownia pisze książki wyjaśniające zmagania z problemami duchowości.

To, co szczególnie jaskrawo odróżnia Hołownię od Mazowieckiego i Gowina, to pełna afirmacja rodzaju popularności, którą zafundował niedoszłemu nowicjusowi dominikanów szef programowy

Któremu Panu służyć...

też osobistą odwagą, gdy np. w 1977 r. uczestniczył w głodówce protestacyjnej w kościele św. Marcina w Warszawie.

Nikt też nie kwestionował bardzo silnej, osobistej wiary Mazowieckiego, którą niekiedy zaskakiwał – tak jak wtedy, gdy z ogromnym samozaparciem wystąpił w obronie filmu „Pasja” Mela Gibsona. Gdy Mazowiecki został szefem rządu w 1989 r., miał świadomość, że na wybór właśnie jego na to stanowisko dokonany przez Lecha Wałęsę miał wpływ przekonanie, że będzie on mężem zaufania Kościoła. Kiedy jednak Mazowiecki podjął decyzję o powrocie religii do szkół, nie kierował się nakazem episkopatu, ale przekonaniem, że w ten sposób przywraca on obywatelskie uprawnienia ludziom wierzącym, które zostały administracyjnie umniejszone najpierw w epoce stalinowskiej, a potem, po chwilowym przywróceniu w 1956 r. w okresie rządów Gomułki.

dlatego, że bał się tego czy innego hierarchy, ale dlatego, że głęboko akceptował szacunek polityków do Boskiego majestatu jako uprawniony element politycznego pojmowania państwa. Kolejni premierzy nigdy nie prezentowali tak wyrazistej refleksji chrześcijańskiej, choć niektórzy, tak jak Hanna Suchocka czy Jerzy Buzek, bywali osobami głęboko wierzącymi.

Innym przykładem zaangażowania w politykę osoby wywodzącej się z kręgu katolicyzmu otwartego był Jarosław Gowin. Ten były redaktor naczelny kwartalnika „Znak” związał się z obozem Platformy Obywatelskiej w okresie, kiedy partia ta bardzo wyraźnie podkreślała swoje przywiązanie do zasad chrześcijańskich. Jego późniejsze konflikty z Donaldem Tuskiem związane były z powolnym odchodzeniem PO od tamtego oblicza ideowego i przyjmowaniem zasady, że „Platforma nie kłęczy przed księdzem”. Premier z Gdańska pozbywał się wtedy

■ TVN Edward Miszczak. Gdy Hołownia zdecydował się na karierę polityczną, przeniósł swoje doświadczenia z epoki TVN do polityki. Kolejny raz potrafił ze zręcznością żonglera połączyć typ idealizmu w akcjach pomocy społecznej w ramach swojej partii z bardzo brutalnym stylem retoryki politycznej. Ta umiejętność godzenia „ognia z wodą” pozwala mu dzisiaj skupiać ludzi hołdujących bardzo różnym typom zaangażowania w życie publiczne. Są pod jego sztandarem wolontariusze wychowani na jego książkach i marzący o „lepszej polityce”, są także polityczni wyjadacze i wyjadaczki, dający się skusić propozycjami przejścia z Platformy do jego ugrupowania.

Oczywiście nie pozostaje to bez wpływu na pryncypia – podejście do kwestii życia czy obecności Kościoła w życiu publicznym. Hołownia już na początku kampanii prezydenckiej w lutym 2020 r. głosił, że zmienił zdanie na temat metody in vitro, i stwierdził, że trzeba dyskutować o statusie zarodków nadliczbowych. Potem w kampanii prezydenckiej głosił, że kompromis aborcyjny nie powinien być naruszany. Jeszcze w marcu tego roku w wywiadzie dla Onetu mówił: „Nie zgody się na liberalizację dostępu do aborcji”. Potem jednak zaczął przychylić się do opinii, że sprawę powinno rozstrzygnąć referendum.

Znaczące było też rozwijanie przez niego wątku separowania jego własnych poglądów od tego, co robiłby, zajmując stanowiska publiczne w polityce, wygłaszane w czasie kampanii prezydenckiej. „Powiem wprost, w moim światopoglądzie aborcja nigdy nie jest w porządku. Swoje poglądy na ten temat wygłaszałem dotąd jako osoba prywatna. Gdy jestem kandydatem na urząd prezydenta, muszę na wiele spraw patrzeć szerzej, bo przyjdzie mi podejmować decyzje w duchu odpowiedzialności za miliony obywateli, również tych niepodzielających mojego zdania. [...] Kandyduję na prezydenta, a nie na naczelnego etyka kraju lub prymasa Polski”.

To ostatnie zdanie jest dosyć znaczące. Można zaryzykować twierdzenie, że nigdy nie przyszłoby to do głowy np. Tadeuszowi Mazowieckiemu. Uważał on za coś oczywistego, że wyznawane ideały chrześcijańskie powinny mieć wpływ na jego decyzje jako polityka. Owszem, był w stanie szukać porozumienia z niewierzącymi, tak jak było w przypadku wspomnianej już preambuły do Konstytucji RP. Mimo wszystko nie mieściło mu się jednak w gło-

wie stosowanie dwóch odrębnych norm etyki. Osobnej dla „prywatnego” myślenia, a osobnej dla pragmatyki publicznej. Nowy rys Hołowni zbliża go do tych polityków zachodniej chadecji, którzy przejęli logikę, że mogą prywatnie być przeciwko aborcji, ale jako politycy mający wpływ na rządy muszą akceptować lewicową agendę zmian obyczajowych. Tę samą cechę – zdolność do absolutnego zmieniania swego dawnego wizerunku – zaprezentował, gdy uznał, że „klasa polityczna utraciła moralne prawo do ustanawiania zasad regulujących prawo do aborcji”. W opinii Hołowni oznacza to, że w kwestii przerywania ciąży może się wypowiadać jedynie suweren i to w sposób bezpośredni.

WYGODNE ALIBI

Czy mimo wszystkich tych łamańców etyczno-politycznych Hołownia ma szansę utrzymać poparcie dużej części Polaków? Otóż tak. Paradoksalnie mogą mu w tym pomóc dwa zjawiska. Pierwsze to osłabienie siły hierarchii katolickiej przy rosnącym wychłodzeniu wiary w „katolickim ludzie” i jednoczesnym wysuwaniu się na czoło grup katolików postępowych w stylu niemieckiego ruchu Wir sind Kirche. Dla pewnej części katolików, którzy powoli oddalają się od Kościoła w ramach „procesów irlandzkich”, poparcie dla Hołowni, który lubi co pewien czas przypominać o swoim katolickim zaangażowaniu, może być wygodnym alibi. Pomoże usprawiedliwić przed samym sobą odchodzenie od zasad dawniej pojmowanego katolicyzmu społecznego. Myślenie w stylu: „Owszem, po pandemii przestałem już chodzić do kościoła, ale i tak popieram katolika Hołownię, a nie Martę Lempart”. I dalej: „Lepiej, by rozdział państwa od Kościoła dokonywał w sumie życzliwy religii Hołownia, niż żeby mieli to robić Włodzimierz Czarzasty i Robert Biedroń”.

Wiele będzie zależeć też od nowego oblicza polskiego episkopatu. Zarówno biologia, jak i polityka Stolicy Apostolskiej będą promowały w perspektywie paru najbliższych lat nową generację metropolitów i arcybiskupów ważnych polskich stolic kościelnych. Generacja symbolizowana przez arcybiskupów Stanisława Gądeckiego i Marka Jędraszewskiego odejdzie na emeryturę w perspektywie najbliższych pięciu lat. Na ich miejsce będą przychodzić dzisiejsi biskupi pomocniczy. Nie sposób jeszcze stwierdzić, jaki sposób myślenia będzie dominował w tej generacji. Hołownia już dzisiaj może jednak zakła-

dać, że uda mu się zdobyć ciche poparcie przynajmniej części nowych hierarchów jako „mniejsze zło”, lepsze od wojującej, antyklerykalnej lewicy. Przykład o. Adama Szustaka, który gorąco poparł Hołownię w kampanii prezydenckiej, pokazuje, że nie jest to niemożliwe.

Hołownia nie musi być wtedy wzorem trzymania się zasad etyki katolickiej, ale może umiejętnie puszczać oko do Kościoła. A w środowisku katolickim rośnie znaczenie tych, którzy już dziś wzywają, by porzucić wszelkie rojenia o przekładaniu władzy politycznej na wprowadzenie elementów zasad chrześcijańskich do życia publicznego. Wielu publicystów Deonu, Stacji 7, „Studia Raban” czy „Kontaktu” z zainteresowaniem przygląda się eksperymentowi politycznemu Hołowni. Nie zapominajmy, że w wielu przypadkach właśnie nominalni katolicy na wysokich stanowiskach w świecie zachodnim wprowadzali zmiany obyczajowe. Tak było z brytyjskim premierem Tonym Blairem, z Justinem Trudeau w Kanadzie czy najgłośniejszym ostatnio takim przypadkiem – Joe Bidenem. Nowy gospodarz Białego Domu z jednej strony zaprasza do wygłoszenia modlitwy na zaprzysiężeniu jezuickiego księdza, by potem stosunkowo szybko podpisać na nowo ustawę umożliwiającą finansowanie projektów aborcyjnych na całym świecie przez rząd federalny w Waszyngtonie.

Oczywiście może też być inaczej. Kreacja, którą tworzy z mozołem Hołownia, może rozsypać się pod własnym ciężarem. Już dzisiaj iluś wolontariuszy odchodzi z Polski 2050 zniesmaczonych rozrzewem między deklarowanym idealizmem Hołowni a jego politycznym cynizmem. Być może też nie uda się Hołowni zbudować partii, w której nawet bardzo tolerancyjni katolicy liberałowie będą musieli ścierać się z takimi skaperowanymi przez Hołownię do swej partii zwolennikami aborcji jak Hanna Gill-Piątek czy Paulina Hennig-Kloska. Być może. Okres dramatycznego spadku pewności siebie polskiego Kościoła i rosnącego podziału wśród wiernych jest dla Hołowni momentem optymalnym do przeprowadzenia swojego politycznego programu. Tego typu mieszanina cynizmu i sprawności politycznej zawsze najlepiej sprawdza się w warunkach upadku starych pewników i poczucia niepewności Kościoła oraz społeczności wiernych.

Hołownia gra o ich dusze. I pewności siebie mu nie brakuje.

Duszpasterz aborterów



FOT. MARCIN OBARA/PAP



Maciej Pieczyński

Były publicysta katolicki, autor ewangelizujących książek chce iść na wojnę z Kościołem i z o. Rydzykiem, a do tego solidaryzuje się ze Strajkiem Kobiet. Jednak Szymon Hołownia nie skręcił nagle w lewo. Od dawna jest po stronie tzw. Kościoła otwartego

W swoich książkach Hołownia w przystępny sposób opowiadał o Kościele „dla średnio zaawansowanych”, wcielając się raczej w rolę popularyzatora niż demaskatora. Nie był ani surowym moralizatorem, ani zawziętym antyklerykałem. Nie był „zimny”, a „gorący”. Był letni. „Fajnokatolik”. Kaznodzieja

młodzieżowym językiem opowiadający o Bogu. Celebryta z TVN prowadzący popularne programy rozrywkowe. A teraz polityk, życzliwie spoglądający w stronę proaborcyjnej lewicy.

– Szymon Hołownia przez długie lata pracował w TVN, a przecież wiadomo, że jest to stacja dogłębnie antychrześcijańska, która stara się Kościół zwalczać i przedstawiać go w jak najgorszym świetle, aby go ostatecznie zniszczyć – twierdzi w rozmowie z „Do Rzeczy” ks. prof. Dariusz Oko, teolog i filozof. – Zarząd tej stacji uznawał, że zatrudnianie go służy tym celom, bo między innymi stanowi pewną zasłonę dymną dla ludzi wierzących, służy ich zwodzeniu. Ten fakt powoduje, że panu Hołowni nie można ufać, bo jest bardzo prawdopodobne, iż ma on odegrać w Kościele rolę konia trojańskiego. W swoich poglądach jest on w istocie taką odświeżoną Platformą Obywatelską po liftingu, która ma być jej erzacem dla ludzi zbyt już rozczarowanych tą partią. To oznacza, że będzie on zapewne popierał ideologię

gender, która jest wielorako sprzeczna z rozumem oraz Ewangelią i dlatego tak niszcząca dla chrześcijaństwa wszędzie, gdzie jest zaprowadzana – prognozuje. I dodaje: – Wygląda on raczej na kolejny produkt marketingu politycznego, podobnie jak wcześniej Janusz Palikot i Ryszard Petru. Jest jednak bardziej od nich niebezpieczny, bo bardziej inteligentny i lepiej znający katolicyzm, zatem mający dużo większy potencjał uwodzenia. A nawet tylko kilka procent uwiedzionych wyborców może łatwo rozstrzygnąć o wyniku wyborów.

RADYKAŁNA LAICKOŚĆ

Na początku lutego ruch Polska 2050 przedstawił 40-stronicowy program rozdziału państwa od Kościoła. Postulaty są radykalnie laickie jak na publicystę katolickiego, ale też nie zadowolili skrajnej lewicy. Przykładowo: prezes Polski 2050 nie chce wycofania religii ze szkół, proponuje za to, by ocena z przedmiotu nie liczyła się do średniej, a o liczbie godzin decydowała rada

szkoły w porozumieniu z rodzicami. Lewicowy portal OKO.press z nadzieją pisze, że „mogłoby to doprowadzić do rezygnacji z katechezy tych uczniów, którzy za jej pomocą poprawiali sobie szkolne wyniki”. Część chce również, by uczniowie mogli wypisywać się z religii już w I klasie szkoły ponadpodstawowej. Obecnie mogą to robić po ukończeniu 18. roku życia. Hołownia chciałby także, aby katecheza była finansowana nie tylko przez samorządy, lecz także przez Kościół i państwo.

Prezentację dokumentu zaczął Hołownia od ataku na o. Rydzyka i Jarosława Kaczyńskiego. „Fajnokatolik” zresztą szczególnie często krytykuje zarówno założyciela Radia Maryja, jak i prezesa PiS. A na pewno częściej niż jakiegokolwiek przedstawiciela skrajnej, antyklerykalnej lewicy. Finansowanie działalności o. Rydzyka przez instytucje publiczne za rządów PiS nazywa Hołownia „przykładem patologii”, którą powinna zająć się NIK. Kaczyńskiemu zarzuca, że w swoich publicznych wypowiedziach prezentuje „wizję Polski par excellence wyznaniową i katolicką”, wbrew preambule konstytucji, która wskazuje również na inne wartości. Jednak w najmocniejsze tony uderzył Hołownia w sprawie aborcji. Jego zdaniem Kaczyński nakazał publikację wyroku, aby przykryć nieudolność rządu w zarządzaniu lockdownami. Prezes PiS jakoby „postanowił po raz kolejny podpalić lont”, „po raz kolejny wypędzić ludzi na ulice w środku pandemii”. Hołownia zasugerował, że Kaczyński tym samym chciał pokazać biskupom, że „prawo religijne uczynił prawem państwowym”, i w zamian zażądać od hierarchów lojalności.

W sposób typowy dla nowoczesnego „fajnokatolika” dał do zrozumienia, że ekologia jest dla niego wyzwaniem ważniejszym niż walka z aborcją: „Oburza mnie do głębi ten chór obrońców życia, którzy [...] przez pięć lat nie umieli obronić życia 250 tys. Polaków, którzy zginęli nie z powodu aborcji, ale z powodu jakości powietrza!”. Hołownia sam sobie zaprzeczał. Najpierw wyraził pogląd, że to nie TK, tylko Sejm powinien decydować o ewentualnym zastrzeżeniu przepisów antyaborcyjnych. Następnie stwierdził, że „religia może nakłaniać człowieka do heroizmu, ale nie może zmuszać człowieka do heroizmu przy użyciu środków karnych państwo”. Sam wyrok TK nazwał „bełkotem prawnym”. Uderzył też w patetyczny, emocjonalny

ton, apelując do Kaczyńskiego, by odważył się stanąć twarzą w twarz z tymi kobietami, które w efekcie zastrzeżenia prawa antyaborcyjnego znajdują się w dramatycznej sytuacji.

Gdy jesienią Szymon Hołownia opowiedział się po stronie Strajku Kobiet, organizatorki protestów odpowiedziały na ten głos poparcia z właściwym sobie wdziękiem i bezpośredniością. Były publicysta katolicki nie przejął się jednak, że feministki z ruchu proaborcyjnego kazały mu „wypier.....”. Przeprosiny usły-

„Fajnokatolik” Hołownia szczególnie często krytykuje zarówno założyciela Radia Maryja, jak i prezesa Prawa i Sprawiedliwości

szał, ale lewica spod znaku błyskawicy wciąż nie darzyła go pełnym zaufaniem. Dalej przekonywał, że PiS jest wspólnym wrogiem jego i kobiet, które „obalą ten rząd”. Duszpasterz Kościoła otwarte go uznał, że od walczącej o aborcję na życzenie Marty Lempart groźniejszym radykałem jest radykalizujący ochronę życia Kaczyński.

CO Z TĄ ABORCJĄ?

W sprawie aborcji Hołownia kluczy. Dzisiaj, próbując wejść na falę wznoszącą nastrojów lewicowych, rozbudzonych przez Strajk Kobiet, niemal ze łzami w oczach mówi o ludzkich dramatach i o satrapie Kaczyńskim, który mieni się panem kobiecych sumień. Wiceprezes ruchu Polska 2050, jeden z najbliższych współpracowników prezesa, pojawił się nawet na jednej z demonstracji. Dopytywany o szczegóły Hołownia przyznaje, że nie popiera postulatu aborcji na żądanie, najbliższej mu do kompromisu zawartego w 1993 r., a tak w ogóle to teraz najchętniej by rozstrzygnął problem „prawa do decyzji” w ramach referendum. Lider Polski 2050 chętnie zrzuca odpowiedzialność za trudne moralne decyzje na obywateli i umywa ręce w sprawach światopoglądowych, w których, wydawałoby się, nauka Kościoła jest jednoznaczna. Tego typu postawę prezentował jednak już wcześniej, jeszcze jako apolityczny publicysta katolicki. Niezwykle wyrazistym przykładem starcia Kościoła

otwartego z Kościołem tradycyjnym jest mocna rozmowa, jaką Hołownia przeprowadził osiem lat temu z Wojciechem Cejrowskim. Dwaj liderzy dwóch nurtów katolickiej opinii spotkali się na antenie TV Religia. Na pytanie Cejrowskiego: „Czy uważa pan, że aborcja zawsze i pod każdym względem powinna być zabroniona?” Hołownia odpowiedział wymijająco, że „aborcja zawsze jest zabójstwem i pod każdym względem jest złem”. Gdy Cejrowski dopytywał o kwestię zakazu, usłyszał w odpowiedzi: „Marzę o tym, żeby była zakazana, ale dopóki żyję w społeczeństwie, w którym mamy ludzi o różnych poglądach w tej sprawie, dopóty muszę niestety próbować z nimi negocjować”. Hołownia upominał Cejrowskiego za ostry język wobec homoseksualistów, krytykował za opinię, że pod kliniką aborcyjną należy stanąć z bronią w ręku w obronie nienarodzonych. „Czy to się skończy?! Pan zostanie uznany za świra i przyjdzie lewica, która i tak przeciwko panu przegłosuje ustawę pozwalającą na zabijanie o wiele więcej dzieci” – argumentował Hołownia.

– Droga Hołowni potwierdza, że polityka jest bardzo brudną grą, w której katolikowi trudno pozostać wiernym swoim poglądom. Jako publicysta często prowokował, ale taka natura tego zawodu. Był przedstawicielem określanym przez wielu jako „liberalne” skrzydło Kościoła, dlatego tzw. konserwatywna grupa katolików często się z nim nie zgadzała – mówi „Do Rzeczy” ks. Daniel Wachowiak, proboszcz parafii pw. NMP Wniebowziętej w Piłce. – Niestety, według mnie jako polityk utracił smak ewangelicznej soli i przestał być światłem. Był publicystą katolickim, ale politykiem katolickim już go nie nazwę. Głosi bowiem tezy sprzeczne z nauczaniem Kościoła. Wydaje mi się, że w swoim wnętrzu jest rozdarty, ale ostatecznie wybiera drogę sprzeczną z przesłaniem Ewangelii. Na temat ochrony życia poczętego wypowiada się w sposób niegodny katolika. Uważam, że sporo osób, które wcześniej go promowały jako publicystę katolickiego, powinno mu dzisiaj wystawić naganę – dodaje.

W rozmowie, którą przeprowadziłem dla „Do Rzeczy” w ramach sondy poświęconej 1050-leciu chrztu Polski, Hołownia stwierdził, że „chrześcijaństwo fundamentalne skupione jest na tym, co w tej religii najważniejsze – na drugim człowieku”, a od ideologicznej walki

skuteczniejszym sposobem ewangelizacji jest „przysłanie, zrobienie herbaty czy założenie bandaży na krwawiącą rękę”. W centrum uwagi jest człowiek, a nie Bóg.

KOŚCIÓŁ OTWARTY

Hołownia jest przedstawicielem Kościoła otwartego. Jednak zdaniem wielu komentatorów w jego przypadku zgodny z prawdą jest tylko drugi człon. – Kościół ten jest za bardzo, bezkrytycznie „otwarty” na zło i kłamstwo ateizmu oraz ideologii z niego zrodzonych, które są absolutnym zaprzeczeniem chrześcijaństwa – mówi ks. prof. Oko. – Nic dziwnego, że dialog z takich pozycji prowadzi zwykle do samozatrucia tego rodzaju dialogistów oraz utraty wiary. Przejawia się to też w pasji, z jaką tacy dialogiści atakują i zwalczają innych chrześcijan, którzy starają się zachować podstawowe rozróżnienia pomiędzy wiarą i ateizmem, rozumem i ideologiami. Jest to nawet nieuchronne, bo Kościół bezrozumnie otwarty jest jak dom bez zamków z wiecznie otwartymi drzwiami i oknami. Taki dom musi się stać łupem rabusiów. Dzieje się tak dlatego, że takim chorobliwie otwartym osobom ochrzczonym często chodzi przede wszystkim nie o prawdę Chrystusa, ale o maksymalnie wygodne życie na Ziemi, możliwie bez rezygnacji z wielu grzechów, do których przywykli. To dlatego etap Kościoła „superotwartego” jest zwykle tylko ostatnim etapem przed pełnym opuszczeniem Kościoła, ateizmem i zwalczaniem chrześcijaństwa, co nieraz mogłem obserwować podczas studiów i pracy na Zachodzie. To dlatego jest tak niebezpieczne dla Kościoła, gdy tego rodzaju ludzie osiągają władzę. Gwałtownie przyspiesza to proces dechrystianizacji – tłumaczy. I dodaje, że jego zdaniem Hołownia jest zamknięta na innych chrześcijan, o bardziej konserwatywnych poglądach. – Zawsze w Kościele byli zdrajcy. Zły przykład dał Judasz. Dziś jego śladem podąża lawendowa mafia. Niestety, również Szymon Hołownia wpisuje się w ten nurt – uważa ks. prof. Dariusz Oko. – Dąży do zmniejszania Kościoła. Chrześcijaństwo personifikowane przez Hołownię to infantylne pseudochrześcijaństwo, którego jedynym dogmatem jest dążenie do wygodnego życia.

Hołownia wiele mówi o potrzebie otwarcia na drugiego człowieka, o pozostawieniu mu prawa wyboru. Często powtarza, że w sporach ideologicznych

o takie sprawy jak aborcja najmniejszą uwagę zwraca się na samego człowieka i jego osobisty dramat. – To są poważne błędy. W naszej wierze zawsze najważniejszy jest Bóg, a nie człowiek, który Bogu ma całkowicie zaufać i podporządkować się – komentuje ks. prof. Oko. – A przeciwstawianie dogmatów i człowieka jest podobnie absurdalne jak przeciwstawianie matematyki i inżyniera. Inżynier nigdy nie osiągnie sukcesu wbrew matematyce, raczej tylko doprowadzi do katastrofy budowlanej. Natomiast im lepiej będzie znał i stosował matematykę, tym lepszym będzie inżynierem. Podobnie jest z człowiekiem wierzącym i prawdami wiary. Dlatego człowiek, który kwestionuje i rozmywa zasady wiary i moralności, jak niestety pan Szymon Hołownia, jest jak człowiek, który kwestionuje i rozmywa zasady matematyki, który mówi, że dwa plus dwa jest może siedem albo dziesięć, albo sam sobie wybierze, jak chce.

PRZECZYTAŁ POLITYCZNY

Zdaniem prof. Antoniego Dudka, politologa z Uniwersytetu Warszawskiego, Hołownia przeszedł co prawda ewolucję ideową, nie oznacza to jednak radykalnego skrótu w lewo. – Niewątpliwie, kiedyś prezentował bardziej konserwatywne poglądy. Zaczął je łagodzić z przyczyn politycznych. Gdyby pozycjonował się jako obrońca Kościoła tradycyjnego, instytucjonalnego, niewiele różniłby się od PiS. Nie opłaca mu się również stawiać na fundamentalizm, bo – jak pokazuje poparcie dla Konfederacji – to elektorat kilkuprocentowy – mówi prof. Dudek. – Jeśli Hołownia chce rządzić, to musi, podobnie jak Kaczyński czy Tusk, zbudować „szeroki namiot” poparcia różnych środowisk. Dlatego nie może zrazić do siebie nawet Marty Lempart, szczególnie że wahałoby nastrojów powoli przesuwających się na lewo. Nie może także zadeklarować się jako skrajny antyklerykał, ponieważ wyborcy deklarujący się jako katolicy wciąż stanowią większość. Dlatego nie pójdzie drogą Palikota. Jedyne, co łączy Hołownię z obozem Strajku Kobiet, to niechęć do PiS oraz niezgoda na zaostrzenie przepisów antyaborcyjnych.

– Polska 2050 nie pójdzie ani w lewo, ani w prawo. Pójdzie do przodu. Czyli tam, gdzie zaprowadzą ją wyniki badań nastrojów społecznych – uważa z kolei prof. Maciej Drzonek, politolog z Uniwersytetu Szczecińskiego. – Gdyby okazało

się, że nagle Polacy pokochali na nowo naukę Jana Pawła II, Hołownia pójdzie śladem tej miłości. Tak się składa, że obecnie na całym świecie coraz bardziej popularne są poglądy, które jeszcze niedawno określano jako skrajnie lewicowe czy wręcz lewackie, a na Zachodzie chadecja jest tylko z nazwy chrześcijańska. Hołownia idzie więc z duchem czasu, a jego skręt w lewo ma charakter raczej pragmatyczny niż dogmatyczny.

O tym, po której stronie sceny politycznej może zająć miejsce Polska 2050, świadczą transfery polityczne. Do ruchu Hołowni przeszły: Joanna Mucha z lewego skrzydła PO, Hanna Gill-Piątek z Lewicy oraz Paulina Hennig-Kloska, wcześniej polityk Nowoczesnej. Wspólnie utworzyły koło poselskie Polski 2050 w Sejmie. Wszystkie trzy posłanki Hołowni opowiadały się za liberalizacją prawa antyaborcyjnego. Stały po lewej stronie sporu o „prawa kobiet”. Mucha przyznała, że będzie przekonywać swojego nowego lidera do idei aborcji na żądanie.

– Umówiliśmy się, że w sprawach światopoglądowych nie będzie dyscypliny. Zresztą i tak w naszym ruchu są mniejsze podziały ideowe niż w Platformie, w której mieszczą się zarówno Joanna Fabisiak, jak i Barbara Nowacka – mówi „Do Rzeczy” Hanna Gill-Piątek. Zapewnia, że pod względem światopoglądowym ludzi Hołowni łączy jedno. – Wszyscy zgadzamy się, że aborcja powinna być jak najrzadsza. A akurat ja mam pogląd, że jest tak, kiedy jest ona legalna i bezpieczna, ale powiązana z edukacją i antykoncepcją. Wtedy znika ogromne w Polsce podziemie – deklaruje. – Oczywiście, Hołownia jako osoba prywatna ma konserwatywne poglądy. Ale jako lider ugrupowania, do którego należą również osoby o przekonaniach bardziej lewicowych, uważa za konieczne oddanie w tej sprawie głosu ludziom, nie tylko politykom. Dlatego wszyscy postanowiliśmy zrobić krok wstecz. Zgodziliśmy się na kompromisowe rozwiązanie – referendum w sprawie aborcji. W tej sprawie powinni wypowiedzieć się obywatele. Z referendum wolelibyśmy jednak poczekać do kolejnej kadencji, ponieważ w tej chwili tego typu inicjatywa oznaczałaby totalną wojnę polsko-polską. W Irlandii, kraju również katolickim, obywatele wypowiedzieli się ostatecznie za liberalizacją aborcji – mówi. I dodaje, że osobiście liczy na to, iż w Polsce będzie podobnie.

RYSZARD GROMADZKI: Ustalmy fakty. Porozumienie Jarosława Gowina jest nadal częścią Zjednoczonej Prawicy?

JAN STRZEŻEK: Od 2014 r. współtworzymy Zjednoczoną Prawicę i dalej Zjednoczoną Prawicę będziemy tworzyć.

A Jarosław Gowin dalej jest prezesem Porozumienia?

Bezapelacyjnie. To byłoby co najmniej dziwne, choć nie tylko ze względu na nazwę partii, gdyby prezesem Porozumienia Jarosława Gowina nie był Jarosław Gowin.

Adam Bielan twierdzi co innego. Jak w takim razie traktować jego działania?

Adam Bielan jest byłym członkiem Porozumienia wyrzuconym z partii decyzją Krajowego Sądu Koleżeńskiego, co ciekawe, Sądu Koleżeńskiego, za którym Adam Bielan głosował w 2017 r.

Czy w pana ocenie działania Adama Bielana i Kamila Bortniczuka, podważające legitymację Jarosława Gowina do kierowania partią, są autonomiczne, czy były one podjęte za wiedzą Jarosława Kaczyńskiego?

Jestem przekonany, że Adam Bielan przeżył muskuły przed premierem Kaczyńskim i mówił, jak silnym jest politykiem i ilu to posłów za nim stoi, ale uważam, że powinien mierzyć siły na zamiary. On nigdy nie miał szans, żeby stać się szefem partii. Powinien zacząć od czegoś, co jest w stanie zrobić, może mazowiecka młodzieżówka na początek.

Jak w takim razie skomentuje pan opinie, że akcja Bielana przeciw Jarosławowi Gowinowi była inspirowana przez prezesa Kaczyńskiego? Chodzi o odwet na Gowinie za m.in. storpedowanie wyborów prezydenckich w maju ubiegłego roku.

Jestem przekonany, że nie było żadnej inspiracji ze strony prezesa Kaczyńskiego, z bardzo prostej przyczyny. Jarosław Kaczyński jest polskim patriotą, jest także patriotą Zjednoczonej Prawicy. W 2014 r. trzem liderom – Jarosławowi Kaczyńskiemu, Jarosławowi Gowinowi i Zbigniewowi Ziobrze – udało się stworzyć najsukcesowniejczy po 1989 r. obóz polityczny. Od 2014 r. konsekwentnie wygrywamy wszystkie wybory, jestem pewien, że nasz ostatni wspólny sukces, czyli zwycięstwo Andrzeja Dudy w wyborach prezydenckich w 2020 r., absolutnie nie jest ostatnim słowem Zjednoczonej Prawicy.

Z medialnych doniesień wynika, że Jarosław Kaczyński nie zgodził się na wniosek wicepremiera

Z Janem Strzeżkiem, wicerczelnikiem Porozumienia Jarosława Gowina

*rozmawia
Ryszard Gromadzki*



My z koalicji nie wychodzimy

Gowina cofający rekomendację udziału w rządzie polityków Porozumienia skłóconych z szefem partii – Michała Ciesłaka, Jacka Żalka i Zbigniewa Gryglasa. Może pan to potwierdzić?

Na dziś nie mam wiedzy, żeby prezes Jarosław Kaczyński podjął taką decyzję. 12 lutego wycofaliśmy rekomendację dla tych trzech panów, przekazaliśmy tę informację naszym koalicjantom drogą oficjalną i o żadnym braku akceptacji naszych działań nie słyszałem.

Czy wicepremier Gowin cały czas rozmawia z Jarosławem Kaczyńskim? Czy dialog został przerwany, jest pat?

Jestem przekonany, że obydwaj liderzy przede wszystkim się bardzo szanują. To jest najistotniejsze. Wiedzą, jak dużą rzecz udało im się stworzyć. Mówię rzecz jasną o Zjednoczonej Prawicy. Ale pomimo tego, że od wielu lat współpracuję z Jarosławem Gowinem, nie dzierzę jego telefonu i nie mam wglądu do spisu połączeń (śmiech).

Opozycja nie ustaje w próbach nakłonienia lidera Porozumienia do przejścia na drugą stronę politycznej barykady. Takie wypowiedzi słyszymy regularnie w ostatnich dniach. Czy Jarosław Gowin negocjuje za kulisami z szefami ugrupowań opozycyjnych?



pokazaliśmy, ile osób stoi za Jarosławem Gowinem murem. Wiemy, jaka jest w tej chwili nasza polityczna siła. Jestem przekonany, że to sprawia, iż cały czas będziemy ważnym elementem składowym Zjednoczonej Prawicy. Trudno mówić o marginalizacji, kiedy mamy partię, której członkowie, szczególnie ci reprezentujący nas w Sejmie, są w pełni lojalni wobec Jarosława Gowina. Paradoksalnie obecny stan traktuję raczej jako wzmocnienie Porozumienia.

Jaki pomysł na przywrócenie partii do normalnego funkcjonowania ma Jarosław Gowin po wystąpieniu Adama Bielana i jego stronników?

Partia funkcjonuje normalnie. Jeżeli spojrzymy na rejestr partii politycznych, to zobaczymy, kto jest prezesem ugrupowania. Prezesem Porozumienia Jarosława Gowina jest Jarosław Gowin. Widząc to, co w ostatnim czasie robi Adam Bielan, nie ukrywam, że jest to dla mnie spore zaskoczenie. Nie fakt, że Bielan wystąpił przeciw Jarosławowi Gowinowi – tego można było się spodziewać. Większym zaskoczeniem jest dla mnie, że Adam Bielan jest tak dowcipnym człowiekiem. Nie podejrzewałem go o tak wybujałą wyobraźnię. Każdego dnia zaskakuje, przynajmniej mnie, coraz to nowymi pomysłami. Nie zdziwię się, kiedy w ciągu najbliższych paru dni Bielan będzie chciał powołać własną „Radę Jedi” czy ogłosić się prezesem jakiejś innej partii. Ostatnio ogłosił się prezesem Porozumienia, być może jutro ogłosi się prezesem PSL, a później Lewicy. Mówię to celowo, bo tam jest identyczna sytuacja. Ze względu na epidemię koronawirusa nie można było zwołać kongresu partii.

Pan dowcipkuje, a Adam Bielan przedstawia na obronę swoich racji argumenty prawne, statutowe. Czy sprawa przejścia kontroli nad Porozumieniem może oprzeć się o sąd?

Nie sądzę. Gdyby do tego doszło, oznaczałoby to totalną kompromitację Bielana i jego zwolenników, którzy mają jakieś szczególne upodobanie do przegrywania. Jeśli chcieliby przegrać w sądzie, tak jak przegrali politycznie, to mogą składać dowolne wnioski.

Politycy PiS deklarują, że dla nich partnerem koalicyjnym jest szef Porozumienia Jarosław Gowin. Co w takim razie z grupą rozłamową? Czy konflikt może zakończyć „arbitraż” prezesa Kaczyńskiego?

Tak jak nikt poważny nie twierdzi, że ziemia jest płaska czy że Elvis Presley żyje, tak nikt poważny nie stawia tezy, że Jarosław Gowin nie jest prezesem Porozumienia. Myślę, że ta mała grupka polityków wyrzuconych z Porozumienia w końcu najzwyczajniej w świecie znudzi się tymi gierkami. W końcu nikt nie lubi robić z siebie klauna.

Kiedy emocje już opadną, grupa polityków skupionych wokół Adama Bielana i reszta Porozumienia będą nadal funkcjonować obok siebie w Zjednoczonej Prawicy?

W żadnym wypadku nie wskazujemy, kto powinien być usunięty z klubu parlamentarnego czy że Adam Bielan powinien zostać usunięty z delegacji PiS do Parlamentu Europejskiego. Usunęliśmy z Porozumienia panów Bielana, Bortniczuka, Cieślaka, Żalka i Grygłasa, bo straciliśmy do nich elementarne zaufanie. To oni zaczęli zachowywać się nielojalnie, rozpoczynając grę z podważaniem roli organów statutowych partii, za którymi wcześniej głosowali. Cieszymy się, że są już poza Porozumieniem. Co będą dalej robić? Cóż, życzę wszystkiego najlepszego.

Jarosław Gowin weźmie udział w najbliższym posiedzeniu Rady Koalicji?

Jarosław Gowin zawiesił swój udział w Radzie Koalicji. Na razie nie mam wiedzy, żeby cokolwiek się w tym zakresie zmieniło.

Powodem tej decyzji był konflikt w Porozumieniu czy w grę wchodziły też inne kwestie?

Nie. Jarosław Gowin przekazał swoją decyzję i uargumentował ją osobiście Jarosławowi Kaczyńskiemu. Mam przekonanie, że niektóre rzeczy powinny pozostać w zaciszu gabinetów.

Czy konflikt w Porozumieniu nie zaszedł za daleko? Czy nie grozi on utratą większości w Sejmie przez Zjednoczoną Prawicę?

Mam wrażenie, obserwując sytuację, że rzeczywiście takie zagrożenie jest, ale jest to zagrożenie ze strony Adama Bielana. Adam Bielan już raz odsunął prawicę od władzy w 2007 r., namawiając Jarosława Kaczyńskiego do przedterminowych wyborów. Notabene krótko po tym Adam Bielan Jarosława Kaczyńskiego zdradził. Teraz znów próbuje rozbić jedność prawicy. Ale pragnę uspokoić naszych partnerów, a przede wszystkim naszych wyborców – drugi raz Adam Bielan prawicę od władzy nie odsunie.

Dementowałem te spekulacje 20 razy, zdementuję po raz 21. Absolutnie nie. Jesteśmy lojalnym partnerem w ramach Zjednoczonej Prawicy i dalej chcemy w tej, moim zdaniem, najlepszej dla Polski koalicji funkcjonować.

Czyli rozmowy Gowin-Tusk nie było...

Nie. To jest absurdalny zarzut, który kolportują niektórzy nasi byli koledzy wyrzuceni z Porozumienia. Ostatnia rozmowa między Jarosławem Gowinem a Donaldem Tuskiem odbyła się w 2013 r. Mam wrażenie, że tego rodzaju rewelacje wynikają z chęci odegrania się przez naszych byłych kolegów, ale to bardzo niskie chwyt...

Co obecny stan oznacza dla Porozumienia?

Czy tak głębokie pęknięcie partii nie prowadzi do jej marginalizacji w Zjednoczonej Prawicy, a wręcz „samozaorania”?

Nie mam absolutnie takiego wrażenia. Z kilku przyczyn. W przypadku tych ludzi, których usunęliśmy z partii, było jasne, że mentalnie byli oni już od dawna poza Porozumieniem. To traktuję jako pozytyw. W końcu się policzyliśmy,



Profesorowie Jan Grabowski
i Barbara Engelking FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Lektura licznych tekstów, które składają się na debatę na temat wydanej w 2017 r. książki „Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski” pod redakcją Barbary Engelking i Jana Grabowskiego, skłania do wniosku, że proces, który ci autorzy właśnie przegrali, dotyczący ich rzetelności badawczej, nie jest wypadkiem przy pracy. Gdyby książka Engelking i Grabowskiego dotyczyła ludzi żyjących, takich procesów o naruszenie dóbr osobistych mogłoby być o wiele więcej. Co gorsza, sprawa oskarżenia o współudział w zbrodniach przeciwko Żydom Edwarda Malinowskiego, sołtysa wsi Malinowo, nie wydaje się efektem nonszalanckiej w traktowaniu źródeł, ale raczej metodycznym narzędziem oczerzniania Polaków żyjących pod niemiecką okupacją.

Tomasz Domański, historyk Instytutu Pamięci Narodowej, w swojej obszernej recenzji pt. „Korekta obrazu” – wydanej w roku 2019 – napisał: „Obraz kreślony przez autorów jest z zasady stronniczy, daleki od faktograficznej rzetelności, obiektywizmu uwzględniającego różne proveniencje oddziałów, kontekst militarny i polityczny oraz kulisy zdarzeń”. To bardzo łagodna ocena naukowa, który w liczącym kilkadziesiąt stron opracowaniu rzetelność zachowuje. Zachowuje też zimną krew wobec kolejnych zawartych w „Dalej jest noc” przykładów manipulowania cytatami dokonywanego poprzez ich przycinanie do – jak się zdaje – założonego efektu propagandowego. Kto chciałby przekonać się o skali nadużyć obecnych w rzeczonym zbiorze studiów, ten najlepiej by podjął się ich lektury z równoczesną lekturą krytyk. Same krytyki dr. Domańskiego to prawie 200 stron tekstu, nie licząc recenzji Piotra Gontarczyka, Tomasza Roguskiego, Romana Gieronia czy Dawida Golika opublikowanych w „Glaukopisie” czy „Zeszytach Historycznych”.

ODPOWIEDŹ ATAKIEM

Autorzy „Dalej jest noc”, skonfundowani krytyką ich metod badawczych, zaatakowali recenzentów w sposób – zachowajmy wyważony ton dr. Domańskiego – umiarkowanie merytoryczny. Na przykład węgrowskiego lokalnego badacza historii miasta, Radosława Józwiaka, który zakwestionował topografię Węgro-



Tomasz Rowiński

Sprawa procesu dotyczącego książki „Dalej jest noc”, w której po stronie autorów zaangażowali się amerykańscy senatorowie, instytucje zajmujące się badaniem i upamiętnianiem Zagłady, rozmaite placówki naukowe i czynniki religijne, budzi tak ogromne kontrowersje tylko z powodu swoistej sakralności otaczającej temat Zagłady

wa, która znalazła się w jednym ze źródeł i została powielona przez Grabowskiego, profesor dezawuował. Jak czytamy na stronie Reduty Dobrego Imienia (RDI), która była zaangażowana w wygrany proces wytoczony autorom książki: „Profesor Grabowski orzekł (w wielkim skrócie), że »nauczyciel historii« nie zna się na badaniach Holokaustu, wobec czego jego głos jest nieistotny”. A rzecz jest właśnie zasadnicza dla ustalenia faktyczności udziału Polaków w mordowaniu węgrowskich Żydów. Jeśli źródłowe wspomnienia są niewiarygodne w opisie

naukową [...]” – czytamy w „Odpowiedzi na recenzję” opublikowanej na stronie Centrum Badań nad Zagładą Żydów przy IFiS PAN. Takie obelgi mogły przekonać jednak tylko tych, którzy nie skonfrontowali się z tekstami Tomasza Domańskiego, ale oparli się jedynie na osobistym autorytecie prof. Grabowskiego. Dodajmy, że Domański odpowiedział prof. Grabowskiemu drugi raz ponad stustronicowym opracowaniem pt. „Korekty ciąg dalszy?”. W przekazie medialnym autorytet mógł jednak wystarczyć. Wiadomo, że jedną z metod

elementarz, tj. czy cytat podany w książce, odwołanie źródłowe ma pokrycie w danych archiwalnych. Czy informacje na temat wydarzeń podawanych w książce mają pokrycie w źródłach i te źródła są podane w przypisach? Czy cytowanie źródeł jest kompletne, czy też wybierane są tylko te fragmenty, które świadczą na rzecz założonej tezy?” – pisał o sprawie Świrski. Wątek Edwarda Malinowskiego podjęto nie dlatego, że był wyjątkowy w książce, ale z powodu łatwej dostępności dokumentów, a także dogodnej logistycznie lokalizacji miejsca opisywanych zdarzeń.

ŚLEDZTWO W SPRAWIE MALINOWSKIEGO

Sprawa okazała się złożona, ale już na wstępnym etapie badania dokumentów badacze RDI ustalili, że autorka studium wspominającego o Edwardzie Malinowskim, prof. Barbara Engelking, przynajmniej nierzetelnie korzystała ze źródeł. Co więcej, prawdopodobnie w sposób, który uznała za korzystny dla swojej tezy, całkowicie przemilczając zasadnicze dla sprawy akta. W książce czytamy, że Estera Drogicka, Żydówka, której Edward Malinowski miał pomagać, „zdawała sobie sprawę, że jest on współwinny śmierci kilkudziesięciu Żydów, którzy ukrywali się w lesie i zostali wydani Niemcom, mimo to na jego procesie po wojnie złożyła fałszywe zeznania w jego obronie”. Dodajmy od razu, że Edward Malinowski został w roku 1950 uniewinniony przez sąd, a jego niewinność wsparło liczne grono świadków.

W tym kontekście ważniejsze jest to, czego nie dowiadujemy się z książki „Dalej jest noc”. Pominięte zostały bowiem owe zeznania Drogickiej określone jako fałszywe, a przemawiające

Minimum przyzwoitości

miasta, to czy inne ich fragmenty mają jakąkolwiek wartość?

Zresztą metoda na odbieranie polemistom podstawy godnościowej okazała się jednym ze sposobów obrony prof. Grabowskiego. „Mamy więc do czynienia nie tyle z recenzją badacza, ale ze zbiorowym wysiłkiem urzędników oddelegowanych przez przełożonych do zadania specjalnego, polegającego – co mam zamiar wykazać – na próbie podważenia reputacji niezależnych badaczy, a nie na intelektualnej polemice [...]”. Założmy mimo to przez chwilę, że recenzja dr. Domańskiego jest recenzją

reagowania na kryzys i oskarżenia jest nieprzyznawanie się do niczego, a na atak – nawet uzasadniony – odpowiada nie atakiem.

Ten szum wokół książki zwrócił uwagę Macieja Świrskiego, prezesa Fundacji Reduta Dobrego Imienia, której to instytucji prof. Grabowski już wcześniej wytoczył proces za publikację „Stanowiska” zawierającego krytykę jego metod badawczych. „Chcemy po prostu sprawdzić, czy odwołania źródłowe do akt archiwalnych są rzetelne. Krótko mówiąc: idzie nam o zupełne podstawy metodologii badań naukowych, wręcz

REKLAMA

Wydawnictwo Fronda PL przeprasza Międzynarodowe Centrum Kultury w Krakowie, pomysłodawcę, redaktora i wydawcę encyklopedii „Polski Petersburg” (www.polskipetersburg.pl) oraz autorów encyklopedii za liczne naruszenia praw autorskich poprzez wykorzystanie cudzych utworów w książce „Jak stwarzaliśmy Rosję” bez uzyskania wymaganej prawem zgody i bez poszanowania zasad prawa autorskiego.

■ na rzecz Malinowskiego. Pominięte zostały zeznania dwóch innych Żydów, którzy relacjonowali, że za doniesienie na ukrywającą się w okolicznym lesie grupę żydowską odpowiadał gajowy Półtorak z sąsiedniej wsi, a nie sołtys Edward Malinowski. Wreszcie zabrakło informacji, że Drogicka nie była bezpośrednim świadkiem wydarzeń, ponieważ w czasie mordu przebywała na przymusowych robotach w Kętrzynie, a zatem jej „świadeństwo ze słyszenia” trudno zestawiać z głosami świadków bezpośrednich mieszkających u sołtysa Malinowskiego: Lejby Prybuta i Chunya Kapłana. Ci zaś zeznali, że Edward Malinowski aktywnie pomagał Żydom. Ze świadectw wynika, że stodoła sołtysa była schronieniem dla wielu z nich.

Na tym etapie rozpoznania sprawy doszło do spotkania Macieja Świrskiego i Filomeny Leszczyńskiej, bratanicy Edwarda Malinowskiego. Mieszkańcy Malinowa potwierdzili przebieg zdarzeń, jaki został ustalony przed sądem w roku 1950, dodając do niego jeszcze rozmaite szczegóły wzmacniające przekonanie ekipy RDI, że Malinowski jest przez Engelkinga oskarżany bezpodstawnie. Dodajmy, że po wojnie rodzina Malinowskiego wspomagała poakowski oddział Czesława Pileckiego „Jaskółki”, a także jeszcze w roku 1954 por. Kazimierza Krasowskiego „Głuszcza”, potwierdzając gotowość do odwagi i poświęceń w sytuacjach zagrożenia. Syn Edwarda zaś porwał w 1949 r. samolot rejsowy i uciekł do Szwecji, gdzie uzyskał azyl. Po tym spotkaniu, jak relacjonuje Świrski, zapadła decyzja, że RDI zaangażuje się w obronę dobrego imienia Edwarda Malinowskiego. „Postanowiłem wesprzeć panią Filomenę Leszczyńską w jej walce o dobre imię jej stryja. Nie tylko dlatego, że publikacja pod red. prof. Jana Grabowskiego i prof. Barbary Engelking stawia tak ciężkie zarzuty polskiemu bohaterowi, kalając jego dobre imię, lecz także z tego względu, że w naszej ocenie cała ta sprawa może być modelowym wręcz przykładem wybiórczego wykorzystywania źródeł historycznych, co może się przekładać na niszczenie dobrego imienia nie tylko Edwarda Malinowskiego, lecz także innych Polaków czy wreszcie Polski”.

Zespół badawczy RDI tymczasem poszukiwał źródeł dla nieopatrzonych przypisami informacji o „fałszywych

zeznaniami” Drogickiej służących obrońce Edwarda Malinowskiego w latach 1949–1950 i szczegółach jej losów w czasie robót. Wyjaśnienie sprawy było utrudnione także tym, że w Malinowie było wielu Malinowskich i przynajmniej jeszcze jeden o imieniu Edward. Jego losy także, jak się okazało, splotyły się z losami Estery Drogickiej, co poważnie myliło tropy dotyczące rozpoznania osób.

Z mimowolną pomocą Maciejowi Świrskiemu przyszła dziennikarka „Gazety Wyborczej”. W przesłanych pytaniach do przygotowywanego tekstu na temat pozwu o naruszenie dóbr osobistych, który przeciw autorom „Dalej jest noc” skierowała do sądu Filomena Leszczyńska, pojawiło się nowe nazwisko Drogickiej – Wiltgren. We wspomnieniach Marii Wiltgren zarejestrowanych dla Shoah Foundation rzeczywiście znaleziono opowieść o „fałszywych zeznaniach”. Sprawę pozwoliły wyjaśnić szczegóły tych wspomnień. W Malinowie Drogicka/Wiltgren kontaktowała się głównie z Edwardem Malinowskim II, z nim korespondowała i handlowała, będąc na robotach, i jego odwiedzała. To ten Edward Malinowski najprawdopodobniej był osobą, która w 1949 r. doniosła na sołtysa Malinowskiego i która opowiedziała Drogickiej, że to ten pierwszy przyczynił się do śmierci Żydów ukrywających się w lesie. Trzeba dodać, że w życiorysach Drogickiej/Wiltgren z lat 1949 i 1996 jest wiele rozbieżności w kwestii wydarzeń wojennych, także z okresu spędzonego w Malinowie.

Gdy Engelking pisze: „Natomiast Estera Drogicka (z domu Siemiatycka) po stracie rodziny [tu przypis numer 396], zaopatrzona w dokumenty kupione od Białorusinki, postanowiła wyjechać do Prus na roboty, w czym pomógł jej sołtys Malinowa Edward Malinowski (przy okazji ją ograbił) – i w grudniu 1942 r. trafiła do Rastenburga (Kętrzyna) jako pomoc domowa w niemieckiej rodzinie Fittkau. Nie tylko poznała tam swojego drugiego męża (Polaka, który także był na robotach), lecz rozwinęła działalność handlową, przesyłając Malinowskiemu paczki z artykułami na sprzedaż. Odwiedziła go, gdy jechała na urlop »do domu« – mowa jest o Edwardzie II, mylnie utożsamionym z sołtysiem. W następującym fragmencie: „Zdawała sobie sprawę, że jest on współwinnym

śmierci kilkudziesięciu Żydów, którzy ukrywali się w lesie i zostali wydani Niemcom, mimo to na jego procesie po wojnie złożyła fałszywe zeznania w jego obronie”, autorka studium podaje z kolei jako prawdę opowieść, którą Wiltgren prawdopodobnie usłyszała od Edwarda II na temat sołtysa Malinowa. Pokrywa się ona przecież z treścią późniejszego donosu. Engelking łączy dwie osoby w jedną, a niespójności przesłania poprzez odsianie niewygodnych źródeł.

SELEKCJA MATERIAŁU

Dojście do wszystkich szczegółów historycznych tej sprawy z całkowitą pewnością wymagałoby zapewne jeszcze nieco wysiłku. Wiele z nich można znaleźć w szczegółowym opracowaniu sprawy przygotowanym przez Macieja Świrskiego na stronie RDI. Jedno jest pewne – sołtys Edward Malinowski nie brał udziału w Zagładzie i czynnie pomagał Żydom, a także padł ofiarą niesłusznego oskarżenia. Choć sprawa jest złożona, to treści, jakie znajdujemy w „Dalej jest noc” na temat sołtysa Malinowa, raczej nie mogły być tylko pomyłką, jak broniła się autorka. Wydaje się, że mamy do czynienia z selekcją materiału, w której Engelking wybrała jako główne źródło jedno z dwóch niespójnych wspomnień Marii Wiltgren, wyciszając zeznania kilkudziesięciu osób świadczących za sołtysiem Malinowskim w szczegółowym procesie z lat 1949–1950. Pomyłka nie byłaby zresztą usprawiedliwieniem. Jak pokazał Maciej Świrski z RDI, musiałaby ona wynikać z powierzchownej kwerendy i nonszalanckiej analizy.

Barbara Engelking, przyznała się do takiej „pomyłki”, a jej opinia, że sąd nie może decydować o prawdziwej historycznej, jest kuriozalna. Sądy robią to nieustannie, badając materiał dowodowy spraw, rozstrzygają o prawdzie, a także ludzkich losach. Jeśli historycy z kogoś, kto bardziej zasługuje na miano bohatera, robią zbrodniarza, tak jakby był on tylko papierową postacią literacką, której losy można swobodnie przetwarzać, to sami powinni sądowi podlegać, ponieważ chodzi o ludzi rzeczywistych. Efekt takiej pracy pisarskiej trudno doprowadzić nazwać wynikami badań naukowych. Przeprasiny, jakie na razie prawomocnie zasądzone, powinny być w tej sytuacji – i bez procesu – jakimś minimum przyzwyczajenia.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!
Poruszający wywiad
z Żołnierzem Wyklętym
– Ryszardem
Staszkiewiczem
„Łosiem”

Piotr Lipiński – **WiN w ubeckiej matni**
Sławomir Cenckiewicz – „Afera Bergu”
Maciej Rosalak – **Zagłada Indian w USA**
Miroslaw Szumiło – **Tragedia traktatu ryskiego**
Piotr Zychowicz – **Zagłada kresowego gniazda**
Tomasz Stańczyk – **Czy Mińsk mógł być w II RP?**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Bratnie partie – PO i PiS**
Jakub Ostromecki – **Fałszywe śledztwo FBI**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



Piotr Semka

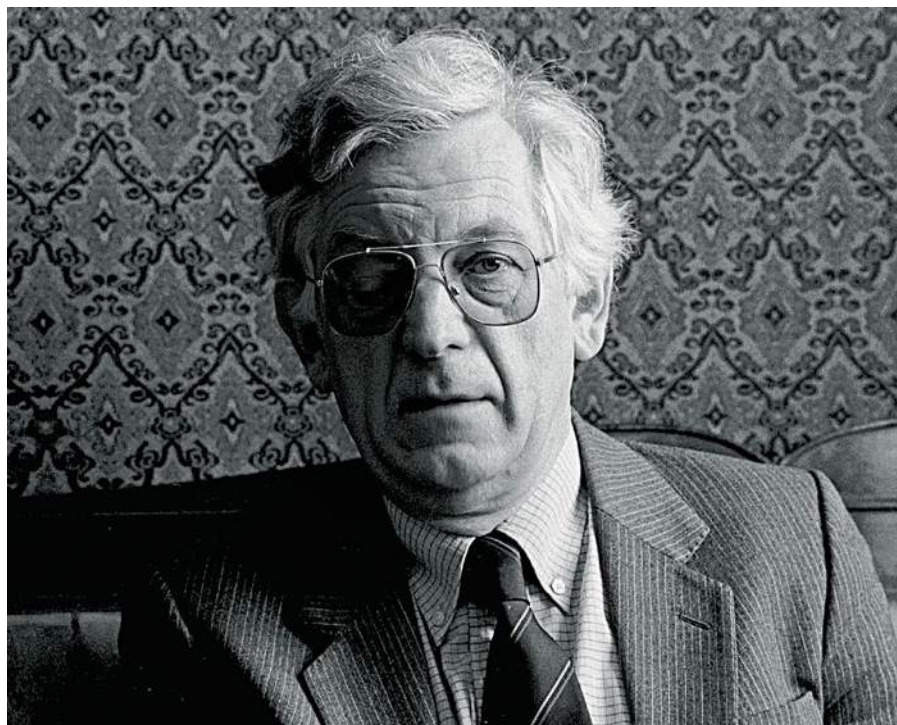
Należał do pokolenia, które przez dekady PRL pracowało na rzecz powrotu Polski do struktur Zachodu. Gdy już to się stało, zabiegał, by członkostwo w Unii szanować i pielęgnować. Często z przesadną niechęcią do jakiegokolwiek polemiki z głównymi graczami unijnymi

Reprezentował pokolenie urodzonych na początku lat 30. XX w. Rówieśnik Jana Olszewskiego, Ryszarda Kuklińskiego czy Leszka Moczulskiego. Wszyscy wyrastali w aurze AK-owskiej legendy, ale zły los wepchnął ich w dorosłość w momencie największego triumfu stalinizmu. Musieli przyglądać się bezsilnie, jak wszystko to, co było dla nich święte, spotwarzano, a bohaterów z pokolenia starszych braci zabijano na Rakowieckiej strzałem w potylicę. Każdy z nich musiał przejść przez fazę mimikry, utrzymując w sercu wierność dla idei niepodległości Polski.

W wypadku Zdzisława Najdera sposobem na zachowanie wierności wobec samego siebie była fascynacja książkami Józefa Conrada Korzeniowskiego, a potem badania nad twórczością pisarza w czasie studiów na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Conrad zyskał w powojennych latach status symbolu. Wpłynęła na to polemika marksisty Jana Kotta z pisarką Marią Dąbrowską. Kott dyskredytował Conrada jako piewę interesów brytyjskich armatorów, Dąbrowska broniła poczucia wewnętrznej wierności, które zachowują jego bohaterowie.

Po latach Zdzisław Najder tak pisał o istocie doświadczenia Conrada:

„Miał sześć lat, kiedy na jego współczesnych zwał się dramat powstania styczniowego. Pochłonął życie kilku członków najbliższej rodziny. Odwaga i żarliwość, dążenia do niepodległości państwa i do sprawiedliwości społecznej w narodzie, bezinteresowność i poświęcenie setek tysięcy ludzi goto-



FOT. ANDRZEJ IWANCIUK/REPORTER

Konradysta praktyczny

Zdzisław Najder (1930–2021)

wych do ofiary – okazały się daremne, przyniosły pokonanym śmierć, wygnanie, ubóstwo i poniżenie.

W swoim polskim bagażu duchowym Joseph Conrad znajdował doświadczenie brutalnej przemocy i braku wolności, przeżyte podczas zesłania; i więcej: świadomość poniżenia i znieprawienia, jakie niesie ze sobą niewola u obcych”.

Najder widział w Conradzie piewę ducha wierności swoim ideałom. I to zbliżyło go do innego arystokraty ducha tamtych szarych lat PRL – Zbigniewa Herberta. Ich wieloletnia przyjaźń była zbudowana na podobnych wartościach.

„Jego humor, oparty na autoironii, był bardzo pouczający, i ja stałem się w jakimś sensie jego naśladowcą” – wspominał po latach Najder.

DROGA NA ZACHÓD

Od 1952 do 1957 r. Najder był pracownikiem naukowym w Instytucie Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk. Potem przeszedł do redakcji miesięcznika „Twórczość” (1957–1959 i 1969–1981). W 1958 r. podjął pracę kierownika naukowo-dydaktycznego w Katedrze Estetyki UW, ale w 1959 r. został zwolniony.

Twórcze badania nad Conradem otworzyły mu drogę na Zachód. W latach 1965–1997 był wykładowcą literatury polskiej i angielskiej oraz filozofii na uniwersytetach zagranicznych, na czele z prestiżowymi wykładami na Columbii i w Yale.

W Najderze pulsowała też dusza kogoś, kto o niepodległości nie tylko marzy, lecz także chce podjąć bezpośrednie prace koncepcyjne nad jej przywróceniem.

W 1975 r. wskutek kontaktów z Janem Olszewskim wyłania się pomysł utworzenia Polskiego Porozumienia Niepodległościowego. 3 maja 1976 r. program PPN ukazuje się na łamach „Tygodnia Polskiego” w Londynie. Chodziło o stworzenie forum dyskusyjnego, które zaczęłoby przedstawiać społeczeństwu raporty analizujące rozwój sytuacji międzynarodowej. W PPN Najder spotkał w tym kręgu wielu swych kolegów ze środowisk literackich, takich jak Wojciech Karpiński czy Jan Józef Szczepański. W pracach nad raportami PPN Najder kładł nacisk na potrzebę pojednania z Niemcami jako warunkiem uniezależnienia się do ZSRS (np. w raporcie „Polska i Niemcy” z 1978 r.) i popieranie niepodległościowych dążeń Ukraińców, Białorusinów i narodów państw bałtyckich.

Gdy wybucha ruch Solidarności – Najder wspiera go, jak może, i zapisuje się nawet do związku. W czasie pobytu na Zachodzie stara się tłumaczyć cele polskiej pokojowej rewolucji. Stan wojenny 13 grudnia 1981 r. zastaje go w czasie wykładów w USA. W 1983 r. otrzymuje od Amerykanów propozycję objęcia funkcji szefa Radia Wolna Europa. Za jego rządów program unowocześniono, po tym jak w latach 60. i 70. zastygł w coraz bardziej staroświeckiej formie. Najder zaprasza do pracy w RWE m.in. Jacka Kaczmarskiego. Część zespołu traktowała go jako kogoś narzuconego spoza zespołu radia. Nie wszyscy rozumieją sens zarządzanych przez niego zmian. Władze PRL mszczą się na nim wydaniem zaocznego wyroku śmierci za rzekome szpiegostwo dla CIA.

Mimo ochrony amerykańskich służb przez kolejne siedem lat zmusi go to do życia w stałej obawie o własne bezpieczeństwo.

Radio Wolna Europa za jego rządów przyjmuje na siebie ciężką rolę podtrzymywania nastrojów oporu w Polsce w połowie lat 80. Sam Najder wykorzystuje czas na emigracji do docierania do amerykańskich polityków z postulatami polskiej niepodległości. Mimo życzliwej postawy

Reagana – wciąż silna jest wówczas tendencja części kongresmenów do uznawania Polski za domenę wpływów Kremla. Radiem Wolna Europa kieruje do 1987 r.

Do Polski wraca pewien czas po przełomie czerwca 1989 r., na początku 1990 r. Wtedy już Lech Wałęsa zaczyna się obawiać absolutnej dominacji Bronisława Geremka i solidarnościowej lewicy nad ruchem komitetów obywatelskich Solidarności. Chcąc spluralizować ten ruch, 22 lutego 1990 r. Wałęsa mianuje Najderę przewodniczącym ruchu komitetów, choć sekretarzem KO pozostaje zbliżony do Geremka Henryk Wujec. Geremek przyjmuje nominację Najderę jako wyzwanie. Na długie lata Najder stanie się szwarczakiem w środowisku Michnika i późniejszej Unii Demokratycznej.

Najder nie przejmując się kuluarowymi atakami na swoją osobę i wskazuje, że komitety muszą za swój cel uznać doprowadzenie Polski do normalnego systemu partyjnego. Polemizuje z wizją Michnika, w myśl której komitety mają stać się ruchem społecznym, który ma trzymać parasol nad rządem Tadeusza Mazowieckiego i reformami Leszka Balcerowicza. Najder mówił wtedy: „Okres użyteczności formuły Okrągłego Stołu dobiegł końca. Trzeba uniknąć sytuacji, w której Komitet Obywatelski przy Lechu Wałęsie i komitety lokalne staną się walcem, który spłaszcy nasze życie polityczne. Musimy teraz pomyśleć o przygotowaniu w pełni wolnych wyborów parlamentarnych”.

Wierność tradycji walki o niepodległość Polski i doświadczenia z „wojny na górze” skłoniły go do przyjęcia roli doradcy przy Wałęsie w czasie kampanii prezydenckiej, a potem roli doradcy premiera Jana Olszewskiego. Najder wspiera w tym pionierskie działania na rzecz akcesji Polski do NATO.

Za to zaangażowanie w rząd Jana Olszewskiego – po obaleniu gabinetu – przyjdzie mu zapłacić. Wałęsa, który przez Mieczysława Wachowskiego miał dostęp do archiwów SB, wyciągnął wówczas na jaw informacje, że w latach 1958–1963 Najder został zarejestrowany jako tajny współpracownik SB o pseudonimie Zapalniczka.

Sam Najder, który przebywał w chwili ujawnienia tej informacji we Francji, bardzo spokojnie wyjaśnił, że był taki okres jego życia, ale ani nie wiedział o swoim pseudonimie, ani nigdy nie uważał się za agenta. Przyznał jednak, że w 1958 r. „samodzielnie zgodził się” na „dłuższe roz-

mowy” ze Służbą Bezpieczeństwa, które miały na celu „wprowadzenie SB w błąd i ukrywanie tego, co rzeczywiście robili moi przyjaciele [...] i co robiłem ja sam”.

„Gazeta Wyborcza” wykorzystała całą sprawę do zemsty na ekipie Olszewskiego. Adam Michnik w szyderczym komentarzu usiłował doprowadzić całą ideę lustracji do absurdu i szydził: „Zapalniczka to też ja”.

Najder podszedł do sprawy bardzo trzeźwo, przypominając, że nie podlegał ustawie sejmowej, i spokojnie deklarował: „Bardzo się cieszę, że zostałem sprawdzony. Jestem gotów udzielić wszystkich wyjaśnień”.

ODEJŚCIA I POWROTY

Ten burzliwy incydent zraził go na długo do krajowej polityki. Skupił się na badaniach nad swoim ukochanym Conradem oraz wykorzystywał swoje wpływy i znajomości do promowania starań Polski o wejście do Unii Europejskiej i NATO. Od 1997 do 1998 r. był doradcą Ryszarda Czarneckiego jako przewodniczącego Komitetu Integracji Europejskiej w rządzie Jerzego Buzka.

Po roku 2000 Najder oddalał się od bieżącej polityki. Był coraz bardziej krytyczny wobec polityki Jarosława Kaczyńskiego. Raziło go konfliktowanie się z Niemcami i Francją. Oburzał się też na branie Zbigniewa Herberta na sztandary walki obozu IV RP. „Herbert używał czasem swego statusu wielkiego poety w słusznej sprawie. Ale jego poezja, przesycona tragizmem, nie nadaje się do odczytywania w kategoriach aluzji politycznych” – mówił w 2009 r. w 10. rocznicę śmierci swego przyjaciela.

W ostatnich latach życia znów poszukiwał afiliacji politycznych i związał się w 2016 r. ze Stowarzyszeniem Europejscy Demokraci, odpryskowej grupy z PO pod wodzą Jacka Protasiewicza, Michała Kamińskiego i Stefana Niesiołowskiego.

Należał do pokolenia, które przez dekady PRL pracowało na rzecz powrotu Polski do struktur Zachodu. Gdy już to się stało – zabiegał, by członkostwo w Unii szanować i pielegnować. Często z przesadną niechęcią do jakiegokolwiek polemiki z głównymi graczami unijnymi i bez refleksji nad tym, jak Europa się przeobraża. Nie zmienia to jednak jednego – bez odwagi takich ludzi jak Zdzisław Najder w latach 70., 80. i 90. Unię Europejską oglądalibyśmy wciąż z zewnątrz.



Krystian Kratiuk



Sondaż CBOS na temat poglądów politycznych polskiej młodzieży szeroko komentowali zarówno lewicowcy, symetryści, jak i ludzie prawicy. Jednych wyniki zachwyciły, innych załamały. Mało kto zauważył jednak sedno sprawy

Po opublikowaniu sondażu lewica wpadła w zachwyt, gdyż okazało się, że poglądy lewicowe deklarują dziś najwięcej osób (w wieku od 18 do 24 lat) w historii tych badań. Liczni przedstawiciele prawicy załamywali zaś z tego samego powodu ręce, podkreślając gwałtowny wzrost deklaracji lewicowości w ostatnim roku.

I rzeczywiście, z badania wynika, że lewicowe sympatie deklaruje 30 proc. ankietowanej młodzieży, co oznacza niemal dwukrotny wzrost w stosunku do poprzednich lat. CBOS podkreśla, że to najwyższy poziom w historii badań – po raz pierwszy od 20 lat większy odsetek tej grupy wiekowej wyraża też sympatię dla lewicy niż dla prawicy.

DŁUGOWIECZNOŚĆ PIS

Warto podkreślić, że nie ujawniono, co według kryteriów CBOS jest lewicowe, a co prawicowe dziś, a co było takie przy poprzednich badaniach. Trudno więc wyciągać poważne wnioski porównawcze – o ile np. w roku 2000 lewicowym poglądem mogło być wprowadzenie kolejnego podatku, o tyle dziś podatki na potęgę wprowadzają partie same siebie nazywające prawicą.

W pierwszych internetowych komentarzach niemal nikt nie zauważył, że różnica między deklaracjami lewicowości a prawicowości to zaledwie 3 punkty procentowe, a więc różnica mieszcząca się w okolicach błędu statystycznego – prawicowe poglądy nadal deklaruje bowiem aż 27 proc. badanych. Reszta to osoby deklarujące poglądy centrowe lub wybierające opcję „trudno powiedzieć”. To właśnie te dwie grupy tracą najwięcej – „prawicowość” w ostatnich latach również nieco zyskiwała, wskaźnik wzrósł bowiem z 23 do 27 proc.



FOT. MAREK M. BIECZYSKI/REPORTER

Młodzież spolaryzowana

Osób deklarujących poglądy centrowe jest dziś trochę mniej niż przed rokiem (ok. 5 punktów procentowych), ale już osób, które odpowiedziały „trudno powiedzieć”, jest znacznie mniej niż w ubiegłych latach (spadek z 31 proc. do 17 proc.). Jeżeli więc z młodymi ludźmi, którzy do tej pory nie interesowali się sporami politycznymi, możemy utożsamiać tych, którzy dotychczas odpowiadali „trudno powiedzieć”, wówczas oznacza to, że duża część tej kategorii przeniosła się do kategorii „poglądy lewicowe”.

Czy jest w tym coś nadzwyczajnego? Oczywiście nie. Wystarczy spojrzeć na historyczne deklaracje w sondażach CBOS, zadającego to samo pytanie osobom w tej samej grupie wiekowej od lat, by stwierdzić, że grupa ta zawsze zmienia swoje preferencje wyborcze w zależności od tego, kto rządzi. Pisząc

dokładniej – po latach rządów danej opcji młodzi Polacy są przeciwko niej.

Oto dowody: radykalny wzrost liczby młodych osób deklarujących sympatię dla prawicy (od 16 do 28 proc.) odnotowano w latach 1994–1997, a więc w latach rządów SLD.

Potem mieliśmy do czynienia w tej grupie wiekowej z radykalnym wzrostem sympatii lewicowych (17–26 proc.) w latach 1997–2000, a więc za rządów AWS.

Kolejny wzrost sympatii dla prawicy (z 18 do 25 proc.) to lata 2001–2005 (okres ponownych rządów SLD), następnie zaś schyłek rządów PO-PSL, a zatem okres 2013–2015 (tu wzrost z 21 do 32 proc.).

Wniosek? Banalny – młodzież jest zawsze przeciwko władzy, a im dłużej dana opcja utrzymuje się u steru rządów, tym skoki poparcia dla opcji



przeciwnej są wśród młodych gwałtowniejsze.

BAŃKA ALGORYTMÓW

Dużo istotniejszymi kwestiami dla wszystkich stron bitwy o rząd dusz młodzieży wydają się zatem silna i postępująca polaryzacja oraz radykalne zmniejszenie się liczby osób deklarujących, że „trudno powiedzieć”, czy ich poglądy są lewicowe czy prawicowe.

Z czego to wynika? Otóż, po pierwsze, ze wspomnianej już zmiany rozumienia słów „lewica” i „prawica”. Głośny sondaż jest jednak na tyle nieprecyzyjny, że możemy poruszać się w interpretacji tylko w ramach intuicji. A ona podpowiada, że młodzi rozumieją politykę głównie jako spór światopoglądowy.

Po drugie, gwałtowne zmniejszenie liczby odpowiedzi „centrowych” i „trudno powiedzieć” pokazuje, że Polacy między 18. a 24. rokiem życia ulegają temu samemu procesowi co ich rówieśnicy (ale i inne grupy wiekowe) we wszystkich miejscach na Zachodzie. Chodzi o proces polaryzacji.

Sprzyja temu spektakularny rozwój mediów społecznościowych, których sposób działania polega na zamykaniu użytkowników w bańkach informacyjno-swiatopoglądowych. Warto się temu przyjrzeć dokładniej, na potrzeby niniejszego tekstu ujmijmy temat w ogromnym skrócie – otóż jeśli w gronie wirtualnych znajomych osoby o niezdefiniowanych

poglądach pojawia się ktoś o lewicowych poglądach i jej zdjęcie/komentarz/post/reakcja zostaną dobrze ocenione przez użytkownika, wtedy zaczyna się spirala poleceń związanych z tą opcją. To samo dotyczy się nieosobowych profili w mediach społecznościowych, z których większość kojarzona jest przez aplikacyjne algorytmy jako lewicowa (bo takie są dziś rzekomo niemające barw politycznych np. produkcje filmowe, kulturowe, muzyczne, medialne, life-style’owe itp.).

Dzisiejsza 19-latką, która założyła konto na Facebooku czy Instagramie w roku 2017, jeśli tylko nie posiada bardzo silnej identyfikacji ideowej z inną niż lewa strona (np. jeśli na dzień dobry nie polubiła stricte prawicowych czy konserwatywnych stron i fanpage’ów), jest w rzeczywistości skazana na trwanie w lewicowej bańce. I trwa w niej, nawet o tym nie wiedząc. W ten sposób zaczyna jej się wydawać, że „wszyscy wokół” lubią rzeczy lewicowe, i nie jest w stanie pojąć, jak to możliwe, gdy w realnym świecie spotyka swego rówieśnika mającego inne zdanie od niej. Zabawną „ofiara” nieświadomości tego sposobu działania algorytmów mediów społecznościowych stał się kilka lat temu, należący do zupełnie innej grupy wiekowej, były poseł PO Tadeusz Ross – po kolejnych wyborach przegranych przez jego formację pytał bowiem żałośnie, jak to możliwe, że PiS znów triumfował, skoro wszyscy ludzie, których zna, i wszyscy jego znajomi z Facebooka głosowali na Platformę...

Owa swoista algorytmizacja życia społecznego (ukazana bardzo ciekawie w netflixowskim filmie „Social Dilemma”, w którym ostrzegali przed nią również sami współtwórcy internetowych gigantów, w pewnym momencie zorientowawszy się, w jak złym kierunku zaszła realizacja ich pomysłów) wyzwała jeszcze inne zjawisko. Otóż wśród młodych ludzi radykalnie wzrasta akceptacja używania nie tylko radykalnego języka odczuwającego przeciwnika, lecz także radykalnych występów, czego doskonałym przykładem są coraz bardziej odrażające słowa i czyny aktywistów Strajku Kobiet oraz rosnąca akceptacja tychże czynów przez najmłodszych użytkowników mediów społecznościowych.

KTO SKORZYSTA, A KTO STRACI?

Jakiegokolwiek byłyby przyczyny i mechanizmy tworzenia się polaryzacji udowodnionej przez sondaż CBOS, ktoś

na niej skorzysta, a kto inny straci. Warto jednak pamiętać, że na arenie walki o rząd dusz w Polsce poruszają się nie tylko partie polityczne, lecz także media oraz inne ośrodki kształtowania opinii publicznej (choćby wielkie organizacje pozarządowe), a także Kościół. Czy w tych niełatwych dla tej instytucji czasach w jego władzach jest jakkolwiek refleksja na temat zmian społecznych oraz reakcji na nie?

Nie chodzi mi wcale o „wyjście z ofertą” do tych młodych ludzi, którzy dziś masowo deklarują poglądy lewicowe, co w naszym nadwiślańskim dyskursie równa się poglądom antykatolickim, antyklerykalnym i antykościelnym. O to apeluję od dawna inni publicyści i niech oni się na tym skupiają. Ja zastanawiam się bowiem, czy polski Kościół chce, by niemal równie masowo deklarujący poglądy prawicowe młodzi ludzie mieli o tym Kościele dobre zdanie i chcieli trwać w jego ramach oraz podzielać jego społeczne zapatrywania, choćby w dziedzinach dotyczących najjastrawszych dziś konfliktów światopoglądowych (aborcja, eutanazja, in vitro, cała ogromna agenda LGBT czy ograniczanie wolności w imię pandemii itp.). Śledząc działania niektórych polskich biskupów oraz wielu wpływowych duchownych, którzy w żaden sposób nie reagują na rozprzestrzenianie się w Kościele lewicowych poglądów, za to z nieposkromioną lubością krytykują a to konserwatywnych katolików, a to kibiców, a to rozmodlonych w tradycyjny sposób świeckich, a to narodowców, a to obrońców kościołów (z dni, w których rzucały w nie jajkami i dewastowały je sprejami aktywistki spod znaku wieszaka), można mieć ogromne wątpliwości, czy Kościołowi zależy choćby na utrzymaniu stanu posiadania wśród młodych ludzi.

A warto zdać sobie sprawę, że dziś, w tak trudnych medialnie dla całej światowej prawicy czasach, gdy w Polsce rządzi usilnie kompromitowany (ale i nierzadko kompromitujący sam siebie) PiS, poparcie dla poglądów prawicowych deklaruje wciąż niemal 30 proc. osób w wieku od 18 do 24 lat. To bardzo dużo, za czasów zaś rządów nazywanych prawicowymi, najwięcej od 1998 r., a więc od pierwszych miesięcy rządów AWS. A mówimy o nadzwyczajnej sytuacji, w której partia mieniąca się prawicową (i tak też definiowana przez jej oponentów) rządzi już szósty rok!

To prawdziwy polski ewenement. Tylko kto, jak i dla jakich celów zechce go wykorzystać?

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym PCh24.pl.

KAMILA BARANOWSKA: W 2020 r. odsetek młodych Polaków (w wieku od 18 do 24 lat) o poglądach lewicowych wzrósł w stosunku do poprzedniego roku niemal dwukrotnie, osiągając najwyższy poziom w historii badań CBOS, czyli 30 proc. Zaskakują pana profesora te dane?

PROF. RAFAŁ CHWEDORUK: Specjalnie nie zaskakują. Protesty związane z werdyktem TK w sprawie aborcji były, jeśli chodzi o zasięg, jednymi z największych, o ile nie największymi protestami w Polsce po roku 1989. Musiały więc zostawić ślad w świadomości społecznej. Na to nałożyła się pandemia, a także sytuacja, w której PiS rządziło pełną kadencję, wygrało w sposób wyraźny całą serię kolejnych wyborów i zaczęło wytracać nimb antyestablishmentowy, który do tej pory towarzyszył głównej partii prawicy. Do tego dochodzi jeszcze coś, co nazywam „efektem prezydenta Matyjaszczyka”.

Krzysztof Matyjaszczyk to wieloletni prezydent Częstochowy z nadania SLD.

Został prezydentem, gdy SLD nie było już największą partią w kraju. Częstochowa zawsze była miastem z dużym poparciem dla lewicy, ale jego zwycięstwo nie byłoby możliwe, gdyby bazował tylko na elektoracie lewicowym. To znaczy, że głosują na niego także zwolennicy Platformy oraz wyborcy wahający się w swoich preferencjach. To taka forma buntu przeciwko Jasnej Górze, nie motywowana światopoglądowo, lecz bardziej związana z protestem przeciw temu, że Częstochowa stała się miastem turystycznym, a niewiele z tego ma. Głosowano tam na lewicę dlatego, że ona była jedyną konsekwentnie antyklerykalną, a przy tym w miarę poważną alternatywą. To była taka lewicość bardziej skierowana przeciwko czemuś aniżeli optująca za czymś, i tak też widzę obecną sytuację – poprzemy tego, kto jest antynomią wobec PiS. A w naturalny sposób – i z powodów kulturowych, i z powodów historycznych – jako antynomia jawi się lewica.

Do tego dodałbym jeszcze mechanizm przyjęcia na siebie stygmatu. Otóż, z historycznych przyczyn słowo „lewica” przez lata było w Polsce stosowane przez część środowisk politycznych jako obelga. A jeśli rządzący przeciwników nazywają nieustannie lewakami, to oni sami w pewnym momencie mogą się z tym zacząć identyfikować, neutralizując ten stygmat. I to może być także wyjaśnienie owej mody na lewicość.



Z dr. hab. Rafałem Chwedorukiem,
politologiem, profesorem
Uniwersytetu Warszawskiego
rozmawia Kamila Baranowska

Młodzi nie zagłosują już na PiS

Dlaczego to wahadło wśród młodych odbiło w lewo właśnie teraz, dlaczego to w minionym roku po raz pierwszy od niemal 20 lat lewicowe sympatie przeważały u nich nad prawicowymi?

Rok 2020 stał się tylko momentem ujawnienia się zmian społecznych, które dokonywały się od lat. Stało się tak za sprawą pojawienia się tematu aborcji. To pozwoliło znaleźć wspólny mianownik pomiędzy bardzo różnymi grupami spo-

łecznymi, które oczywiście były dosyć odległe od PiS, ale które więcej dzieliło, niż łączyło. To nie jest spór typowy dla „culture wars” XXI w. To jest spór, który tak naprawdę przez świat zachodni już się przetoczył – od lat 40. do końca XX w.

To, że u nas to nastąpiło teraz, jest też pochodną szerszego kontekstu. Po pierwsze globalizacji, która zmienia więzi społeczne, pogłębia indywidualiza-

cję, która zmieniała rynek pracy. Mamy do czynienia z pokoleniami, które nie miały niczego stałego w życiu, egzystującymi w cieniu ciągłych zmian. Kolejne etapy edukacji trwały dość krótko, przyjaciół w Internecie zmienia się szybko, także migracje wpływają na poglądy polityczne. Do tego młodym ludziom zawsze łatwiej jest wchodzić w konflikty tożsamościowe niż w te społeczno-ekonomiczne, ponieważ nawet jeśli pracują, to często od tej pracy nie zależy jeszcze ich utrzymanie, więc nie jest to dla nich tak istotne. To jest naturalna reakcja na zmiany cywilizacyjne, niemożliwa do zatrzymania, a w polskim przypadku kumulująca zjawiska typowe dla drugiej dekady XXI w. z takimi, które na Zachodzie zaszły 20 czy 30 lat wcześniej.

Wychodzi na to, że prawica niewiele mogła zrobić poza odwiekaniem tych zmian w czasie?

Proces był nieuchronny, co nie zmienia faktu, że akurat PiS politycznie umiejętnie potrafił odciągać w czasie jego skutki. Prawica w Polsce jeszcze w latach 90. była prawicą czysto tożsamościową, której spojrzenie na świat wyznaczały poglądy na historię, stosunek do Kościoła, do konfliktów związanych z obecnością religii w życiu publicznym, natomiast poglądy na gospodarkę były mniej istotne, przy tym niespójne, rozciągnięte od fanów Korwin-Mikkego do związkowców z Solidarności. PiS to zmienił. Do konserwatywnej tożsamości dodał socjał, stając się prawicą, która jest czymś więcej niż w latach 90., jest taką prawicą plus. I dzięki temu wygrał wybory. Teraz, skupiając się znów na kwestiach tożsamościowych, staje się tą prawicą z lat 90., znów wywołując negatywne reakcje u wyborców.

Jakie to może mieć polityczne konsekwencje?

PiS przez ostatnią dekadę przygotowywał się do zachodzących zmian, widąc, że inwestował w nową generację polityków, dużo bardziej umiarkowanych, którzy mieli zwiększać poparcie dla PiS. Jednak ta jedna decyzja Trybunału puściła z dymem to, co PiS udało się zrobić na przestrzeni co najmniej dwóch kadencji parlamentu.

Partia znalazła się z powrotem w sytuacji sprzed dekady. To nie oznacza, że już dziś wiadomo, na kogo młodzi ludzie zagłosują w 2023 r. Jedno wiadomo na pewno – że nie zagłosują już na PiS. PiS będzie musiał się bardzo starać, aby poparcie,

które wywalczył sobie u młodych ludzi w poprzednich wyborach – z reguły było to ok. 20–25 proc. – w ogóle utrzymać.

Jak to nie wiadomo, na kogo młodzież zagłosuje? Politycy lewicy już otworzyli szampana.

To jest jakiś sukces całej opozycji, w tym sensie, że będzie to głównym czynnikiem osłabienia poparcia dla PiS. Dzięki temu opozycja po raz pierwszy może realnie dyskutować nie o tym, że może się zbliżyć w sondażach do PiS, lecz o tym, że bez względu na konfigurację, w jakiej wystartuje, może mieć szansę na przejęcie władzy. Widzimy w badaniach, że po raz pierwszy poważny segment elektoratu PiS zawahał się w swoich sympatiach politycznych i uciekł bynajmniej nie do PO czy SLD, ale w deklaracje absencji. Z punktu widzenia samej lewicy, po katastrofie wyborczej Roberta Biedronia w wyborach prezydenckich, protesty po decyzji Trybunału pozwoliły znaleźć temat, który pokazał wyborcom lewicę kontrastującą z całą resztą opozycji, która nie ma tak wyrazistego poglądu na kwestie liberalizacji ustawodawstwa antyaborcyjnego.

W badaniach widoczny jest także coraz większy rozjazd w poglądach na prawo i lewo, coraz mniej przestrzeni na poglądy centrowe. Radykalizm to przymiot młodego wieku i często się z niego wyrasta. Czy podobnie będzie i tym razem?

Gdyby poglądy z młodością zostawały z nami przez całe życie, to pewnie w Polsce kończylibyśmy już kolejną kadencję prezydentury Janusza Korwin-Mikkego. Oczywiście, że następuje zderzenie z życiem dorosłym i wówczas okazuje się, że „500+” jest ważniejsze niż zmiana nazwy ulicy, więc to nie będzie prosty proces przełożenia na stałe poparcie. Warto dodać, że np. w Austrii czy Irlandii laicyzacja dokonała się gwałtownie, z pokolenia na pokolenie. Pojawili się nagle młodzi ludzie o kompletnie innych poglądach niż ich rodzice, ale nie miało to przełożenia na politykę. Dokonało się niejako obok partii politycznych.

Nie mam cienia wątpliwości, że poglądy młodych ludzi w Polsce będą się z czasem dywersyfikować, choćby dlatego, że młodzież żyje w kulturze, w której wszystko dzieje się szybko i trwa krótko, a identyfikacja polityczna jest czymś dużo bardziej doraźnym niż w starszych pokoleniach. Natomiast ten rok pokazuje, że prawica ma tam perspektywy najmniejsze.

Te straty wśród młodych są dla PiS nie do odrobienia?

PiS ma kilka możliwości. Może albo konsolidować się wewnętrznie, by mieć gwarancje przetrwania, nawet w razie porażki wyborczej, albo może próbować wrócić do społecznego centrum, uciekając od tożsamościowych kwestii. Na razie może liczyć na liberalną opozycję, gdzie liczni kandydaci na marszałków już się zaczynają okładać buławami noszonymi w tornistrach. Na Węgrzech nawet gdy Orbán znajdował się w wyborczo podbramkowych sytuacjach, podziały po stronie opozycji generowane przez środowiska liberalne działały na jego korzyść.

Szczytem tego, na co obecnie PiS może sobie pozwolić, jest schodzenie z linii strzału i nietworzenie kolejnych wspólnych mianowników dla różnych grup społecznych. I wskazywanie na to, że opozycja w sprawie aborcji nie mówi jednym głosem, bo ma na tę sprawę odmienne poglądy.

Do wyborów jeszcze trzy lata. To w polityce bardzo dużo.

Naturalnie może się zdarzyć i tak, że przyjdzie jakiś „wielki reżyser”, który wszystko zmieni, przy czym nie mam tu na myśli konkretnej osoby, ale raczej zewnętrzne czynniki ekonomiczne i polityczne. Podczas wychodzenia z pandemii nastroje społeczne będą się zmieniały, aspiracje i oczekiwania będą rosły i to nie tylko wśród grup, które poniosły najwyższe koszty w związku z pandemią.

Reakcja rządzących na to będzie chyba najważniejszym czynnikiem do ich przetrwania i to rzeczywiście – do jakiegoś stopnia – może konflikty kulturowe osłabić. Nie anihiluje ich zupełnie, ale może przekierować zainteresowanie opinii publicznej na inne tematy. PiS zaczął wygrywać i trwale rządzić wtedy, gdy stał się bardziej umiarkowany w kwestiach kulturowych. Platforma, która rządziła bardzo długo, nigdy nie miała jasnych poglądów w tych kwestiach, zawsze balansowała między biegunami. Nawet SLD – pozostając antyklerykalny – także i w tym temacie pozostawał partią raczej umiarkowaną. Dlatego jedno jest pewne – bez względu na to, czy odsetek lewicowych poglądów wśród młodych ludzi wynosi 20 czy 30 proc., to PiS dotykając w ogóle sprawy ustawodawstwa antyaborcyjnego, popełnił swój największy polityczny błąd od 2015 r.

Plakat, który uwiera



Agnieszka Niewińska

Dziecko w sercu na billboardach rozświetczyło lewą stronę światopoglądowego sporu. Niszczy plakaty, blokuje emisję reklam, pisze o „pastelowym terrorze”. – Promujemy życie – odpowiada przedsiębiorca stojący za kampanią



Grafiki z dzieckiem w prenatalnej fazie rozwoju wpisanym w serce na ulicach polskich miast pojawiły się w listopadzie. Na wielkich billboardach, na przystankach i autobusach. Na części plakatów grafice nie towarzyszyło żadne hasło, na części opatrzone ją słowami: „Jestem zależny. Ufam Tobie”. Na kolejnych pojawiły się napisy: „Hospicja perinatalne” i adres strony internetowej, na której można znaleźć listę i dane kontaktowe takich placówek.

POSEŁ KONTRA AUTOBUSY

Kampania to projekt Fundacji Nasze Dzieci – Edukacja, Zdrowie, Wiara z Kornic w województwie śląskim. Jej prezesem jest Mateusz Kłosek, właściciel firmy Eko-Okna, której zakłady mieszczą się w Kornicach koło Raciborza. Firma jest w okolicy głównym pracodawcą. Zatrudnia 6 tys. osób. Przez magazyn „Forbes” została wyceniona na 1 mld zł i znalazła się w pierwszej setce największych polskich przedsiębiorstw. Kłosek

zasiada też w organach nadzorczych wydawnictwa Agape wydającego m.in. katolicki dwumiesięcznik „Miłujcie się!”.

– Celem naszej kampanii jest promocja życia, można też na nią patrzeć jako na zachętę do tego, by nie dokonywać aborcji i pozwolić dziecku przyjść na świat. Chcemy informować o istnieniu hospicjów perinatalnych. Akcja ma także wymiar promocji, afirmacji macierzyństwa. Nawet lokalnie w Raciborzu widzimy problemy, jakie niesie ze sobą niż demograficzny, dlatego tak ważne wydaje nam się zachęcanie do podjęcia decyzji o macierzyństwie i pokazanie jego piękna – mówi „Do Rzeczy” Mateusz Kłosek. – Dotychczas fundacja działała lokalnie. Udzielaliśmy wsparcia dzieciom, matkom, osobom niepełnosprawnym w naszej najbliższej okolicy. Teraz wyszliśmy dalej, to nasza pierwsza akcja ogólnopolska. Nie wiem dokładnie, w ilu miastach można zobaczyć nasze plakaty. Staramy się być tam, gdzie pojawiają się wolne nośniki. W tej

chwili nie ma reklamowego sezonu, więc możemy korzystać z preferencyjnych ofert.

Kampania fundacji z Kornic z miejsca stała się głośna nie tylko dlatego, że plakaty pojawiły się w bardzo wielu miejscach, lecz także z powodu działań zwolenników aborcji na życzenie, którzy zaczęli niszczyć nośniki z tym plakatem, dopisywać do nich proaborcyjne hasła, a zdjęcia zamieszczać w sieci. Do promocji akcji swoje pięć groszy dołożyli posłowie Wiosny Biedronia. Krzysztof Śmiszek nazwał plakat „paskudnym” i udostępnił zdjęcie jednej z jego przeróbek. Obok dziecka w sercu sprejem napisano hasło: „Jestem LGBT. Ufam, że mnie zaakceptujesz”.

Inny poseł Wiosny, socjolog Maciej Gdula, na łamach „Krytyki Politycznej” napisał, że kampania fundacji z Kornic to „pastelowe tortury”. „Osobom przyzwyczajonym do tego, że środowiska antyaborcyjne zazwyczaj posługują się obrazami krwawych strzępów tkanek,



FOT. STEFAN MASZCZYŃSKI/REPORTER

niu. „Obraz z billboardów wykorzystany wbrew intencjom artystki” – krzyczała z nagłówka. I cytowała internetowy wpis autorki ilustracji. „Obrazek został narysowany jako uosobienie radości macierzyństwa, ale nie macierzyństwa przymusowego. [...] Wydaje się, że temat zakazu aborcji przepracowała już postępową ludzkość, wszystko zostało wytłumaczone, udowodnione. Czy to znówu średniowiecze?”

Tyle że wątpliwości co do praw do wykorzystania ilustracji nie ma. Głazkowa tłumaczyła, że wystawiła ilustrację w serwisie mikrostockowym. Była do kupienia, a fundacja nabyła licencję rozszerzoną. Ta pozwala na modyfikowanie i wykorzystanie grafiki po wielokroć, także w reklamach i akcjach marketingowych, i to bez pytania autorki, czy z ideą akcji się zgadza.

KŁOSEK: TA KAMPANIA TO NIE ATAK

Wiosna po poselskiej interwencji triumfowała w sieci: „Kraków zapowiada kontrolę w miejskiej spółce w związku z reklamą, okazało się też, że Zarząd Transportu Publicznego zablokował jej emisję u drugiego miejskiego przewoźnika!”. – Słowo „kontrola” jest nieco na wyrrost. Pan poseł złożył interpelację poselską na piśmie w sprawie reklamy, i – jak to jest przyjęte w takich sprawach – urząd miasta poprosił MPK o odniesienie się do zarzutów, by przygotować odpowiedź na pismo. O tym, jaka reklama może się pojawiać na krakowskich autobusach, decyduje przyjęty przez MPK regulamin – mówi Monika Chylaszek, rzeczniczka krakowskiego magistratu.

Prezydent Majchrowski na pismo posta odpowiedział. Nie podzielił zastrzeżeń co do kampanii. W odpowiedzi na poselską interwencję stwierdził, że na autobusach promowano już hospicja, w tym perinatalne, więc trwająca akcja nie jest czymś wyjątkowym dla MPK. „Przypisywanie Spółce działań politycznych jest chybione” – napisał Majchrowski. I dodał, że MPK nie otrzymało sygnałów o tym, by plakaty mogły wywoływać kontrowersje społeczne.

Poseł Gdula przygotowywał odpowiedź. – Prezydent uznał, że ta kampania wpisuje się w promocję hospicjów. Myślę, że zabrakło mu wrażliwości. Ogromna liczba tych plakatów jest niszczone. To o czymś świadczy, a prezydent zamiast

wysłuchać się w głos obywateli, udaje, że nie wie, co się dzieje – mówi Gdula. I tłumaczy swoje zaangażowanie w tej sprawie. – Nie jest to moja jedyna aktywność poselska. Jeśli w przestrzeni publicznej będą się pojawiały reklamy godzące w podobny sposób w wolność, prawa człowieka czy szacunek dla poszczególnych mniejszości, to będę reagował.

Zanim prezydent Krakowa odpowiedział posłowi, zablokowano emisję reklamy w autobusach przewoźnika Mobilis. Firma potwierdziła nam, że dostała propozycję kampanii na 15 pojazdów na okres dwóch tygodni. „Zarząd Transportu Publicznego w Krakowie nie wyraził zgody na umieszczenie reklamy na naszych pojazdach” – przekazało nam biuro prasowe Mobilis. Czy stanowisko prezydenta Majchrowskiego oznacza, że teraz plakaty z dzieckiem w sercu pojawią się na nośnikach autobusów Mobilis? Zarząd Transportu Publicznego w Krakowie na nasze pytania nie odpowiedział.

WYKLUCZENIE MYŚLĄCYCH INACZEJ

Kazimierza Przeszowskiego z Centrum Inicjatyw dla Życia i Rodziny nie dziwi wywieranie nacisku na miasto Kraków i miejskiego przewoźnika, by usunął plakat będący reklamą hospicjów perinatalnych. – To się stało standardem. Złym standardem. Organizacje, które działają na rzecz ochrony życia, próbuje się wyciąć z przestrzeni publicznej, odciąć od mediów, od finansowania. Stygmatyzuje się osoby i firmy, które współpracują z organizacjami obrońców życia. Sami nieraz słyszeliśmy, że ktoś zająłby się przygotowaniem naszej konferencji czy debaty, ale obawia się konsekwencji, jakie mogą go spotkać w związku ze współpracą z organizacją pro-life – opowiada Kazimierz Przeszowski. I dodaje, że metod wykluczania myślących inaczej jest więcej niż np. nękanie właścicieli nośników reklamy. – Środowiska liberalne, chcąc wykluczyć oponentów, chętnie oskarżają ich o mowę nienawiści, która jest pojemnym workiem. Wszystko można do niego wrzucić. Paradoksalne jest to, że do wyłączenia nas z debaty publicznej dążą ci, którzy – gdy mowa np. o mediach – chcą wolności i wyboru. To smutne, bo przecież przed 30 laty wywalczyliśmy wolność po to, żeby móc się różnić i wypowiadać publicznie różne opinie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

może się wydawać, że kampania z płodem w sercu to jednak jakiś postęp. Ale jest wręcz przeciwnie: mamy do czynienia z jedną z najbardziej natarczywych i obrzydliwych kampanii społecznych w historii” – objaśniał.

Poseł Gdula podjął w sprawie kampanii interwencję. Wystosował apel do prezydenta Krakowa Jacka Majchrowskiego, by przeprowadził kontrolę w krakowskim MPK, na którego autobusach pojawiła się reklama opatrzona napisem: „Hospicja perinatalne”. „Po pierwsze, może godzić w interesy spółki miejskiej poprzez powiązanie jej działalności ze skrajną prawicą. Po drugie, istnieją uzasadnione wątpliwości dotyczące praw do wykorzystania ilustracji w ramach kampanii Fundacji, na które wskazywała publicznie jej autorka Jekaterina Głazkowa” – podzielił się treścią interwencji na swoim profilu facebookowym.

„Gazeta Wyborcza” o obiekcjach autorki rysunku informowała już w grud-



Rafał A. Ziemkiewicz

„Dobra zmiana” zamierza wspierać powstanie filmów pokazujących polskie kołtuństwo, kolaborację i degrengoladę. Tak wynika z listy dofinansowań Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej

Dzięki Stanisławowi Barei i jego „Misiowi” każdy wie, że „film jest najważniejszą ze sztuk”. Z jednym, jak się zdaje, wyjątkiem – świadomość, że film to nie tylko przejaw artystycznej ekspresji, jak piosenka czy powieść, lecz także potężne, acz kosztowne narzędzie polityki wizerunkowej i historycznej, jest zupełnie obca partii od sześciu lat zarządzającej funduszami na kulturę.

A jeśli nawet świadomość taka w PiS i w rządzie istnieje, to nie znajduje żadnego wyrazu, poza zapowiedziami stworzenia jakiegoś „popularyzującego polski punkt widzenia” filmu historycznego czy nawet historycznej „superprodukcji”. Zapowiedziami z roku na rok brzmiącymi coraz bardziej żałośnie, bo kolejne produkcje o Piłsudskim czy Legionach można uznać za najlepszym razie za dorównanie sukcesowi poprzedniej ekipy, jakim był niesławny „Waleśa – człowiek z nadziei”. Przypomnijmy, że sztandarowy projekt nowej polityki historycznej – film o rtm. Pileckim – nie wszedł dotąd na ekrany i podobno po tym, jak jego twórcy wyciągnęli już 60 mln zł z Polskiej Fundacji Narodowej, Ministerstwa Kultury i Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej, okazuje się całkowicie nie nadawać do pokazania.

OCIEPLANIĄ KOLABORANTÓW I OKUPANTÓW

Ostatnia z wymienionych instytucji, PISF, ogłosiła niedawno kolejną transzę decyzji o dofinansowaniu produkcji fabularnych (trzecią i ostatnią w roku 2020). Najwięcej, prawie 6 mln zł, ofiarowano z podatkniczej kasy na projekt Marcina Koszałki „Biała odwaga” – film o Goralenvolku, czyli kolaboranckiej organizacji działającej na Podhalu w czasach drugiej wojny światowej. Trudno powiedzieć, jaki sens ma z punktu widzenia państwa polskiego przypominanie światu o tym



FOT. ADRIAN STOLC

Przemysł pogardy

jedynym w czasie wojny akcie zorganizowanej kolaboracji na ziemiach polskich. Szczególnie w kontekście wyznań reżysera, tłumaczącego swą fascynację Goralenvolkem chęcią zdekonstruowania mitu górali, którzy „stali się symbolem kraju, trademarkiem, który mógłby zastąpić orła w koronie – górale witają gości, Papieża”, i to sprawia, że Polacy o ich zdradzie woleliby nie pamiętać. Marcin Koszałka im przypomni, w połowie za ich własne pieniądze. Kto wyłoży środki na drugą połowę (planowany budżet filmu to ok. 11 mln zł), nie wiem, ale domyślam się. Wizja okupacji będzie cukierkowa, „zaczęłam się wgłębiać w historię i ta zdrada z każdym miesiącem mniej była zdradą” – twierdzi reżyser. A producent dodaje, że „wgłębiając się”, odkrył, iż poparcie dla

Goralenvolku było powszechniejsze, niż się sądzi, i praktycznie „nie było na Podhalu rodziny”, która nie byłaby wciągnięta w kolaborację.

Ocieplaniu wizerunku kolaborantów powinno towarzyszyć ocieplanie wizerunku okupantów, dlatego drugim najhojniej docenionym przez PISF filmem jest projekt Radosława Piwowarskiego „Pani od polskiego”. Historia opowiada o losach nauczycielki grzesznie zakochanej w uczniu, która po wywiezieniu go w 1941 r. na roboty do Niemiec podąża za wybrankiem i odkrywa, że w swoim kraju „Niemcy też są ludźmi” (ten tytuł stalnowskiego klasyka dobrze by tu pasował), i to ludźmi zdumiewająco cywilizowanymi i godnymi szacunku. Tu też PISF włożył na podatnika połowę kosztów



filmu (5,2 mln zł z potrzebnych 10,4). Aż korci mnie, by samemu coś uszczknąć z tej kwoty i zaproponować reżyserowi, który ostatni kinowy film robił prawie ćwierć wieku temu, swą współpracę scenariuszową. Panie Radosławie, co Pan powie na taką pointę, że po wojnie główni bohaterowie wracają z Niemiec bogatsi nie tylko o kontakt z Zachodem, lecz także o walizę dolarów i kosztowności, których się na tych „saksach” dorobili, oczywiście najuczciwiej – i to niestety ściągają nieszczęście na ich wnuków, którzy z tej walizki muszą się dziś tłumaczyć przed złym, PiS-owskim sądem? W ten sposób spinamy historię kłamrą ze współczesnością, pokazując, jakie zło wyrządza jednostronna, IPN-owska wersja historii, w której wychowali się rzeczony sąd i zli ludzie, kwestionujący możliwość dorobienia się fortuny przez pracowitych Polaków na robotach u bauera.

CIOTOWSKI DEKAMERON

Skoro już zbliżyliśmy się do współczesności – kolejnym projektem, który znalazł się na podium uznania przez PISF, jest „Lubiewo”, czyli – mówiąc słowami wydawcy książki stanowiącej podstawę scenariusza – „ciotowski dekameron”. Debiutancka powieść Michała Witkowskiego, na której ekranizację Paweł Maślona dostanie od nas 2,5 mln zł, była, trzeba przyznać, dziełem literacko ciekawym, ale bez dwóch zdań odraża-

jącym w swym naturalizmie, bo nie jest to bynajmniej żaden „gejowski romans”, jak chcieliby niektórzy – jego bohaterami nie są modnie odstawieni i rozrywkowi chłopcy z dzisiejszych ruchów LGBT, tylko, mówiąc Brechtem, „z szaleństw miejskich pederastów”, parkowe „cioty” schyłkowego PRL, polujące nocami na pijaków i sowieckich żołnierzy z pobliskiego garnizonu. Dlaczego „odmienne spojrzenie na czasy ustrojowej przemiany” (z materiałów promocyjnych filmu) oczami takich właśnie bohaterów dofinansowuje w ramach swej polityki kulturalnej państwo polskie z pieniędzy podatników i co ma to wspólnego z szumnymi zapowiedziami partii, której dwukrotnie zawierzyli wyborcy, że chce dokonać „dobrej zmiany” także w kulturze, to oczywiście pytania retoryczne.

O projektach rozpatrywanych przez PISF wiemy tyle, ile zechcą ujawnić sami ich twórcy. Wiemy więc, że Wojciech Smarzowski, który podobnie jak w wypadku osławionego „Kleru” także teraz otrzymał państwowe dofinansowanie na film pod roboczym tytułem „Wesele 2” (to już nie ta ostatnia, ale jedna z wcześniejszych transz), zamierza zdemaskować za nie perfidię Polaków, którzy nie dość, że sami z siebie, bez żadnej zachęty Niemców, a nawet nie czekając na ich przybycie, wymordowali wszystkich Żydów w Jedwabnem, to potem jeszcze tak sprytnie kłamali, jakoby, wręcz przeciwnie, próbowali ich ratować, że wyłudźli od naiwnego instytutu Yad Vashem medale Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. Jest to zaiste demaskacja, na którą niecierpliwie czekają wpływowe ośrodki na całym świecie, od dawna zirytowane ciągłym przywoływaniem przez Polaków liczby polskich drzewek we wspomnianym instytucie. Oczywiście Smarzowski bez trudu mógłby dostać całą potrzebną mu kwotę z tych ośrodków, ale fakt, że w produkcji takiego filmu uczestniczyć będzie państwo polskie, ma swoje symboliczne znaczenie, porównywalne z przeprosinami Aleksandra Kwaśniewskiego, które swego czasu pozwoliły uciąć poszukiwania prawdy o zbrodni w Jedwabnem i zadekretować obowiązującą wersję.

Oczywiście nie należy sądzić, że państwo polskie za pośrednictwem PISF finansuje pod rządami „dobrej zmiany” tylko demaskację dotyczące polskiej haniebnej historii. W końcu główną pasją polskich filmowców jest pokazywanie polskiej współczesności – kraju zamieszanego przez takich prymitywów, że np. chłopiec,

który po wypadku na budowie gigantycznej figury Chrystusa (nic innego się w tym dzikim kraju nie buduje) ocalony został dzięki transplantacji, pada ofiarą nienawiści ciemnej wsi, uznającej medycynę za dzieło szatańskie, a samego przezastrygowanego przez miejskich doktorów chłopca za diabła – jak w „Twarzy” Małgorzaty Szumowskiej. Nawiasem mówiąc, kolejny, nic nie lepszy film „Małgośki” – bo takiej formy swego imienia używa reżyser – „Śniegu już nigdy nie będzie” został wybrany na polskiego kandydata do Oskara. Niestety Amerykanie wykazali się kompletnym brakiem ideologicznego kręgosłupa, odrzucając go w przedbiegach.

Polska w polskim filmie to kraj, gdzie tłum chłopów z pochodniami, jak z klasycznego „Frankensteina”, krzyżuje podejrzanych o sprzyjanie Żydom na drzwiach stodoły, jak w „Pokłosiu” Pasikowskiego. Albo jak w „Mowie ptaków” Ksawerego Żuławskiego w warszawskich liceach uczniowie, jeden w drugiego faszyści-narodowcy, znęcają się na lekcji i w szatni nad polonistą, bo zakwestionował słuszność i wielkość chrztu Polski, wuefistę katują do krwi jako Żyda, a wszystko to z aprobatą prawicowego dyrektora i faktycznie rządzącego szkołą fanatycznego katechety, którzy innego nauczyciela wyrzucają z pracy za to, że stanął w obrobie prześladowanych kolegów. Ten nurt opowieści o Polsce z nocnych lęków zamkniętego na strzeżonym osiedlu leminga ma szansę być wzbogacony w idących właśnie do widzów, „przełamujących tabu” „Głupcach” Tomasza Wasilewskiego, gdzie przynajmniej oprócz skrajnej ciemnoty szerzą się jeszcze we współczesnym Gdańsku dzikie perwersje seksualne, w stylu „Malowanego ptaka” Kosińskiego.

Tematem osobnym, którego tu nie poruszę, są produkcje dokumentalne. Kilka lat temu miałem zaszczyt na zaproszenie Pawła Woldana uczestniczyć w panelu eksperckim PISF oceniającym wnioski o dofinansowanie i patrząc na nowe komunikaty Instytutu, odnoszę wrażenie, że wszystkie najgorsze potwory, jakie w tamtym czasie zostały odrzucone, wróciły i zyskały uznanie kolejnej zmiany eksperckich kadr. Wydaje się, że taki jest generalnie kierunek, w którym zmierza ta instytucja, która pod rządami „dobrej zmiany” coraz śmielej pompuje nasze pieniądze na „dzieła”, które za poprzednich rządów uznano by za zbyt kontrowersyjne, by państwo przykładło do nich rękę.



Piotr Gciek

„Nowiny ze świata” to nietypowy western, w którym Tom Hanks po raz kolejny pokazuje, jakie role wychodzą mu najlepiej – role porządných ludzi

Zdarzyło się w Teksasie

Ocalił życie szeregowca Ryana i duszę Leonarda Di Caprio, przewodził załodze Apollo 13 i gromadzie zabawek w niezmiennie popularnej serii animacji. Był Waltem Disneyem i słynnym telewizyjnym wychowawcą dzieci, pastorem Fredem Rogersem. Jako kapitan Sully ratował pasażerów lotu 1549, lądując na rzece Hudson, jako kapitan Krause prowadził aliancki konwój przez Atlantyk. Jakże wiele się zmieniło od czasów, kiedy uważano, że jego główny, jeśli nie jedyny, atut to chłopięcy uśmiech i młodzieńcza niewinność. Jakże inaczej jest postrzegany niż wtedy, gdy błaznował u boku Dana Aykroyda czy Jima Belushiego!

Tom Hanks jest dziś kimś więcej niż tylko aktorem rozpoznawanym w każdym kraju świata. Jest symbolem – spójrzcie raz jeszcze na pobieżną listę znanych ról, od której zacząłem. Gdy na ekranie pojawia się Hanks, nie musimy wiedzieć, w kogo wcieli się tym razem, czujemy podskórnie, że będzie bohater, który w chwili próby zrobi to, co powinien zrobić porządny człowiek. Takim symbolem był w dawnym Hollywood John Wayne.

W „Nowinach ze świata” („News of the World”) ową wyjątkowość Hanksa – i zarazem pewną konwencjonalność – widać równie mocno jak w chwalonym przeze mnie w ubiegłym roku wojennym dramacie „Misja Greyhound”. Hanks, któremu tym razem powagi i dostojności dodaje bujna broda, znów okaże się jedynym sprawiedliwym w świecie pełnym ludzi obojętnych na cudzą krzywdę i zbyt często chadzających na skróty. I robi to w sposób zachwycający.

ODYSEJA KIDDA I JOHANNY

Film Paula Greengrassa (pracował już z Hanksem, gdy kręcili „Kapitana Philippsa”) to ekranizacja powieści amerykańskiej pisarki Paulette Jiles (polskie wydanie ukazało się w 2018 r. nakładem wydawnictwa Czarne). Książki, którą Tracy Chevalier rekomendowała słowami: „Jest przepięknym przykładem troski o drugiego człowieka”, a słowa te przytaczam nie dlatego, że jakoś szczególnie cenię dorobek i opinie autorki „Dziewczyny z perłą”, tylko dlatego, że idealnie wprowadza nas w „hanksowatość” opowieści.

Posłuchajcie zresztą sami: dawno, dawno temu, na Dzikim Zachodzie, a dokładnie w roku 1870, żył sobie kapitan Kidd, weteran wojny secesyjnej, który nie wrócił do domu, choć wojna się skończyła. Na życie zarabiał, podróżując od miasteczka do miasteczka zaopatrzony w gazety. To z nich „czytał na głos najnowsze nowiny w ratuszach czy zborach, za dziesięć centów od głowy. Podróżował samotnie, nie miał nikogo, kto inkasowałby za niego pieniądze”. Przypadek sprawi, że na drodze kapitana Kidda, samotnika z wyboru, pojawi się dziewczynka – córka niemieckich osadników zabitych przez Indian Kiowa. Mała Johanna ocalała, lecz została porwana i wychowana przez plemię. Nie zna żadnego języka białych ludzi, a jej obyczaje są zdecydowanie indiańskie. W jej roli oglądamy fenomenalną dziewczynką aktorkę z Niemiec, Helenę Zengel, która niedawno stworzyła znakomitą kreację w dramacie „Błąd systemu” („Systemsprenger”, 2019).

Kapitan Kidd próbuje zainteresować sierotę odpowiednie władze, a kiedy nic z tego nie wychodzi, prosi zaprzyjaźnioną



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

rodzinę, by się Johanną na krótki czas zaopiekowała. Z dokumentów wynika, że dziewczynka ma dalszą rodzinę, której pieczy można ją powierzyć. Sęk w tym, że nikomu oprócz kapitana Kidda tak naprawdę na tym nie zależy, będzie więc musiał wziąć sprawy we własne ręce.

W powieści Paulette Jiles odyseja Kidda i Johannę jest dłuższa i dużo bardziej skomplikowana niż w filmie, gdzie wiele rzeczy trzeba było uprościć i jedynie lekko zasygnalizować. Dzieje się tak jednak z pożytkiem dla widza, który niekoniecznie musiałby być zainteresowany traktatem historyczno-politycznym na temat sytuacji w Teksasie sprzed półtora stulecia. Jiles wiele uwagi poświęciła historycznym detalom, pracowała na oryginalnych dokumentach. Wspara się też mocno barwną opowieścią non-fiction „The Captured: A True Story of Abduction by Indians on the Texas Frontier” (2005), w której Scott Zesch odtwarzał losy 10-letniego Adolpha Korna. Chłopiec porwany został przez Apaczów, sprzedany Komanczom i wychowany przez tych ostatnich na dzielnego wojownika. Gdy po latach trafił na powrót do swej białej rodziny (został do tego przymuszony), nigdy nie przystosował się ponownie do życia.

Jiles w postłowie do swojej powieści pisała: „Nie powstała dotąd praca rozstrzygająca ukazująca strategię psycholo-

giczne stosowane przez owe dzieci, żeby przetrwać, a byłaby przydatna. Wygląda na to, że stawały się one Indianami pod każdym względem, rzadko zdarzało się, by po powrocie do biologicznych rodzin ten proces ulegał odwróceniu. Zawsze pragnęły znaleźć się znów z tymi, którzy je przysposobili, nawet jeśli w indiańskich rodzinach żyły krócej niż rok”.

Zarówno powieść Jiles, jak i film Greengrassa nie są typowymi westernami, należą jednak do na wskroś amerykańskiego rodzaju opowieści – historii z pogranicza. I to w tym duchu, jakim przesiąknięte były powieści Jamesa Fenimore’a Coopera, który przedstawiał zarówno złoczyńców, jak i ludzi szlachetnych po obu stronach granicy, wśród białych i czerwonoskórych. Jednocześnie Jiles wchodzi w dialog z takimi dziełami jak powieść „Wzgórze nadziei” Charlesa Fraziera (także zekranizowana), w której wędrowka do domu przez dziką Amerykę staje się odpowiednikiem homeryckiej „Odysei”, oraz powieściami Marka Twaina, w których włóczęga była drogą ku dorastaniu, zrozumieniu i dojrzewaniu.

Kapitan Kidd to człowiek sędziwy, ale z jakiegoś powodu odrzucił bezpieczny, cywilizowany świat. Jego dzieje obserwujemy na ekranie z równym zainteresowaniem jak dzieje małej Johannę. On także, by odnaleźć spokój ducha, będzie musiał skonfrontować się z podobnymi wyzwaniem co jego małaletnia podopieczna. Tak jak ona porzucił rodzinę. Tak jak ona będzie się musiał zmierzyć z wielką traumą utraty najbliższych. I tak jak ona, ucząc się życia na nowo, świadom będzie tego, że bagażu przeszłości, innego życia, odrzucić nie zdoła.

Jednocześnie reżyser Paul Greengrass nawiązuje do kinowej westernowej klasyki. W jednej ze scen ujęcie kręcone z wnętrza chaty farmerów i pokazujące drzwi, za którymi otwiera się preria, jest wyjęte wprost z arcydzieła Johna Forda „Poszukiwacze” („The Searchers”, 1956). To niejedyne nawiązanie, proszę oglądać uważnie. W „Poszukiwaczach” bohater grany przez Johna Wayne’a wyrusza na poszukiwanie siostrzenicy porwanej przez Komanczów. Indianie są w tamtej opowieści bohaterami jednoznacznie negatywnymi, a historia kończy się happy endem (wbrew finałowi powieści Alana Le Maya, na której była oparta), ale to już ustaliliśmy: Tom Hanks

jest symbolem innego Hollywood niż to, które symbolizował John Wayne.

Greengrass, odchodząc od licznych fabularnych komplikacji i historycznych detali książki Jiles, zamienił „Nowiny ze świata” w dzieło bardziej symboliczne. Pytanie o to, czy wychowywane w innej kulturze dziecko może powrócić do dawnego życia, jest oczywiście obecne, ale jednocześnie podróż Kidda i Johannę okaże się katalogiem przewin białego człowieka dokonującego podboju Zachodu. Słuchacze nowin czytanych przez Kidda nie przyjmują przychylnie wieści o równych prawach dla niewolników, drogi pełne są rzezimieszków, myśliwi wybijają stada bizonów, przez Terytorium Indianie budowana jest kolej (wbrew traktatom), a lokalni despoty budują na opanowanych przez siebie ziemiach wyzyskiwane społeczności, dla których nie powinno być miejsca w „kraju wolnych, ojczyźnie dzielnych” (cytuując amerykański hymn „The Star-Spangled Banner”).

FILM Z PRZESŁANIEM

„Nowiny ze świata” nie są jednak antywesternem, bo nie jest to opowieść ani pesymistyczna, ani amoralna. Na koniec liczą się nasze pojedyncze wybory,

a wszyscy jesteśmy ludźmi i winniśmy sobie nawzajem elementarną przyzwoitość i współczucie (jeśli nie jesteśmy w stanie obudzić w sobie prawdziwej miłości bliźniego). Nigdy nie jest za późno, by postąpić uczciwie, dobro wraca, a pokonanym należy się szacunek. Jak widać, „Nowiny ze świata” to film z przesłaniem stworzonym dla bohatera

rów granych przez Toma Hanksa. Zaczął swą podróż przez świat filmu ponad 40 lat temu, od roli w kiepskim slasherze „On wie, że jesteś sam” („He Knows You’re Alone”, 1980), dziś jest aktorem instytucją, symbolem i chyba ostatnim z wielkich. Jego podróż jeszcze się jednak nie skończyła. Jakże mogłaby dobiec końca, skoro do grona przeciwności losu pokonanych na ekranie dołożył w ubiegłym roku triumf w prawdziwym życiu – nad koronawirusem? I jak na ukochanego bohatera Ameryki przysłało, zaraz po tym, jak ozdrowiał, pośpieszył oddawać osocze potrzebne tym, którzy z chorobą jeszcze walczą. Niczego innego po Hanksie się nie spodziewałem.





Kulturalny Paszport „Polityki” odebrał m.in. duet Siksa
FOT. TVN

Paszporty Antykultury



Remigiusz Włast-Matuszak

Tegoroczna nagroda lewicowego tygodnika „Polityka”, jej kulturalne Paszporty, przeszła zupełnie bez echa. Przykre to i dlatego humanitarnie wyciągam pomocną dłoń – nagłaśniam

Ledwie kilka lat temu cała III RP tłoczyła się w Teatrze Wielkim i przed TV, by oglądać galę i triumf idei starej dobrej PRL z udziałem prezydenta Komorowskiego. A tu zinnisko, wietrzysko, pandemia i „Całe kłamstwo, całą dobę”.

„Gala” TVN w reżimie sanitarnym wypadła żałośnie. Samozwańcze „krytyczki literackie” prosto z ulicznej manify czytały z karteczek lewackie slogany. Ktoś im przygrywał na harmonii, a może na kobzie.

Zapamiętałem Paszport w dziedzinie muzyki „rozrywkowej” – otrzymał go duet o nazwie Siksa (w jidysz sziksa to młoda dziewczyna, gojka). Panienka z niego była ubrana w bluzę z wielkim napisem „ANTI-TIFA”. „Laudacja” i jej oświadczenie były oczywiście protestem przeciw faszyzmowi duszającemu „ten kraj”.

W dziedzinie filmu fabularnego Paszport do „lepszego świata” otrzymał

reż. Piotr Domalewski za film pt. „Jak najdalej stąd”. Media obiegał filmik ze spotkania Jerzego Urbana (84 lat) z młodzieżą studencką – manifa kończyła się okrzykiem Urbana – cytował – „Spierdalajcie z tego kraju”. Dosłownie takie samo przesłanie Piotr Domalewski zawarł w swoim filmie – jak najdalej od Polski, jak najdalej stąd.

Po udanym, acz ukazującym polską patologię (Kino Moralnej Patologii) filmie „Cicha noc” Domalewski drugi raz poruszył ten sam wątek fabularny, kontynuując czarny obraz polskiej emigracji. Bohaterka filmu Ola pochodzi z patologicznej, arcykatolickiej rodziny z prowincji. Ojciec od lat pracuje w Irlandii, ma tam kochankę i nie wspiera rodziny obciążonej niepełnosprawnym synem. Firma z Irlandii obcesowo powiadamia rodzinę w Polsce o śmierci ojca. Nastoletnia Ola, „zaniedbana” kulturalnie i moralnie, jedzie do Irlandii. Tam okazuje się, że kochanka ojca – Rumunka – jest w ciąży, a ojciec w dniu śmierci pracował na czarno i nikomu nie należy się żadne odszkodowanie. Reżyser przedstawia polską patologię w kraju i jej wegetację na emigracji. Z ekranu padają ryszotkowe przekleństwa, a telefon Oli ma dzwonek: „Jebać policję” (!) – teraz wiemy, skąd na ulicznych zadymach to hasło jest tak popularne. Sceny w polskim biurze pośrednictwa pracy w Dublinie to zjadliwy antypolonizm. Oczywiście jest też obowiązkowy wątek antykatolicki – pazerny ksiądz wygłasza chamskie uwagi na temat urny z prochami ojca – „Wszyscy zaczną mi tu termosy przynosić”, a on nie zarobi.

PISF – Polski Instytut Sztuki Filmowej – dofinansował film Domalewskiego skromną sumą 1 mln zł.

Paszport w „dziedzinie” literatury wręczono „poetce” z Poznania, pannie Sikorzance, za tomik pt. „Instrukcja dla ludzi nie stąd”. Ona jest z „tego kraju”, a ludzie nie stąd to Wolny Świat pod przewodem prezydent Kamali Harris. W swoich strofkach Sikorzanka używa języka angielskiego, bo sentencja angielska najlepiej oddaje jej przesłania. Przedstawia się nam w wierszu pt. „Proszę sprawdzić folder inne”.

*jestem z kobietą, która boi się ciem –
nauczyłam się w porę gościć światło.
w konstytucji jest o tym, że nas nie ma.*

Wpadam w konfuzję i odczuwam dysonans poznawczy. Przecież cała lewica z prezydentem Wałęsą na czele obnosi się od lat z napisem „KONSTYTUCJA” na koszulkach. W obronie „KON-STY-TU-CJI” naraża życie. A tu jakiś zamach, jej negacja? Nie ma nic o lesbijskach w konstytucji? Zamiast utyskiwać, należy poszukać odpowiedniego konstytucjonalisty, który udowodni, że jest. A nawet że Polska jest Lesbijską, i to bynajmniej „niewyautowaną”.

Panna Sikorzanka równie pryncypialnie prezentuje swój antyklerykalizm:

*„biały tydzień”
domy z krzyżami mają swoich patronów –
małe dziewczynki i małych chłopców
... powiedz im, ... że pozwolisz się pocałować w polską,
pocałować się w INRI.*

„Poezja” Jasia Kapeli została przelicytowana. „polska” jako „dupa”, INRI – Iesus Nazarenus Rex Iudaeorum – również. To już niebywałe jawne bluźnierstwo ścigane z urzędu w oparciu o Kodeks karny.

Podsumowanie poezji panny Sikorzanki to drwina ze Słowackiego i z Polski:

*„oto jest kraj”
duchowi memu dała w pysk i posłała
Polska.*

Krytyczka – laudatorka, wpadając w ekstazę pochwał, stwierdziła m.in., że jest to poezja „pełna gniewu”. Nonsens – to przecież nowa poezja pełna miłości i holistycznego humanizmu. Jestem przekonany, że panna Sikorzanka jeszcze nieraz nam zaćwierka. Agnieszka Holland na stronach Onetu obawia się, że „jest w drodze do polskich obozów koncentracyjnych”. Nie, madame Holland, to ja się obawiam, że niebawem znajdzie się w transportach do nowych dołów śmierci w okolicach Warszawy wykopanych przez dziewczęta i chłopców z Antify.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

POLITYCZNA

kawa



Zaprasza:

Tomasz Sakiewicz

niedziela

w samo południe

12:00

oglądaj również na www.tvrepublika.pl

republika.pl/d661ad10ef



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Nim odejdziemy



★★★★★

**REŻ. SIMON
STONE**
**„WYKOPALISKA”
(„THE DIG”)**
**WIELKA
BRYTANIA 2021**

wyst. Carey
Mulligan, Ralph
Fiennes, Lily James

Archeolog-samouk i ciężko chora wdowa – połączyło ich wspólne przedsięwzięcie, które zmieniło widzenie historii Wielkiej Brytanii. Historia rozpoczęła się tuż przed drugą wojną światową, kiedy to pan Brown (rewelacyjny Ralph Fiennes) zatrudniony został przez panią Pretty (równie dobra Carey Mulligan), by przeprowadzić wykopaliska na terenie jej posiadłości w Sutton Hoo. Znamy finał tej historii – bezcenne skarby oglądać dziś można w British Museum. Nie o tym jednak jest film Stone’a na podstawie powieści Johna Prestona, lecz o naszej ludzkiej kruchości i śmiertelności oraz o wielkim marzeniu, by zostawić coś po sobie, byśmy nie okazali się jedynie pyłkiem bez znaczenia porwanym przez wichry historii.

„Wykopaliska”, jedna z najciekawszych premier Netflix’a ostatnich miesięcy, a może i lat, to film, który ociera się o wielkość, gdy pozostaje cichym dramatem o zwykłych ludziach i zwykłych uczuciach. Wzbudził we mnie niemal równie wielką tkliwość jak „Cienista dolina” Richarda Attenborough. Pierwsza połowa filmu Stone’a jest perfekcyjna i opowiedziana z wielką delikatnością. Syn chorej wdowy widzi w panu Brownie figurę ojca, którego tak bardzo mu brak, pani Pretty odnajduje w życiu nowy sens, płynący spoza rodzicielstwa, pan Brown jest prawdziwym człowiekiem dobrej roboty. Wszystkiego, co umie, nauczył się sam, nie boi się pobrudzić rąk, dzieli się swą wiedzą z innymi, ale cierpi, gdy

N pogardzają nim przemądrzali profesorowie z wielkich uniwersytetów i muzeów. A wszystko to rozgrywa się w cieniu nadchodzącej apokalipsy, bo w miarę jak prace w Sutton Hoo postępują, radio podaje coraz bardziej niepokojące wieści, Hitler atakuje Polskę, Wielka Brytania idzie na wojnę. Czy jest sens w tej sytuacji martwić się znaleziskami sprzed wieków? Otóż jest, i to głęboki, o tym między innymi jest to historia.

W drugiej części filmu pojawia się chaos, całkiem jakby sponsorzy z Netflix’a powiedzieli: „Ale nikt nie będzie chciał oglądać fabuły bez jakiejś ładnej młódki oraz romansu”, więc na ekranie pojawiają się nowe postacie (m.in. Lily James), których los ma podkreślić, że idą ciężkie czasy. Niepotrzebnie, bo już to wiemy, a to, co najważniejsze, i tak dzieje się między właścicielką Sutton Hoo, jej synem Robertem oraz rozkopującym kurhany panem Brownem. Wielką historię pisze się małymi historiami. A małe historie – to my. ©©



NOWE SERIALE: „NIEWIDZIALNE MIASTO”

Serial fantastyczny oparty na brazylijskiej mitologii i folklorze, dzięki czemu poznamy nowe fantastyczne istoty (takie jak choćby Saci, jedenonogi złośliwiec w czerwonej czapeczce podróżujący z wiatrem). Przewodnikiem po nieznanym świecie jest policjant, którego żona zginęła w tajemniczych okolicznościach. Fabuła

jest oryginalna i daleka od hollywoodzkiej sztampy, a całą opowieść wymyślił Carlos Saldanha, ceniony reżyser filmów animowanych (od „Rio” i „Fernanda” do serii „Epoka lodowcowa”).

©© Piotr Gociek

• sezon 1 „Niewidzialne miasto” („Cidade Invisível”), Brazylia 2020

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• reż. Regina King „Pewnej nocy w Miami” („One Night in Miami”), USA 2020

prime video

• sezon 1 „Plemiona Europy” („Tribes of Europa”), Niemcy 2021



• reż. Doug Liman „Skazani na siebie” („Locked Down”), USA 2021



Pyskata i radioaktywna



Emigrantka z Iranu nakręciła na Węgrzech anglojęzyczny film, którego akcja rozgrywa się w Paryżu i Sztokholmie, zaś główną bohaterką jest „Polka, która zmieniła świat”. Marię Skłodowską, jaką tu oglądamy, polubić trudno. Jest neurotyczna, arogancka i tak skoncentrowana na swojej pracy, że powinna zostać starą panną. Na szczęście Pierre Curie to anioł w ludzkiej skórce, przy którym nawet sekutnica nie ma innego wyjścia, jak stać się dobrą żoną i matką. Film sugeruje, że pierwsza kobieta noblistka wyrzekła się polskości. Za ojczyznę nie tęskni, domaga się od siostry, by mówiła do niej „Marie”. Wyzwolona z obyczajowych przesądów, walczy z patriarchatem

i pada ofiarą antyimigranckich uprzedzeń. Francuskie brukowce nazywają ją Żydówką, choć jest „niepraktykującą katoliczką”.

Wątki metafizyczne prawdziwa, mocno stąpająca po ziemi Skłodowska chyba by obśmiała. Scenarzyści przyjęli założenie, że gdy człowiek jest jedną nogą w grobie, widzi przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Ich prawo. Zgodzę się, że istnieje jakiś związek między odkryciami naszej rodaczki a zrzuconiem bomby na Hiroszimę i awarię w Czarnobylu, wątpię jednak, by choroba popromienna objawiała się kaszlem. Poza tym film się broni, zwłaszcza na tle gniota z Karoliną Gruszką z 2016 r. Do trzech razy sztuka?

©©

Wiesław Chełminiak



★★★★★

REŻ. MARJANE SATRAPI
„SKŁODOWSKA”
 („RADIOACTIVE”)
WIELKA
BRYTANIA 2019

wyst. Rosamund Pike, Sam Riley, Aneurin Barnard



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRACONE DEKADY

► NINATEKA

Dokumenty Macieja Drygasa to już klasyka. W „Cudzych listach” były asystent Kieślowskiego zrobił najlepszy możliwy użytek z masy spadkowej po komunistycznej cenzurze: opowiedział historię PRL cytując z korespondencji zwykłych ludzi. Doprawdy, pracownikom „biura W” musiały mdleć ręce i pękać głowy z wysiłku: skontrolować miliony przesyłek to wszak nie bułka z masłem. W dodatku wylaniał się z nich obraz narodu umęczonego pracą ponad siły, biedą, kłamstwami, bezprawiem i nieudolnością władzy, a przede wszystkim brakiem perspektyw. Trzynastoletni Andrzej w imieniu własnym i czteroletniego brata prosi o ulaskawienie skazanego na śmierć taty (matka już nie żyje), obiecując, że odwziedczy się Polsce Ludowej. Zagląwanie do listów pomagało namierzać wrogów, ale było też formą badania nastrojów społecznych. Rządzący nie byli aż tak głupi, by wierzyć we własną propagandę. Chociaż zdarzały się wyjątki.



★★★★★

REŻ. MACIEJ DRYGAS
„CUDZE LISTY”
POLSKA 2010

SPALIĆ WIEDZMĘ!

W KINACH

W serialu „Czysta krew” wampiry i ludzie próbowali żyć w zgodzie. W filmie Anny Biller czarownice są ledwo tolerowane, zwłaszcza w małych miastach. Elaine, wiedźma młoda i ponętna, chce na prowincji zacząć nowe życie, lecz mimo przebytej terapii, jest uzależniona od miłości. Kompulsywnie poszukując drugiej połówki, ucieka się do czarnej magii, jednak zaklęcia i eliksiry miewają skutki uboczne, zaś mężczyźni to mazgaje albo patologiczni egoiści. „Nadmiar uczucia cię zabije” – śpiewał prorocznie Freddie Mercury. Rzecz jest nieco rozwlekła, uroczo kiczowata i bezwstydnie rozerotyzowana. Raczej śmieszny, niż straszny, zaś najlepszym dowcipem jest feministyczny finał. Wielbiciele estetyki campu i horrorów w stylu vintage będą zauroczeni, ale jeśli ktoś takiej konwencji nie trawi, to strasznie się wynudzi lub zdenerwuje. Na próżno: czarownice są wśród nas i trzeba się z tym pogodzić. ©© **recenzuje Wiesław Chełminiak**



★★★★★

REŻ. ANNA BILLER
„CZAROWNICA MIŁOŚCI”
 („THE LOVE WITCH”)
USA 2016

wyst. Samantha Robinson, Gian Keys, Laura Waddell

GRA TYGODNIA: „LITTLE NIGHTMARES II”

Wielkie koszmarny małego Mono, czyli udany sequel „Little Nightmares” z 2017 r. To, co było najlepszego w platformówce 2,5 D wydanej przez niezależne studio Tarsier, czyli niepokojący klimat budowany także przez świetne udźwiękowienie, zostało zachowane. Powraca też znana z części

pierwszej bohaterka, Szóstka. Tym razem jednak w roli przewodniczki, bo nasz koszmarek przechodzimy w skórę Mono, który, aby przeżyć, musi się nagimnastykować i nagłówkować, nabiegać, a czasem nawet zawałczyć, wykorzystując przedmioty znajdujące na planszy. Na plus lokacje (szkoła).

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



★★★★★

Na minus – długość gry, którą można ukończyć w jeden wieczór. ©©

Radosław Wojtas

- **Gatunek:** Platformówka
- **Platforma:** PC/PS4/PS5/XONE/XSX/NS
- **Producent, dystrybutor:** Tarsier, Bandai Namco Entertainment

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Bolszewika goń...!

Książka ta – powiada autor – mogłaby nosić tytuł „Od Żeromskiego do Helaka” nie tylko dlatego, że w obszernym aneksie prezentuje fragmenty tekstów odnoszących się do wojny 1920 r. aż 36 twórców. Wśród nich, oczywiście, Żeromskiego, z jego „Na probostwie w Wyszku” i „Przedwiośnią” i, co już jest mniej oczywiste, z „Nad Zbruczem” Wiesława Helaka, pisarza jak najbardziej współczesnego, pod którego piórem całkiem niedawno ożyły wydarzenia sprzed stu lat, odzyskując dawny, nieco już wyblakły blask.

Wszystkie zresztą pomieszczone w aneksie teksty i ranga nazwisk ich autorów przekonują, że wbrew dość powszechnej opinii wojna polsko-bolszewicka 1920 r. znalazła w literaturze polskiej należne jej, godne odbicie. A to, co napisali Edward Małaczyński, Kazimierz Wierzyński, Józef Mackiewicz, pozostanie. Naturalnie, nie zapominając o „W polu” Stanisława Rembeka, rzecz z pewnością arcydzielnej. Jest jednak faktem, że przez długie lata PRL cała literatura traktująca o roku 1920 oglądana była wnikliwie przez cenzorską lupę i jeśli nawet, jakimś cudem, nie skazywano jej od razu na niebyt, to wyłącznie wtedy, gdy prezentowała bolszewicki punkt widzenia, a nie polski.

Bardzo ciekawe jest porównanie reakcji pisarzy na wojnę z bolszewikami. Przykładowo w ogóle nie komentowała jej Zofia Nałkowska, wcześniej wyznająca, że „myśląc o komunizmie, mniej boję się tego, aby nie zwyciężył, niż tego, aby nie miał racji”. W 100 proc. zgadzam się natomiast z prof. Maciejem Urbanowskim, kiedy nawiązując do wiecznego dylematu licealistów, jak rozumieć udział Cezarego Baryki w manifestacji szturmującej Belweder, pisze wprost: „Dla mnie



FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

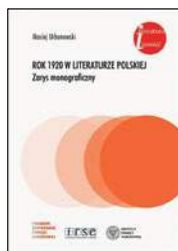
ważne wydaje się to, iż bohater »Przedwiośnia« staje na jej czele (lub pomiędzy zwaśnionymi stronami?) w mundurze wojskowym. Udział w wojnie jest dlań, jak sądzę, rodzajem przepustki do angażowania się w spawy polskie”.

Na ogół wojna 1920 r. przedstawiana jest jako wielkie zwycięstwo odrodzonej Polski, dowód narodowej jedności i triumf naszego oręcza, a w zależności od poglądów politycznych albo wynik geniuszu Józefa Piłsudskiego, albo Cud nad Wisłą. A jednak, o czym możemy przekonać się, czytając świetnych „Nadberezyńców” Floriana Czarnyszewicza, wojna ta, dla mieszkańców położonego nad Berezyną zaścianka Smolarnia, „jest końcem ich marzeń o powrocie

do Polski i całkowitą zagładą ich kresowej cywilizacji...”. A stało się to za sprawą zawartego w Rydze traktatu pokojowego, na którego mocy ziemie wschodnie I RP podzielone zostały między Polskę i Rosję sowiecką. Czy „Kainem” był wtedy Stanisław Grabski, czy może – jak chciała endecja – Józef Piłsudski? W każdym razie owoce zwycięstwa w wojnie z bolszewikami były dla wielu Polaków cierpkie.

Jakże potrzebne wnikliwe, a przy tym niepozabawione akcentów polemicznych, opracowanie prof. Urbanowskiego przynosi też masę informacji i analiz utworów szerzej nieznanych, autorstwa m.in. Ewy Szelburg-Zarembiny czy Juliana Przybosa. A sfinalizowanie rozważań nad obrazem wojny z bolszewikami wydaną ledwie trzy lata temu znakomitą powieścią Wiesława Helaka „Nad Zbruczem” oddaje sprawiedliwość temu, wyjątkowemu w naszych czasach, „tragicznemu ciągu dalszemu »Nie-Boskiej« i arcy-powieści Orzeszkowej”. Sama zaś wojna 1920 r. u Helaka „nabiera – jak czytamy – sensu religijnego – jest starciem ze Złem i w obronie Dobra, a raczej Dobrego Boga. Jest to wojna romantyczna i zarazem wojna tragiczna. Duchowy i literacki patronat sprawują nad nią Krasiński i Słowacki”.

„Rok 1920 w literaturze polskiej. Zarys monograficzny” Macieja Urbanowskiego to czwarty tom z zainicjowanej przez Instytut Pamięci Narodowej serii wydawniczej „Literatura i Pamięć”. Wcześniej ukazały się: „Pamięć i godność. O poezji Jana Polkowskiego” Wojciecha Kudyby, „Dzieje najnowsze w literaturze polskiej. Szkice o współczesnej poezji i prozie” pod redakcją Antoniego Buchały i „Józef Piłsudski. Pisarz” Agnieszki Kowalczyk. ©



★★★★★
**MACIEJ
URBANOWSKI**
**„ROK 1920
W LITERATURZE
POLSKIEJ. ZARYS
MONOGRAFICZNY”**
**INSTYTUT PAMIĘCI
NARODOWEJ**
**– KOMISJA
ŚCIGANIA ZBRODNI
PRZECIWKO
NARODOWI
POLSKIEMU
& FUNDACJA
ROZWOJU
SYSTEMU EDUKACJI
2020**



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Wioska, czyli świat

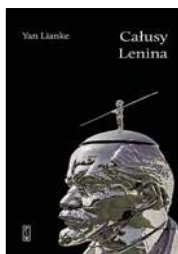
Swiat jest pełen skarbów, tylko trzeba chcieć ich poszukać – mówi jeden z bohaterów powieści „Całusy Lenina”. Wioska, w której rozgrywa się akcja tej tragifarsy, zamieszkała jest przez ludzi okaleczonych, lecz sprytnych. Ze swych niedomagań (są tu ślepi, głusi, kulawi, mamy i karłowci, mamy i ludzi zdeformowanych na inne sposoby) czynią dobry użytek. Są bowiem tacy, którzy za oglądanie wyczynów tej niezwyklej kompanii chcą zapłacić. Pojawia się też pomysł, by zdobyte w ten sposób pieniądze zainwestować dalej: kupić oryginalną replikę Lenina, zbudować replikę mauzoleum w skali jeden do jednego, dołożyć pamiętki po Marksie i Engelsie, a następnie zaprosić turystów. Kto wie, może będą chcieli płacić nawet po 25 dol. od osoby – marzy się mieszkańcom wioski Żywot.

„Całusy Lenina” to najwcześniejsza z przełożonych dotąd na polski powieści chińskiego pisarza (znamy już „Sen wioski Ding”, „Kroniki Eksplozji” i „Czteroksiąg”). Od niej zresztą zaczęły się jego kłopoty. Yan Lianke przez długie lata łączył służbę w komunistycznej armii chińskiej z karierą literacką. Kiedy artysta wygrał w jego sercu z propagandystą

(gwoździł: propagandę pisał dla wojska, wczesne powieści bliskie były akceptowanemu w ChRL tradycyjnemu realizmowi), reakcja państwa mogła być tylko jedna: Lianke stał się pisarzem zakazanym (nie od razu i nie jeśli chodzi o cały dorobek). Dzisiaj mieszka w Pekinie, ale mieszkańcy Chin mogą czytać jego książki tylko wówczas, gdy ktoś przemyci egzemplarze z Tajwanu czy Hongkongu.

Jest moim zdaniem Yan Lianke pisarzem wybitnym, jednym z kilku najwybitniejszych żyjących dziś na świecie. A ciekawy wgląd w jego poglądy i metodę twórczą dają autorskie posłowania – w „Całusach Lenina” jest to „W poszukiwaniu realizmu transcendentalnego”. Yan Lianke łączy wspaniałe panowanie nad językiem, bezlitosne oko analityka rzeczywistości, a jednocześnie ogromne współczucie. Jest przy tym mistrzem satyry, choć gdy przychodzi nam się śmiać, śmiejemy się przez łzy. Łatwo szufladkować go jako krytyka bezwzględnej transformacji

komunistycznych Chin, ale tak naprawdę mówi o ludzkim losie po prostu, tak jak Sołżenicyn odkrywał tajemnice nie tyle ofiar bolszewizmu, ile ludzkiej duszy. Jakiż to świat, pomyślny, skoro by mieć cień szansy na sukces, trzeba się najpierw okaleczyć? ©©



★★★★★
YAN LIANKE
„CAŁUSY LENINA”
PIW 2020

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Jedenaście opowiadań ośmiu autorów – pierwsza w Polsce antologia współczesnej literatury chińskiej z Tajwanu, czyli Chin wolnych i niekomunistycznych. Redakcja naukowa i wstęp prof. Lidia Kasarekto.



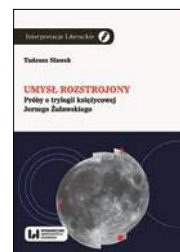
AUTORZY RÓŻNI
„NA DRUGIM BRZEGU”
PIW

Wznowienie debiutanckiej powieści laureata ubiegłorocznej nagrody Nike (za „Baśń o węzowym języku”). Połączenie realizmu magicznego i kryminału retro, a przede wszystkim hymn ku czci miłości i hołd złożony potężnej kobiecości.



RADEK RAK
„KOCHAM CIĘ, LILITH”
PRÓSZYŃSKI I S-KA

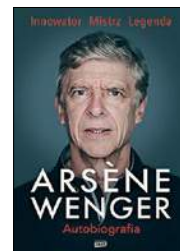
Fascynująca nowość w serii „Interpretacje Literackie” – analiza trylogii książkowej Jerzego Żuławskiego. Czyli o tym, co sprawia, że „Na srebrnym globie” wykracza daleko poza etykietkę „pierwsza polska powieść SF”.



TADEUSZ SŁAWEK
„UMYŚL ROZSTROJONY”
WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU ŁÓDZKIEGO

Trener niemożliwy, czyli Francuz pokazujący Anglikom, jak grać w piłkę i szkolić młodzież. Klucz do tego drugiego sukcesu to sprawić, by młody talent nie stracił motywacji, o co coraz trudniej w świecie kosmicznych kontraktów. ©©

poleca Piotr Gociek

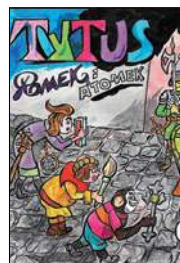


ARSÈNE WENGER
„AUTOBIOGRAFIA”
ZNAK

KOMIKS TYGODNIA:

„OSTATNI TYTUS”

Henryk Jerzy Chmielewski liczył dni do premiery swego najnowszego albumu – niestety, nie doczekał. Zmarł we śnie 22 stycznia tego roku. Geniusz polskiego komiksu żegna się z nami albumem, w którym Tytus, Romek i A'Tomek trafiają m.in. do Watykanu, gdzie otrzymują specjalną misję od Ojca Świętego. Z ulubionymi bohaterami kilku pokoleń Polaków oglądamy więc m.in. chrzest



HENRYK JERZY CHMIELEWSKI
„TYTUS, ROMEK I A'TOMEK POMAGAJĄ KSIĘCIU MIESZKOWI OCHRZCIĆ POLSKĘ”
PRÓSZYŃSKI I S-KA

Polski. To już 10. album odmienionej serii – Papcio Chmiel zmienił jej charakter po XXXI księgach przygód, gdy zamiast ucłowieczać Tytusa, zabrał się do oprowadzania czytelników po historii Polski. ©©

poleca Piotr Gociek



Braterski Kosmodrom

FOT. MATERIAŁ PRASOWY

Nie minęło jeszcze nawet pół roku od powołania do życia duetu Kosmodrom, ale materiał na płytę jest już gotowy. Kosmodrom powstał w wyniku przegrupowania dokonanego przez braci Rękasów, którzy wcześniej działali razem w zespole Need More Clouds.

Przez osiem lat działalności zespołu, w którym grali z kole-

gami najpierw z podstawówki, a później z liceum, zdobyli doświadczenie, parę nagród, otrzaskali się z radiowymi i telewizyjnymi studiami, supportowali parę głośnych nazwisk, a nade wszystko – wypracowali przyjemne brzmienie. Jednak mimo komercyjnego potencjału NMC drogi członków zespołu się

rozeszły. „Każda nuta i każde słowo jest z nas samych i chcemy, żeby tak już zostało. Kiedy więc przyszedł czas, gdy drogi życiowe muzyków, z którymi tworzyliśmy NEED MORE CLOUDS, naturalnie się rozjechały, postanowiliśmy, że będziemy kontynuować granie już jako duo. Tak powstał KOSMODROM” – piszą.

– Zespół założyliśmy w 2012 r. i byliśmy wtedy nieletni, a niektórzy nawet grubo nieletni. Teraz jako dwudziestoparoletni mężczyźni mamy inne spojrzenie na to i chcieliśmy grubą kreską oddzielić nową filozofię od tamtej – mówili bracia „W tonacji Trójki”.

Pierwszy singiel pod nową banderą wydany został pod auspicjami Agencji Muzycznej Polskiego Radia i jest zapowiedzią nadchodzącego albumu Kosmodromu. – „Oni już tu są” celuje w stylistykę, która na większości naszego materiału się znajduje, czyli jest energetycznie, jest riffowo.

Materiał na płytę powstawał przez wiele lat i jest wypadkową wielu okresów, głównie z czasów, gdy mieszkaliśmy jeszcze razem w domu rodzinnym – mówił na antenie Trójki Gabriel Rękas.

Cały materiał jest już nagrany i zmiksowany. Płyta niebawem. ©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Grzecznie i bezpiecznie

Pierwszy album, „Niemożliwe”, rodzeństwa Kasi i Jacka Sienkiewiczów rozszedł się w ponad 30-tysięcznym nakładzie. I leż to wykonawców po sukcesie debiutanckiego albumu przeżywało tzw. przekleństwo drugiej płyty!

W odróżnieniu od innych krajowych duetów dziewczęco-chłopięcych muzyka Kwiatu Jabłoni wyróżnia się naturalnym, opartym na żywych instrumentach brzmieniem. W dobie natłoku elektronicznych bitów, wokalnych tuningów, sampli... czyste, harmonijne wokale na tle przejrzyście zaaranżowanych podkładów działają kojąco. Tyle że na świecie podobnych płyt są setki. Wyróżniają się te, na których słychać szaleństwo, łamanie konwencji lub osobisty, niebanalny

przekaz. Rodzeństwo dryfuje na falach bezpiecznych rozwiązań.

Postrzeganie świata przez milennialsów może być intrygujące, jednak liryczne przesłania Kasi i Jacka są wyświechtane: „Bo chociaż wczoraj zaszło słońce, to nie musi jutro wstać”; „Uciekać przed czymś oznacza dać złapać się pierwszemu”; „My mamy pustki w głowach, głowy w telefonie”... Życzę im, by przestali być tacy grzeczni, i zgodnie ze słowami piosenki „Przezroczyści świat” („A gdyby tak, choć jeden raz, nam się zatrzęsała ziemia / przerwała sen, oderwała nas od niechcenia”) zaryzykowali, bo atutów mają wiele.

I jeszcze jedno. Mimo wysmakowanej oprawy graficznej nie mogą zrozumieć, dlaczego 20-latkowie na zilustrowanie swoich dokonań wybrali wnętrza muzeum PRL. ©



★★★★★
GOAT GIRL
„ON ALL FOURS”
ROUGH TRADE

Żeński kwartet z Londynu na drugim albumie ostro politykuje i udanie rozwija dokonania Stereolab i Broadcast. Dawny agit-punk przeistoczył się w spójną hybrydę muzyczną łączącą popowe wokale, funkowy bas, psychoklawisz i elektro-niczne pejzaże. Więcej niż ciekawe.



★★★★★
THE STAVES
„GOOD WOMAN”
ATLANTIC

Angielskie, śpiewające siostry przekształciły życiowe radości i dramaty (śmierć matki, narodziny dziecka, rozstania) w elegancko niuansowane piosenki. Ich pięknie zharmonizowane głosy z równą wyrazistością oddają słoneczną melancholię i chmurne napięcia. ©



★★★★★
KWIAT JABŁONI
„MOGŁO BYĆ NIC”
AGORA

Serial „Osiecka” produkcji TVP

FOT. TVP

Gonią wilki za owcami



Krzysztof Masłoń

Dwukrotnie już w tym miejscu pisałem o telewizyjnym serialu o Agnieszce Osieckiej, nie szczędząc uwag krytycznych, bo też rozmaite pretensje pod jego adresem same się nasuwają. Ale też od dawna żadna produkcja firmowana przez TVP (czy producent był zewnętrzny, czy wewnętrzny, nie ma tu nic do rzeczy) nie poruszyła mnie w takim stopniu jak historia życia autorki „Nie żałuję”. W ubożuchnym rankingu telewizyjnych wydarzeń ostatnich lat usytuowałbym „Osiecką” obok „Czasu honoru” i „Stulecia Winnych”. Bo mieliśmy do czynienia z wydarzeniem!

Oto pokazano nam życie kogoś, kogo – zdawałoby się – ledwie wczoraj spotykaliśmy na ulicach Warszawy, Krakowa czy Sopotu. Okazuje się, że niekoniecznie trzeba sięgać po biografie osób, których, z racji biologicznych, nikt nie może pamiętać, a w związku z tym pokazywać je można tak, jak się komu podoba. W końcu nikt się nie będzie awanturował o Eugeniusza Bodo, a tym bardziej o Helenę Modrzejewską czy Hankę Ordonówną. I tak Krystyna Janda mogła wcielić się w legendę polskiej sceny, a Dorota Stalińska w małżonkę hrabiego Michała Tyszkiewicza. Bez konsekwencji.

Magdalena Popławska jako Agnieszka Osiecka też nie w całym serialu się sprawdziła. W ostatnich odcinkach przekonująca, poruszająca, a na samym końcu wręcz wstrząsająca, wcześniej najzwyczajniej w świecie nie została przez charakterystatorów odpowiednio przygotowana. Dlatego nie tylko w związkach ze Zbigniewem Mentzlem czy

z André Hübnerem-Ochodlo, lecz także z Danielem Passentem wygląda, najdelikatniej mówiąc, nadto dojrzałe. Całkiem serio zastanawiałem się, czy skoro dwie aktorki zagrały Osiecką (tę z lat młodzieńczych kreowała Eliza Rycembel), to może przydałaby się i trzecia. Odnosnie do zaprezentowanych partnerów bohaterki serialu to świetnie zagrał Jeremiego Przybora Grzegorz Małecki. Na pewno nie da się tego powiedzieć o rozbitym odtwórcy roli Hłaski czy jednowymiarowym Dąbrowskim, Mentzlu, a i Frykowski, choć akurat z tej postaci, było nie było, męża Agnieszki Osieckiej niełatwo było wykrzesać coś oryginalnego. A i tak wypadł znacznie lepiej od drugiego „ślubnego” poetki, niejakiego Jesionki, który w serialu nie zaistniał w ogóle. Podobnie jak Bułat Okudźawa, Andrzej Jarecki, który w istocie w filmie tylko statystuje, czy Mieczysław F. Rakowski.

No dobrze, ale nie musiał to być, na szczęście, serial o mężczyznach, którzy stawali na drodze Osieckiej. Autorce m.in. i takiej piosenki, w której Maryla Rodowicz śpiewała:

**Gonią wilki za owcami,
A chłopaki za babami,
A dziewczyny za zamęściem,
A złodzieje to za szczęściem.**

A za czym goniła Agnieszka Osiecka, ta wieczna dziewczyna z końskim ogonem, na której pogrzeb przyszyły tłumy ludzi, ze łzami w oczach żegnających tę, która nauczyła ich wrażliwości, która pisała o spawach i rzeczach naprawdę im bliskich, która była stąd, podobnie jak oni? Pewnie też, jak ci złodzieje z piosenki, za szczęściem. Nie osiągnęła go nie tylko dlatego, że przeszkadzali w tym PZPR-owscy działacze w rodzaju tego granego przez dyżurnego sadybę polskich seriali – Przemysława Bluszcza. Po prostu, „taka gmina” u nas, jak w piosen-

ce jej rywala i kochanka w jednej osobie Jeremiego Przybory. W cytowanej już historii o tym, jak wilki gonią za owcami, Rodowicz śpiewała dalej:

**Zrobił Pan Bóg ziemi grudę
I zimowe ptaki chude,
Zrobił mrówki z mrówczętami,
Odrę, Nysę z dopływami.**

A co ze szczęściem dla autorki tych słów? Czy rozmyło się gdzieś w „hotelowych korytarzach” czy w butelkach wódki, chyba zbyt często eksponowanych w serialu rekwizytach? Pewnie tak, choć żałuję, że powierzchownie potraktowany został przez twórców filmu sam proces tworzenia tych jakże wielu perełek, które nam pozostawiła Agnieszka Osiecka. Jeden świetny epizod z Katarzyną Gaertner przy pianinie wszyskiego nie załatwia, zwłaszcza że analogiczna scena z Sewerynem Krajewskim jest do niczego.

Ale nic to, mamy serial, za którym powinny pójść następne. O Czesławie Niemienie, Violetcie Villas, Marku Grechucie, Wojciechu Młynarskim, że pozostaną tylko przy jednej tematyce. I nie chodzi wcale o to, by skleić zachowane w archiwach taśmy, które jakoby przekazać nam mają prawdę o człowieku (tak jak wychwalana ponad miarę telewizyjna składanka o Krzysztofie Krawczyku). Aby zbliżyć się do tej prawdy potrzeba dzieła artystycznego, a takim jest serial wyreżyserowany przez Roberta Glińskiego i Michała Rosę. Mimo wszystkich zastrzeżeń.

Agnieszki Osieckich jest zapewne nieskończenie wiele. Każdy, kto ją pamięta, ma swoją. Jasne, że niedoskonałą, ułomną, okropną, ale przecież, jak to szło w piosence?

**Zaczął Pan Bóg szczęście lepić
Z lustreczka maluskiego.
Jedno tylko dostał w sklepie,
Nie wystarczy dla każdego.**

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Poczet siewców paniki jest długi i nie kończy się bynajmniej na Grecie Thunberg (na zdjęciu)

FOT. MARKUS SCHREIBER/AP/EAST NEWS



Łukasz Warzecha

Bjørn Lomborg przekłupa balon paniki, nakręcaną przez postaci takie jak panna Thunberg czy Bill Gates, który namawia do zastąpienia mięsa „mięsem” roślinnym

Fałszywy alarm

Równo 20 lat temu ukazała się książka, która narobiła sporego zamieszania w kręgach wieszczących już wówczas rychłą katastrofę klimatyczną. Z tym że w tamtym czasie dziś już nieco zapomniana opowieść o dziurze ozonowej wciąż jeszcze rywalizowała z opowieścią o tym, że usmażymy się w związku z ociepleniem klimatu. Nikt też nie wyobrażał sobie, że Europa odnajdzie właśnie w sprawach klimatycznych nową religię i skaże swoich mieszkańców na ponoszenie z tego powodu trudnych do wyobrażenia kosztów. Jednak już wówczas duński ekonomista Bjørn Lomborg w swojej książce „The Sceptical Environmentalist” („Sceptyczny ekolog”) – o niej bowiem mowa – podjął się krytyki proponowanych metod chronienia środowiska naturalnego, stawiając fundamentalne pytanie:

Czy to się opłaca? Rosnący wtedy w siłę ruch zielonych odsądził go za to od czci i wiary, choć Lomborg nie był wcale – i nie jest nadal – jak to się dzisiaj określa: „negacjonistą”. Nie pasuje do stereotypu krytyka hipotezy globalnego ocieplenia czy sojusznika wielkich koncernów paliwowych. Stworzony przez niego Instytut Konsensusu Kopenhaskiego był od początku oparty na idei zrównoważonego rozwoju, kojarzonej raczej z lewicą.

Lomborg nie kwestionuje nie tylko tego, że zachodzi globalne ocieplenie, lecz także tego, że człowiek ma na nie wpływ (tego zresztą nie kwestionuje niemal nikt – pytanie brzmi jedynie, czy ten wpływ jest znaczący i czy jego ograniczenie cokolwiek zmieni). Różnica pomiędzy Lomborgiem a ortodoksyjnymi klimatystami polega na tym, że o ile oni nie zwracają uwagi na

koszty swoich najbardziej radykalnych propozycji i lansują tezę, że wobec nadchodzącej zagłady nie można na nie patrzeć, o tyle Lomborg skrupulatnie liczy pieniądze.

CIOS W GOSPODARKĘ

Radykalni klimatycy wyhodowali ideę degrowth, czyli gospodarczego „zwijania się”, twierdząc, że jeżeli jest to jedyny sposób na zapobieżenie klimatycznej katastrofie, to trudno. Przecież w obliczu zagłady wstyd zachowywać się jak liczykrupa. Lomborg po raz drugi podjął wyzwanie i w ubiegłym roku wydał książkę zatytułowaną „False Alarm. How Climate Change Panic Costs Us Trillions, Hurts the Poor, and Fails to Fix the Planet” („Fałszywy alarm. Jak panika wokół zmiany klimatu kosztuje nas biliony, uderza w biednych i nie naprawia planety”). I znów, podobnie jak 19 lat wcześniej, zakwestionował nie samo to, że zmiana zachodzi, ale to, jak zamierza się z nią walczyć. Do swoich wywodów włączył najnowsze prognozy i modele – co ciekawe, nierzadko te same, na które często bezrefleksyjnie powołują się klimatycy, tak jak model kosztów zmian klimatycznych prof. Williama Nordhaua z Uniwersytetu Yale, zajmującego się ekonomią klimatu, nagrodzonego w 2018 r. Noblem z ekonomii. Przeprowadził własne oceny i analizy, szacując koszty rozwiązań takich jak porozumienie paryskie czy ambitne plany UE (od momentu wydania książki po raz kolejny zwiększono cel redukcji CO₂ w Unii) i dochodząc do wniosku, że w zdecydowanej większości efekt będzie mizerny albo niezwykle rozciągnięty w czasie, za to będzie kosztował potworne pieniądze i uderzy przede wszystkim w słabiej rozwiniętą gospodarkę i państwa.

Niezwykle ważne w książce Lomborga są pierwsze rozdziały, w których przekłupa balon paniki nakręcaną przez postaci takie jak panna Thunberg albo ruch Extinction Rebellion. Czytamy na przykład:

„Mówi się nam, że wszystko musimy zrobić natychmiast. Powszechna opinia, powtarzana do znudzenia przez media, jest taka, że mamy czas jedynie do 2030 r., aby rozwiązać problem zmian klimatycznych. »Tak mówi nauka!«.

Ale to nie nauka nam tak mówi. Tak mówi polityka. Ta granica czasowa wynika z nagabywania naukowców przez polityków, zadających bardzo konkretne, hipotetyczne pytanie: Co właściwie trzeba by zrobić, żeby utrzymać zmiany klimatyczne poniżej niemal niemożliwe-

go do osiągnięcia progu? Niedziwne, że naukowcy odpowiedzieli, że jest to prawie niemożliwe, a choćby zbliżenie się do tego celu wymagałoby gigantycznych zmian w całym życiu społecznym do 2030 r.”

Lomborg celnie porównuje ten sposób rozumowania do kwestii zapobiegania wypadkom drogowym. Gdyby spytać naukowców, co należy zrobić, żeby dojść do absurdu celu zera ofiar wypadków drogowych, odpowiedzieliby, że należy ograniczyć prędkość na wszystkich drogach do 5 km/godz. I to się zgadza – wówczas nikt by nie zginął. Lecz – zauważa Lomborg – nauka nie mówi nam, że musimy takie ograniczenie wprowadzić. Ona jedynie wskazuje, że trzeba by je wprowadzić, żeby osiągnąć absurdalnie wyśrubowany cel. Problem nie tkwi zatem w samej nauce czy naukowcach, ale w politykach, którzy ten cel postanawiają osiągnąć, choć – w użytej analogii – oznacza on praktyczną niemożliwość korzystania z samochodów. W przypadku walki ze zmianami klimatu oznacza zaś absurdalnie wysokie koszty.

SIEWCY PANIKI

Siewcy paniki – w opinii Lomborga – robią więcej złego niż dobrego. A ich poczet jest długi i nie kończy się bynajmniej na młodej (choć już pełnoletniej) Szwedce. Oto np. w 2009 r. książkę Karol, brytyjski następca tronu, oznajmił, że wyliczył, iż „pozostało nam 96 miesięcy na ocalenie świata”. 96 miesięcy minęło w 2017 r. W 2006 r. Al Gore – samozwańczy guru walki z globalnym ociepleniem – zapowiedział, że jeżeli w ciągu 10 lat nie zostaną podjęte radykalne środki na rzecz walki ze zmianami klimatycznymi, to osiągniemy „punkt bez odwrotu”. Od tego czasu „punkt bez odwrotu” nieco się przesunął w czasie. I tak dalej, i tak dalej.

Lomborg wskazuje również na skazę w statystykach dotyczących szkód wyrządzanych przez katastrofy pogodowe (niektórzy chcieliby je nazywać klimatycznymi), takie jak tornada, powódzie, pożary, które przecież zawsze się zdarzały. Epatuje się rosnącymi liczbami ofiar i wyceną strat, ale nie uwzględnia tego, że wynika to z faktu coraz gęstszego zaludnienia, budowania osiedli i miast na terenach zalewowych czy podatnych na pożary, wreszcie z tego, że jeden dom – zniszczony przez pożar czy powódź – jest dzisiaj więcej wart niż kilkadziesiąt lat temu.

Lomborg wylicza – opierając się na dostępnych modelach – jakie finansowe skut-

ki w 2100 r. może mieć przyjęcie jednego z dwóch kursów: zielonego albo opartego wciąż na paliwach kopalnych. W przypadku tego pierwszego statystyczny mieszkaniec naszej planety byłby w roku 2100 blisko sześć razy bogatszy niż obecnie. Gdyby zaś podążyć drogą paliw kopalnych, zamożność przeciętnej osoby wzrosłaby aż o 10,4 razy. To oczywiście średnie – w istocie obciążenia nie rozłożą się równo, a najbardziej ucierpią najubożsi, bo dla nich nieuchronny wzrost cen energii (a z nią wszystkich produktów i usług) będzie najbardziej odczuwalny.

Lomborg nie twierdzi przy tym, że nic nie trzeba robić. Jest zwolennikiem stopniowego wprowadzania podatku od emisji CO₂ na rynkowych zasadach. Przede wszystkim zaś stwierdza, że znacznie bardziej opłacalne z ekonomicznego punktu widzenia jest pozostawienie ludziom możliwości korzystania z paliw kopalnych – przy ich stopniowym i łagodnym ograniczaniu – a w zamian inwestowanie w technologie, pozwalające się przystosować do zmieniającego się klimatu: klimatyzację, tamy, budowanie osiedli w sposób zapobiegający ich podatności na ogień itd. Zresztą – przypomina autor „Fałszywego alarmu” – zmiana klimatu może nieść ze sobą nie tylko straty, lecz także korzyści, na przykład możliwość stosowania bardziej wydajnych upraw. Raport Komisji Europejskiej z 2018 r. wymienia Polskę obok Wielkiej Brytanii i Niemiec jako największego beneficjenta wzrostu temperatury do 2055 r. właśnie ze względu na rolnictwo.

KONIEC UTOPII

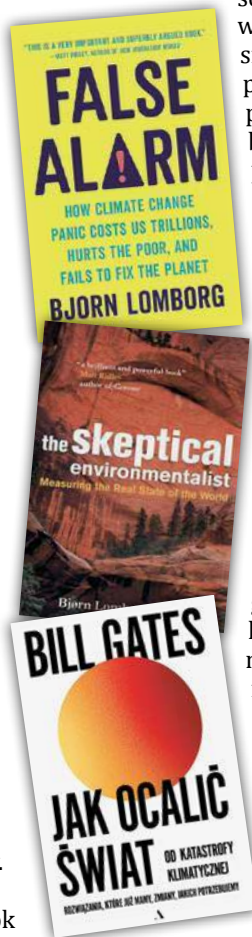
Przeciwko Lomborgowi wytaczane są jednak ciężkie działa. „Gazeta Wyborcza” zaangażowała się właśnie w promowanie wydanej po polsku (niestety, w przeciwieństwie do książki Lomborga) książki Billa Gatesa „Jak ocalić świat od katastrofy klimatycznej”. Fragment, który swoim czytelnikom na zachętę przedstawiła redakcja z Czerskiej, jest szczególnie ciekawy, bo Gates namawia w nim do

rezygnacji z hodowli mięsa, przywołując znane doskonale argumenty, że trzoda, trawiąc, wydała metan (poprzez, proszę wybaczyć, prykanie). Gates stwierdza, że znakomitą alternatywą jest „mięso” roślinne, ale zarazem otwarcie przyznaje: „Zainwestowałem w dwie firmy, które dostarczają obecnie na rynek produkty z roślinnego mięsa – to Beyond Meat oraz Impossible Foods – jestem zatem stronniczy”. Skąd ten przyływ szczerości? Być może Gates woli grać w otwarte karty, nie narażając się na zdemaskowanie, że promując klimatyzm, realizuje po prostu własny interes, jak to było w przypadku wielu osób przedstawionych w głośnym dokumencie „Planet of the Humans” Jeffa Gibbsa (pisałem o nim w „Do Rzeczy” kilka miesięcy temu). Przy czym założyciel Microsoftu oczywiście nie analizuje skutków ekonomicznych rezygnacji z produkcji mięsa.

Co ciekawe, o rezygnacji z mięsa pisze też Lomborg – weganin z wyboru. Przypomina jednak, że takich jak on, niejedzących mięsa z wyboru, jest na świecie 75 mln, podczas gdy reszta – niemal 1,5 mld ludzi – to wegetarianie z przymusu – nie jedzą mięsa, bo ich na nie nie stać. Szybko ustawia propozycje takie jak Gatesa w odpowiedniej perspektywie, wskazując poprzez wyliczenia, że rezygnacja z mięsa miałaby marginalne skutki dla klimatu.

Nic tak celnie nie podsumowuje utopijnych pomysłów różnego rodzaju totalistów – w tym przypad-

ku klimatycznych – jak ich weryfikacja w realnym życiu. Lomborg opisuje, jak rząd Fidzi sprzymierzył się z japońską firmą, by do odległych wiosek dostarczyć panele słoneczne zapewniające prąd bez dostępu do linii energetycznych. Aż 30 gospodarstw domowych w wiosce Rukua w oczekiwaniu na wielkie nowe otwarcie kupiło lodówki. Niestety, wspiana instalacja solarna mogła zasilać jednocześnie jedynie... trzy takie urządzenia naraz. Finał był taki, że sześć gospodarstw domowych kupiło własne generatory prądu. Z silnikami Diesla, oczywiście.





Potęga śniegu



Adam Zubek

Płatek śniegu pozostaje niewinną śnieżynką aż do momentu, gdy do gry wkraczają prądy powietrzne, czyli wiatr, i to one decydują, czy śnieg stanie się dla nas błogosławieństwem czy przekleństwem

Doczekaliśmy się! Bałwany wróciły na podwórka, dzieci z sankami na górkę, narciarze na stoki, ślizgawki na chodniki, zatory na rzeki. Przed nami czas lawin w górach i powodzi roztopowych na nizinach. Delikatna, subtelna śnieżynka, nazwana kiedyś przez kogoś najpiękniejszym klejnotem natury, ma dwa oblicza. Potrafi umilać nam życie, ale zdolna jest także do czynów zbrodniczych. A jej pomysłowość nie zna granic. Ma na sumieniu tysiące istnień. Podejrzewa się, że próbowała też w ogóle unicestwić życie na naszej planecie.

Matką jej jest woda, ale z ustaleniem ojcostwa mogą być problemy. Często jest to ktoś z bliskiej rodziny – na przykład kryształek lodu, nierzadko jednak jakiś przybłąda – ostrokrawędzisty okrusz mineralny, pyłek porwany z pustyni lub chmury wulkanicznej, kryształek soli morskiej czy prozaiczny składnik zanieczyszczeń przemysłowych. Gdy tylko taki gość pojawia się w chmurze lekko przechłodzonej wody, pełniąc rolę jądra zamarzania, kropelki natychmiast zmieniają stan skupienia. Płatek śniegu pozostaje niewinną śnieżynką aż do momentu, gdy do gry wkraczają prądy powietrzne, czyli wiatr, i to one decydują,



Fiński patrol narciarski, 12 stycznia 1940 r.

FOT. IMPERIAL WAR MUSEUMS/WIKIPEDIA

czy śnieg stanie się dla nas błogosławieństwem, czy przekleństwem.

CZARNY ŚNIEG

Końcówka stycznia 2006 r. była mroźna i śnieżna. Stoki górskie wypełniły się młodzieżą, korzystającą beztrudno z zimowych ferii. W tym samym czasie, konkretnie 28 stycznia o godz. 17.15, na dachu hali Międzynarodowych Targów Katowickich grubość pokrywy śnieżnej przekroczyła masę krytyczną. Pod zawalonym dachem zginęło 65 osób, a 170 zostało rannych. Dokładnie trzy lata wcześniej, też 28 stycznia, masę krytyczną osiągnęły

masę śniegu zalegającego na zboczach nad Czarnym Stawem pod Rysami. Lawina zabiła ośmioro uczestników szkolnej wycieczki z Tychów. Była to największa tragedia w dziejach turystyki tatrzańskiej. Ale nie największa w polskich górach. Największa wydarzyła się w Sudetach w 1968 r. W Białym Jarze koło Karpacza pod lawiną poniosło śmierć 17 osób.

Zupełnie bezprecedensowy sposób zbrodni wybrał ten zimowy duet w Warszawie w 1979 r. Śnieg i mróz uszczelnił górną warstwę gruntu. Wszystko to, co ułatwiało się z nieszczelnych podziemnych instalacji, przede wszystkim gaz, szukało ujęcia sobie tylko znanymi kanałami. Jeden z nich prowadził pod Rotundę PKO w samym centrum stolicy. Zginęło 49 osób.

Zimową codziennością są poślizgi, a w konsekwencji kolizje i wypadki. Drogowcy wyróżniają kilka przyczyn tzw. śliskości zimowej: śnieg luźny, śnieg zajeżdżony, nabój śnieżny, błoto pośniegowe. Policzone to dokładnie: współczynnik tarcia między kołami pojazdów a nawierzchnią suchą wynosi 0,8 lub więcej. Zimą, wskutek pokrycia dróg śniegiem lub lodem, wartości tego współczynnika zmniejszają się do 0,15–0,35 dla suchego śniegu oraz 0,10–0,20 dla lodu. Wskutek zmniejszania wartości współczynnika tarcia gwałtownie wydłuża się droga hamowania, przy czym wykres zwiększania tej drogi ma charakter wykładniczy. Podobnie wzrasta liczba kolizji na drogach.

ŚNIEG BATALISTYCZNY

Śnieg pozwala sobie na znacznie poważniejsze ingerencje w życie ludzi, ma udział w kształtowaniu historii. Powszechnie znane są losy dwóch największych najazdów zachodnioeuropejskich agresorów na Rosję: Napoleona w 1812 r. i Hitlera w 1941 r. W obu przypadkach zastąpił im drogę „generał Zima” jedynie z dwiema dywizjami. Jedną dowodził pułkownik Mróz, drugą – pułkownik Śnieżynka. Te spotkania przesądziły o losach obu kampanii.

Warto przypomnieć, że zaledwie dwa lata przed spotkaniem z armią Hitlera generał Zima stanął w obronie małego, dzielnego narodu, tym razem przeciwko Rosji Sowieckiej. Regularne wojska fińskie liczyły tylko 36 tys. żołnierzy, więc Rosjanie byli pewni szybkiego zwycięstwa. Tymczasem Finowie w Karelii, wykorzystując warunki klimatyczne, brak dróg i gęste zalesienie, nocami, wśród zawieruch

i zamieci śnieżnych, w białych kombinizonach, na nartach toczyli zacięte walki na tyłach Armii Czerwonej. Minowali drogi, wysadzali mosty i tory kolejowe. Rosjanie ponieśli ciężkie straty i choć zagarnęli wschodnią część kraju, to musieli pożegnać się z myślą o aneksji całej Finlandii.

Podczas pierwszej wojny światowej, w cieniu zmagani na głównych frontach, toczyła się wojna włosko-austriacka o Tyrol. Właściwie nie wiadomo do dziś, czy to, co się wydarzyło w dniu św. Łucji, w piątek 13 grudnia 1916 r., było zdarzeniem przypadkowym, czy celowo spowodowanym. Gniazdo obserwacyjne artylerii 1. Batalionu Tyrolskiego Regimentu Strzelców Cesarskich ulokowało się na wysokości 3300 m. Pociski włoskiej artylerii po drugiej stronie doliny przełatywały gdzieś wysoko ponad głowami Tyrolczyków, tak że nie przerywali oni odkopywania rowów strzeleckich, pokpiwając sobie z włoskich kanonierów. Chwilę potem góra ruszyła z miejsca. Włosi zapewne wypatrzyli wielki nawis śnieżny i ostrzeliwując go, uruchomili lawinę. Pod milionem metrów sześciennych śniegu zostało pogrzebanych 274 oficerów i żołnierzy 1. Batalionu, 63 zginęło, a ich ciała nigdy nie odnaleziono.

BIAŁA APOKALIPSA

Śnieżynka jest zdolna do działań znacznie bardziej długofalowych niż tylko przez jeden sezon zimowy. Wystarczy, że prądy powietrzne ulokują ją powyżej tzw. linii wiecznego śniegu, a więc w miejscu, gdzie więcej śniegu spada, niż topnieje – najczęściej w górach lub na lądolodach. Zamienia się on wtedy z biegiem czasu w lód, tworząc w sprzyjających warunkach lodowce, które nie są niczym innym, jak tylko składowiskiem podstarzałych śnieżynek. W tej postaci już rzadziej uprzykrza ludziom życie, zajmuje się bardziej problemami na skalę globalną – steruje klimatem Ziemi. Zdarzają się oczywiście wyjątki, jak to, co wydarzyło się w tym roku na początku lutego. W indyjskim stanie Uttarakhand w rejonie góry Nanda Devi odłamał się kawał lodowca. Wpadał on do rzeki Alkananda i wywołał kolosalną powódź, która przerwała zapórę. Zniszczeniu uległy trzy hydroelektrownie, a liczbę ofiar oceniono na ponad 200.

Nie wiemy, dlaczego i kiedy Ziemia zafundowała sobie białą czapkę ze śniegu i lodu. Istnieją dowody geologiczne, że epoki lodowcowe występowały już

■ przed ponad 2 mld lat i powtarzały się wielokrotnie. Spór o ich przyczyny pozostaje wciąż nierozstrzygnięty, ale jedno jest pewne – śnieg nieprzerwanie uczestniczy w życiu Ziemi, a liczne hipotezy obarczają odpowiedzialnością za powstawanie zlodowaceń... kolor śniegu. To zrozumiałe. Powszechnie bowiem wiadomo, że biel odbija promieniowanie słoneczne. Meteorolodzy mają na to swoją miarę – albedo, określane stosunkiem promieniowania odbitego do padającego. Bielszy odcień bieli cechuje powierzchnię świeżego śniegu, jego albedo dochodzi nawet do 95 proc. A więc zaledwie 5 proc. padających promieni jest pochłanianych, reszta zostaje odbita ku atmosferze, a w przypadku atmosfery bardzo przejrzystej – w przestrzeń pozaatmosferyczną. Tak więc każda śnieżynka, która powiększa białe obszary naszej planety, uczestniczy w tym procesie.

Mechanizm na pozór wydaje się prosty: na łąkach nie wszystkie śnieg, który spadł w zimie, topi się, ponieważ lato było zbyt chłodne. Obszar pokryty bielą powiększa się, dzięki czemu rośnie albedo. Odbiciu ulega większa ilość ciepła i następnego lata topi się jeszcze mniej śniegu, co powoduje ponowny wzrost albedo. Gdyby jednak mechanizm był rzeczywiście tak prosty, to Ziemia w krótkim czasie zamieniłaby się w białą śnieżną kulę i nic już nie mogłoby tego faktu odwrócić. Dowody na to, że tak się zdarzyło, pierwszy przedstawił przed 30 laty Joe Kirschvink z California Institute of Technology z Pasadeny, wzbudzając niedowierzanie. Jednak po latach hipoteza Ziemi-śnieżki na dobre zadomowiła się w naukach o Ziemi. Oczywiście od razu rodzi się pytanie, jak Ziemia wyswobodziła się z oków śniegu, lodu i mrozu i jak to możliwe, że życie przetrwało?

Odpowiedzi trzeba szukać głęboko we wnętrzu Ziemi. Ciepło produkowane przez rozpalone wnętrze planety musi prędzej czy później znaleźć ujście. Od tego są wulkany. To gorąca magma przebiła się przez lodowy pancerz, dostarczając nie tylko materiał zmieniający kolor białej pustyni, lecz także pompując do atmosfery ogromne ilości dwutlenku węgla. Efekt cieplarniany odegrał wówczas kluczową rolę w uratowaniu Ziemi. A życie? Dzisiaj już wiemy, że może przetrwać nawet w najbardziej ekstremalnych warunkach. Na dnie oceanów, wokół tzw. kominów hydrotermalnych, funkcjonują ekosystemy niewymagające ani światła, ani

tłenu. Podejrzewa się, że wcześniej, przed 3–4 mld lat, tam narodziło się życie.

Niewykluczone, że miejsca te stały się ośrodkami odrodzenia życia po lodowym dramacie naszej planety. Poznaliśmy także organizmy krioofilne zdolne do fotosyntezy, które potrafią przetrwać pod bardzo grubą taflą lodu.

Najbardziej frapujący dla naukowców jest fakt, że najlepiej udokumentowany epizod Ziemi-śnieżki wydarzył się 750–580 mln lat temu i zaraz potem (w skali geologicznej) nastąpiła tzw. kambryjska eksplozja życia, a więc zapoczątkowany został okres rozwoju olbrzymiej różnorodności żywych organizmów, trwający do dzisiaj. Wiele wskazuje na to, że epizod Ziemi-śnieżki to nie tylko dramat naszej planety, lecz także potężny impuls ewolucyjny. Mamy na to dowody z bliższej nam przeszłości i w dodatku dotyczące nas samych. Epoka ostatniego, plejstocenskigo zlodowacenia na półkuli północnej to czas, kiedy w Afryce z jednej z gałęzi naczelnych wyewoluował przodek *Homo sapiens*. Zdaniem wielu antropologów kluczowe znaczenie miała zmienność klimatu, spowodowana wielokrotnym nasuwaniem się i cofaniem lądolodów skandynawskiego i północnoamerykańskiego.

ŚNIEG ŁAGODZI OBYCZAJE

Najwięcej powodów do sympatii wobec śniegu, obok dzieci i entuzjastów sportów zimowych, mają rolnicy. Pierzynka śniegowa to jest to, na co podczas dużych mrozów z utęsknieniem czekają. Jak działa? Chodzi o to, że pokrywa śnieżna ma odmienny stosunek do tego, co nad nią, czyli atmosfery, i do tego, co pod nią, czyli gleby. Na atmosferę ma wpływ ujemny – oziębia ją i to niekiedy do znacznej wysokości, a na podłoże dodatni, bo jest bardzo złym przewodnikiem ciepła. Gleba jest więc w komfortowej sytuacji – nie traci własnego ciepła, bo śniegowa pierzynka go nie przepuści i jest odizolowana od bardzo niekiedy zimnego powietrza. Profesor Aleksander Kosiba przytaczał przykład ze swoich pomiarów we Wrocławiu: gdy np. na powierzchni pokrywy śnieżnej było –33 st. C, to na dnie pokrywy śnieżnej grubości 40 cm temperatura była bliska punktu topnienia (–1 st.). Z tego komfortu korzystają oczywiście uprawy ozime. Pod warstwą śniegu, najczęściej na przedwiośniu, gdy pokrywa śniegu nie jest już zbyt gruba, trwa walka o wykorzystanie tej resztki promieniowania słonecznego,

które nie zostało odbite od powierzchni śniegu. Niektóre rośliny pod śniegiem podnoszą dzięki temu temperaturę swojej tkanki i powietrza wokół, wskutek czego śnieg topnieje i po pewnym czasie rośliny wyłaniają się spod śniegu. Taką strategię stosują np. przebiśniegi i krokusy. Zjawisko to ma wielkie znaczenie w górach i na tundrach w krajach polarnych, gdzie okres wegetacyjny jest bardzo skrócony. Roślinność korzysta z tego resztkowego promieniowania jeszcze pod śniegiem. Niektóre rośliny mogą nawet kuwatnąć pod śniegiem, a po zniknięciu śniegu w krótkim czasie następuje końcowa faza ich rozwoju.

Trudniej mają zwierzęta. Dopóki śnieg jest puszysty, dopóty nie stanowi wielkiej przeszkody w dostępie do pokarmu. Gorzej jest, gdy na przemian topniejący i zamarzający śnieg zamieni się w lodowy pancerz. Jednak niektóre zwierzęta znakomicie nauczyły się wykorzystywać „walor pierzynki”. Zarówno kuropatwy, jak i zające spędzają noce oraz znaczną część dnia pod śniegiem, gdzie jest im ciepło nawet w największy mróz.

Wielką rolę odgrywają śnieżynki, zawarte w pokrywie śniegowej, u kresu swego istnienia. Stają się niezwykle ważnym dla gleby źródłem wilgoci. Pamiętamy sytuację z ubiegłorocznej wiosny, gdy susza glebowa przyczyniła się do znacznych strat w uprawach. Zima jest okresem, kiedy powinna nastąpić odbudowa wód podziemnych. Jest to możliwe, gdyż zimą – odwrotnie niż w lecie – parowanie jest zdecydowanie mniejsze w stosunku do opadów, a przenikanie wody z pokrywy śnieżnej do gruntu może być powoli dozwolone. Jeśli w dzień robi się cieplej, to pokrywa śnieżna uwalnia jakąś część wody, która powoli może się przesączać do gruntu. W nocy znów zamarza, więc cały proces uwalniania jest rozłożony w czasie – tłumaczy prof. Artur Magnuszewski, hydrolog z Uniwersytetu Warszawskiego. Dlatego ważne jest, żeby zimą padał śnieg, który nie topnieje od razu. Jeśli nie ma w miarę trwałej pokrywy śnieżnej, a nawet są duże opady, to woda nie zostanie zatrzymana, po prostu odpłynie do rzek.

Rodzą się ich miriady miriadów. Podobno nie spotka się dwóch identycznych, chociaż mają wspólny fundament – sześcioramienną gwiazdkę. Odwiedzają nas jakby coraz rzadziej, ale nasze przetrwanie bez śnieżynki jest trudne do wyobrażenia. © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Amerykanie przeciw bolszewikom

Podczas wojny 1920 r. w sowieckich szeregach panikę wywoływały aeroplany. Sam ryk lotniczych silników wywoływał przerażenie czerwonych, nie mówiąc już o spadających z nieba bombach.

Wraz z polskimi pilotami na aeroplanach tych latał Amerykanin. A konkretnie 21 ochotników służących w 7. Eskadrze Myśliwskiej im. Kościuszki. Bijąc się o niepodległość Polski, zamierzali oni spłacić dług, który powstał, gdy o niepodległość Stanów Zjednoczonych bili się Pułaski i Kościusko.

Jeden z tych dzielnych lotników nazywał się Kenneth Malcolm Murray. Napisał on wspomnienia, które ukazały się po angielsku w 1932 r. pod tytułem „Wings over Poland”. Teraz – dzięki Ośrodkowi Karta – ta ciekawa książka została przetłumaczona na polski. Murray był nie tylko świetnym żołnierzem, lecz także niezrównanym gawędziarzem.

„Rzeź była przerażająca – pisał. – Pięć zaważających i pikujących samolotów o pięciu parach szybkostrzelnych karabinów maszynowych skosiło dwojecie na całej długości. Pojawił się pułk kawalerii wroga. Kawalerzyści strzelali do samolotów ze strzelb i z broni ręcznej. Warczące

samoloty natatywały na nich jeden po drugim, siejąc śmierć i spustoszenie. Zamknięte w wąskiej uliczce konie szalały ze strachu. Wiatr wył w stalowych linach skrzydeł, a stukot karabinów maszynowych mieszał się z warkotem silników. W wyniku natarcia oddział się rozprzeczł.

Fauntleroy wreszcie dał sygnał Rory’emu i obaj wzniesli się, zostawiając poza sobą pokryte krwią ulice. Z niektórych dachów padały jeszcze czasem strzały, ale były one przypadkowe i niecelne. Oba samoloty wzniosły się wolną spiralą i zaczęły, aż pozostali koledzy dołącząc do nich. Cała grupa ustawiła się luźnym kluczem i skierowała na zachód.

W wagonie kasyna oficerskiego czekała już na nich gorąca kawa.

– Czy ktoś został trafiony?

– Nie, parę dziur tu i ówdzie. W skrzydłach i wokół silnika...

– U mnie tak samo.

Fauntleroy kiwnął głową.

– Proszę jak najszybciej sporządzić raporty”.

Największym atutem „Skrzydeł nad Polską” są bez wątpienia wartkie, zapierające dech w piersiach opisy lotniczych bitew. Aż trudno uwierzyć, że ta książka nie została wcześniej wydana po polsku! ©©



★★★★★

KENNETH
MALCOLM
MURRAY„SKRZYDŁA
NAD POLSKĄ”
OŚRODEK KARTA

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Kolegiata w Żółkwi

Jedną z ulubionych siedzib Jana III Sobieskiego była Żółkiew, która w ostatnich latach, dzięki dużym nakładom inwestycyjnym, stała się ważną atrakcją turystyczną. To prawdziwa perła ziemi lwowskiej, miejsce, gdzie zachowała się znacząca liczba śladów polskiej przeszłości.

Miasto lokował na prawie magdeburskim 22 lutego 1603 r. Stanisław Żółkiewski, pradziad króla i kanclerz

Dzisiejszy wygląd

świątynia

zawdzięcza polskim konserwatorom

koronny oraz hetman polny (później wielki). Nie żałował środków na jego rozwój, a przy okazji zmienił nazwę miasta z Winnicy na Żółkiew. I chociaż sam był gorliwym katolikiem, to ściągał do miasta prawosławnych, Żydów, Ormian i budował świątynie różnych wyznań. Jednak jego najwspanialszą inwestycją stała się katolicka kolegiata pw. Królowej Niebios i Świętych Wawrzyńca i Stanisława biskupa przy rynku miejskim. Ten przepiękny obiekt nazywano niegdyś „skarbcem pamiątek narodowych” i „pantheonem rycerskiej sławy”, co dobrze oddawało jego charakter. I nawet teraz, gdy zniknęła większość dawnego wyposażenia, można obejrzeć odnowione nagrobki i sarkofagi Stanisława i Jana Żółkiewskich, Jakuba Sobieskiego (ojca króla) i Stanisława Daniłowicza. A do 1939 r. w kolegiacie

wisiał ogromne płótno przedstawiające najważniejsze triumfy Żółkiewskich i Sobieskich (bitwy pod: Kłuszynem, Chocimiem, Parkanami i Wiedniem). Malowidła zostały zagrabione przez Sowieców po drugiej wojnie światowej, a chociaż Ukraińcy zgodzili się na renowację w Warszawie dwóch ostatnich (całość kosztów w wysokości ok. 4 mln zł pokryła strona polska), to nie powróciły one do kolegiaty. Pierwszy z obrazów znalazł się na zamku w Olesku, a drugi w Złoczowie. Szkoda, gdyż kolegiata odzyskałaby wiele z dawnego kolorytu, skutecznie nawiązując do przeszłości obiektu i miasta.

W połowie XIX w. przeprowadzono szeroko zakrojoną akcję zbierania funduszy na odnowienie budowli. Podczas prac renowacyjnych natrafiono na szczątki synów Jana III – Jakuba i Konstantego, a ich ponowny pogrzeb stał się uroczystością patriotyczną we wszystkich trzech zaborach. Następne ważne obchody odbyły się już w wolnej Polsce w rocznicę odsieczy wiedeńskiej (1933). Po drugiej wojnie światowej kolegiatę zamieniono w magazyn i dopiero upadek sowieckiego imperium umożliwił jej renowację. Dzisiejszy wygląd świątyni zawdzięcza polskim konserwatorom, którzy ocalili gmach od zagłady. Stan budowli jest bardziej niż zadowalający, szkoda tylko tych płócien z Oleska i ze Złoczowa, nie wspominając już o dwóch pozostałych, których w ogóle nie poddano konserwacji. ©©



Wybuch powyborczych protestów doprowadził do zwiększenia rosyjskiej kontroli nad Białorusią. Na zdjęciu protestujący z flagą Białorusi w Mińsku, 22 listopada 2020 r. FOT. STR/EPA/PAP

Waszyngton-Warszawa-Mińsk



Marek Jurek

Kolorowe rewolucje mają podwójną cenę. Najpierw tę, za którą trzeba je przeprowadzić, tak by grupa zaczęła uchodzić za tłum, a tłum – za naród. Potem również polityczną cenę sukcesu, gdy wygrywają

Reakcje na wojnę w Górskim Karabachu koncentrowały się na stałych aspektach problemu. Pierwszy aspekt to trwałe geopolityczne uzależnienie Armenii od Rosji, różniące ją od Azerbejdżanu (który swój posowiecki charakter i historyczne związki z Moskwą może równoważyć kulturową bliskością i polityczną współ-

pracą z Turcją). Drugi aspekt (tyleż ważny duchowo, co lekceważony politycznie) stanowi to, że Armenia jest najstarszym chrześcijańskim narodem świata, graniczącym jedynie z Gruzją cyplem chrześcijaństwa w oceanie islamu, narodem, który wskutek swego odosobnienia padł podczas pierwszej wojny światowej ofiarą osmańskiego ludobójstwa, to zaś łącznie daje Armenii szczególne prawo do solidarności w świecie naszej cywilizacji.

Jednak oprócz tych stałych czynników doszedł jeden nowy i doraźny: głęboka niechęć Rosji wobec rządu Nikoła Paszyniana, powołanego w wyniku demokratycznej rewolucji. To nastawienie w znacznym stopniu tłumaczy ograniczoną reakcję Rosji w pierwszej fazie konfliktu i jej praktyczną zgodę na zwycięstwo Azerbejdżanu w tej wojnie. Realna cena zmian politycznych (utraczone bezpieczeństwo narodowe, a za nim – zabici i wypędzeni, porzucone kościoły

i dobra kultury) okazała się dla Ormian bardzo wysoka.

W niedawno wydanej książce „Iluzja wolnej Białorusi. Jak walcząc o demokrację, można utracić ojczyznę” Marek Budzisz pytanie o cenę białoruskiej kolorowej rewolucji stawia przede wszystkim Polsce. To bardzo ważna książka polityczna, ze względu na jej autora, jednego z najwybitniejszych badaczy polityki wschodniej, i na jego perspektywę – chęć zrozumienia białoruskiego społeczeństwa, bez ideologicznych uprzedzeń i projekcji, oraz analizę znaczenia sprawy białoruskiej dla bezpieczeństwa Polski, a także jej miejsca w polityce Rosji, Stanów Zjednoczonych, Unii Europejskiej.

NIWYGODNY ŁUKASZENKA

Wyjściową tezę „Iluzji wolnej Białorusi”, solidnie wspartą przeglądem kompetentnych analiz wschodnioeuropejskich i amerykańskich, jest stwierdzenie, że nie

stoją tam naprzeciw siebie „władza i społeczeństwo”, ale dwa odłamy tego samego społeczeństwa.

Z tym że jedna część dysponuje instrumentami władzy, podczas gdy druga trzyma biało-czerwono-biały sztandar; więc legitymizm narodowy. Legitymizm może być dostatecznym motywem, by domagać się (narodowego czy między-narodowego) poparcia jakiejś sprawy, nie zawsze jednak oznacza dostateczne poparcie społeczne dla wykonywania, a tym bardziej dla przejęcia i utrzymania władzy. Krótko mówiąc – Budzisz ostrzega, że wiara opozycji w upadek Łukaszenki, gdy milion Białorusinów wyjdzie na ulice, może okazać się złudna i należy się zastanowić nad konsekwencjami nie tyle zmian postulowanych, ile zmian, które na Białorusi zaszły od wybuchu ubiegłorocznych protestów. Ich najważniejszy skutek to nie tylko wzrost kontroli Rosji nad Białorusią, lecz także – co równie ważne z punktu widzenia naszych interesów – przerwanie zbliżenia Mińsk-Waszyngton.

Z perspektywy Rosji Łukaszenka nie był bowiem wygodnym partnerem. Owszem, lubił w swej propagandzie kultywować pamięć wielkiej wojny ojczyźnianej, występować jako współdziedzic Związku Sowieckiego, ale to wcale w jego wypadku nie oznaczało rezygnacji ze „swojego” państwa.

Geopolitycznym ideałem Łukaszenki była w ostatnich latach „wschodnioeuropejska Szwajcaria”, połączenie niezależności politycznej z ekonomiczną symbiozą z wielkim sąsiadem. W imię tej polityki Łukaszenka nie zgadzał się na instalację nowej bazy rosyjskich sił powietrznych na Białorusi, limitował współpracę wojskową z Rosją, nie uznał odłączenia od Gruzji Abchazji i Osetii Południowej, próbował neutralności w konflikcie rosyjsko-ukraińskim, odmrażał stosunki z USA i testował możliwości uniezależnienia się energetycznego od Moskwy. Oczywiście nie chodziło mu o zerwanie „szczególnych stosunków” z Rosją, ale o ochronę w jej ramach swej suwerenności.

Marek Budzisz przypomina, że jeszcze rok temu Łukaszenka w wypowiedziach dla mediów rosyjskich apelował do Putina, by nie zwiększał nacisku na integrację Białorusi z Rosją. Mówił, że próba podważenia białoruskiej suwerenności może skończyć się wojną podjętą przez Zachód, który będzie traktował to jako zagrożenie dla swego bezpieczeństwa i (!) będzie miał rację. Pół roku wcześniej

oświadczył, że woli Ukrainę NATO-wską niż banderowską. Zdaniem (cytowanego przez Budzisz) Glena Howarda, byłego współpracownika Zbigniewa Brzezińskiego, był to jeden z sygnałów aprobaty Łukaszenki dla prozachodnich tendencji na Ukrainie, które – słusznie czy nie-słusznie – odbierał jako poszerzenie pola białoruskiego manewru.

Rosję bardzo drażniła „odgórna białorusutenizacja” podjęta w ostatnich latach i to, że Łukaszenka szukał narodowej legitymizacji swojej władzy. Z rosyjskiego punktu widzenia jego osobista władza stanowiła również przeszkodę w budowie systemu międzynarodowego odpowiadającego Rosji. Stosunek Moskwy do spraw białoruskich można porównać do nastawienia władz Unii Europejskiej wobec Europy Środkowej: nadmierna konsolidacja władzy (czyli po prostu suwerenność) jest z zasady przeszkodą w skutecznej politycznej presji na słabszego partnera.

POLSKA REAKCJA

To, że wybuch powyborczych protestów doprowadził do zwiększenia rosyjskiej kontroli nad Białorusią, nie podlega kwestii. Jednak dla nas ważne jest pytanie praktyczne: Czy Polska miała możliwość innej polityki niż radykalne poparcie protestów po sierpniowych wyborach? Owszem, innej – tak, ale oczywiście nie przeciwnej. Łukaszenka sfałszował wynik wyborów, choć cytowani przez Budzisz analitycy nie są wcale pewni, że je przegrał. Problem nie polega bowiem na tym, że system jego władzy nie miał poparcia, ale że polegał na systematycznym zaprzeczaniu jakiejkolwiek reprezentatywności opozycji i jej prawa do miejsca w życiu publicznym.

Polska od czasów ministerium Witolda Waszykowskiego poprawiała relacje z oficjalnym Mińskiem, od zawsze miała bliskie relacje z białoruską opozycją, miała więc tytuł do zaproponowania mediacji w momencie wybuchu protestów. Niezależnie od tego, czy oferta zostałaby podjęta, mogłaby stanowić sygnał, instrument i test. Sygnał uznania społecznej reprezentatywności prezydenta Białorusi, bez jakiegokolwiek podważania społecznego mandatu opozycji. Instrument utrzymania politycznego kontaktu z władzami Białorusi, nawet jeśli mediacja nie zostałaby przyjęta. Wreszcie test stosunku opozycji do Polski (a warto wyciągać wnioski z niepodjęcia

przez Ukrainę złożonej jeszcze przez ministra Schetynę propozycji poszerzenia o Polskę formatu normandzkiego, czyli toczonych – w Mińsku właśnie – rozmów Rosji, Ukrainy, Niemiec i Francji).

Polityka realna bierze pod uwagę konsekwencje, ale przede wszystkim stanowisko innych państw. Czy taka polska polityka mogłaby liczyć na czyjekolwiek poparcie? Budzisz pokazuje jasno, że utrzymaniem kontaktu politycznego między Warszawą a oficjalnym Mińskiem były zainteresowane przede wszystkim Stany Zjednoczone. Polska odgrywała od 2018 r. znaczącą rolę w odmrażaniu kontaktów amerykańsko-białoruskich. Dla USA bowiem, przynajmniej pod rządami odchodzącej administracji, ważniejsza była neutralizacja Białorusi, zbudowanie jej statusu bufora między Zachodem a Rosją, a nie niepewne kwestie demokracji. Amerykanie dobrze bowiem wiedzieli, że – jak uchy doświadczenie rumuńskie sprzed 30 lat – Rosja potrafi również wykreować własnych „demokratów” i posterować „demokratyzacją”.

MOCNIEJSZE FUNDAMENTY

„Iluzja wolnej Białorusi” stanowi również motyw do głębszej refleksji nad ideowymi założeniami polskiej polityki zagranicznej. Nawet jeśli przyjmujemy, że narody w swych uczuciach mogą ignorować geopolitykę, to ich przywódcy nie mają takiego prawa. Pokój, bezpieczeństwo narodowe, umocnienie niepodległości to zasadnicze powinności polskiej polityki. Wartości zobowiązujące przede wszystkim rząd, ale również opinię publiczną. Białoruś jest dla Polski ważnym państwem i bliskim narodem, powinniśmy więc wpływać na wzrost jej narodowej niezależności. Rozwój kultury narodowej i życia społecznego stanowią zaś mocniejsze fundamenty suwerennego państwa niż najsilniejsze chwilowe emocje. Demokracja – tak jak każdy system polityczny – ma dobru wspólnemu służyć, a nie je zastępować.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



MAREK BUDZISZ
„ILUZJA WOLNEJ
BIAŁORUSI. JAK WALCZĄC
O DEMOKRACJĘ, MOŻNA
UTRACIĆ OJCZYZNĘ”
NOVA KONFEDERACJA
2020



Olivier Bault

We Włoszech musiał powstać taki rząd, że w gabinecie z nastawieniem lewicowym zasiadli prawicowcy z Ligi Matteo Salvini

Bardzo źle zaczęliśmy – tak odebrano w szeregach Ligi decyzję ministra zdrowia w sprawie powstania rządu. 14 lutego wieczorem zdecydował, że stoki narciarskie nie zostaną jednak otwarte następnego dnia rano. – Nie może powiedzieć „tak” 3 lutego, a potem „nie” 14 lutego, odnosząc się do ustaleń na 15 lutego – grzmiał lider Ligi Matteo Salvini, domagając się lepszego planowania działań dotyczących obostrzeń sanitarnych i zmiany stylu rządzenia w stosunku do sposobu, w jaki funkcjonował drugi rząd Giuseppe Contego. W górach na północy Włoch właściciele stoków, hoteli, restauracji i innych obiektów infrastruktury turystycznej byli już przygotowani na przyjęcie turystów w reżimie sanitarnym. I pierwsza ważna decyzja podjęta przez rząd Maria Draghiego wywołała ich wściekłość. A została ona ogłoszona nazajutrz po zaprzysiężeniu rządu, jeszcze przed wotum zaufania, które miało zostać przegłosowane w środę w Senacie i w czwartek w Izbie Deputowanych. – To przerażające i żenujące, gdy dowiadujemy się o rozporządzeniu o zamknięciu stoków narciarskich cztery godziny przed ich ponownym otwarciem – żalił się popularny prezydent regionu Wenecji Luca Zaia, także należący do Ligi. A należący do tej samej partii nowo powołany minister turystyki, Massimo Garavaglia, zauważył gorzko: „Zabrakło szacunku dla tych, którzy pracują w górach”. Krytyki nie szczędzono także w szeregach centroprawicowej partii Forza Italia oraz centrolewicowej Italia Viva, mających również swoich przedstawicieli w nowym rządzie.

Minister Roberto Speranza broni się, twierdząc, że najważniejsze są zdrowie i życie ludzkie i że kierował się zaleceniami komitetu naukowego przy rządzie, który w niedzielę przekazał mu negatywną rekomendację w odniesieniu do otwarcia stoków, przygotowaną na bazie piątkowych danych o pandemii, a jego decyzja miała być zatwierdzona przez

samemu Maria Draghiego. Jak widać, nie tylko w Polsce takie decyzje są podejmowane i ogłaszane na ostatnią chwilę, gdy zmusza się m.in. restauratorów do wyrzucania całego zapasu zakupionych produktów spożywczych.

KTO STAWIAŁ WARUNKI?

Minister zdrowia Roberto Speranza to jeden z tych ministrów, którzy pozostali na stanowisku pomimo zmiany rządu. Po upadku drugiego rządu Giuseppe Contego byłemu prezesowi Europejskiego Banku Centralnego, znanemu jako „Super Mario”, czyli jako człowiek, który „uratował euro”, udało się zyskać

by utworzyć rząd „jedności narodowej” z lewicą i samą centroprawicową partią Forza Italia (FI) Silvia Berlusconi, ale Draghi stał zdecydowanie na stanowisku, iż nie zaakceptuje żadnych warunków wstępnych stawianych przez któregośkolwiek ze swoich rozmówców. Kolejny warunek był taki, że to sam Draghi wybierze swoich ministrów z każdego ugrupowania wchodzącego w skład koalicji, a nie odwrotnie. Natomiast po zaprzysiężeniu rządu w sobotę 13 lutego Matteo Salvini tłumaczył decyzję o wejściu jego formacji do rządu razem z lewicą właśnie tym, że w ten sposób zapobiegł powstaniu kolejnego lewicowego rządu w kluczo-



poparcie wszystkich liczących się partii politycznych poza narodowo-konserwatywną partią Fratelli d'Italia (Bracia Włochy) Giorgii Meloni. Największym zaskoczeniem było poparcie uzyskane ze strony szefa Ligi Matteo Salvini, co było ponoć warunkiem postawionym przez samego Draghiego prezydentowi Republiki Włoskiej, gdy ten powierzył mu misję utworzenia rządu.

W związku z tym rząd Draghiego miał uzyskać w parlamencie największe poparcie od czasu powstania Republiki po drugiej wojnie światowej. Nawet wewnętrzny rozłam w lewicowo-populistycznym Ruchu 5 Gwiazd (M5S), którego działacze w 60 proc. poparli wejście do rządu w wewnętrznym głosowaniu, nie był w stanie zagrozić rekordowej skali poparcia w wotum zaufania. Jednak nie wszyscy na lewicy byli zachwyceni pomysłem zaproszenia Ligi do rządu. Partia Demokratyczna (PD), która współtworzyła poprzedni rząd z M5S, wołała-

wym momencie, kiedy trzeba mądrze wykorzystać fundusze europejskie na ratowanie gospodarki.

Powstał więc rząd hybrydowy, składający się, poza samym premierem ekonomistą, z ośmiu ministrów „technicznych”, czyli nienależących do żadnej partii, czterech ministrów z M5S, trzech z PD, dwóch z pozostałych małych ugrupowań lewicowych, trzech z Forza Italia oraz trzech z Ligi.

Jeśli chodzi o prawicę, to partii Berlusconi przypadły teki administracji publicznej, spraw regionalnych oraz spójności terytorialnej. Liga ma kierować ministerstwami turystyki, rozwoju gospodarczego i osób niepełnosprawnych. Ruch 5 Gwiazd zachowuje ministerstwo spraw zagranicznych, na czele którego zostaje jej nieformalny lider Luigi di Maio, a poza tym lewica będzie zarządzała także tekami obrony, zdrowia, pracy i polityki społecznej, kultury, młodzieży, równości szans i rodzin, rolnictwa i polityki leśnej.

Pozostali członkowie rządu Draghiego to ministrowie bezpartyjni, którzy będą kierować m.in. ministerstwami gospodarki i finansów, sprawiedliwości, edukacji i środowiska. Na czele arcyważnego w czasach wzmożonej nielegalnej migracji ministerstwa spraw wewnętrznych pozostała niezależna, lecz opowiadająca się w poprzednim rządzie za polityką otwartych portów Luciana Lamorgese.

CO Z IMIGRANTAMI?

Dlatego też jedym z najpoważniejszych znaków zapytania, co do spójności i trwałości nowego rządu włoskiego, jest dziś polityka migracyjna, gdyż ta pro-

Włochy powinny w sprawie kontroli granic „iść za przykładem Hiszpanii, Niemiec i Francji”. Może to zaskakiwać, zważywszy, że w Hiszpanii i we Francji obserwuje się w ostatnim czasie wzmożony napływ nielegalnych imigrantów. Na pytanie, czy chciałby, aby rząd Draghiego przywrócił jego rozporządzenia z czasów pierwszego rządu Contego dotyczące walki z nielegalną imigracją, Salvini odpowiedział, że wystarczy stosować obecnie obowiązujące prawo i ściśle kontrolować osoby przybywające do Włoch. Zwrócił natomiast uwagę na to, że premier Mario Draghi proponuje strategię odbudowy gospodarki bazującej na

będzie zająć się kwestiami najważniejszymi dla suwerennościowego elektoratu i zagospodarować tę przestrzeń”.

Powstaje rzeczywiste pytanie, jak długo Liga może wytrzymać w rządzie o mocnym zabarwieniu lewicowym i proeuropejskim, podczas gdy jej główny konkurent, partia Fratelli d'Italia kierowana przez Giorgię Meloni, będzie jedyną liczącą się partią opozycyjną w parlamencie. Już od roku FdI stopniowo zabiera głosy Lidze w sondażach, dochodząc ostatnio do ok. 16 proc. poparcia w stosunku do ok. 23 proc. dla Ligi. W porównaniu z sondażami z czasów, kiedy Matteo Salvini był wicepremierem kojarzącym się głównie



Pierwszą decyzją rządu Maria Draghiego było odwołanie otwarcia stoków narciarskich dzień przed terminem FOT. MONALDO-CAROFEI/FOTOGRAMMA/ZUMA PRESS FORUM

wadzona do tej pory przez Lamorgese znacznie się różni od polityki, którą prowadził jej poprzednik Matteo Salvini. Na dodatek rząd Maria Draghiego powstaje w momencie, gdy kryzys migracyjny się nasila. W dniu zaprzysiężenia nowego rządu gazety włoskie informowały o stu nowych przybyszach na wyspie Lampedusa i o kolejnych już czekających na „bezpieczny port” na pokładach statków NGO. Te działają dziś w najlepsze na środkowym szlaku śródziemnomorskim po niecałym półtora roku urzędowania drugiego rządu Contego. Na początku lutego, pomimo niekorzystnych warunków atmosferycznych, w ciągu zaledwie 36 godzin statki te zdołały „uratować” półtora tysiąca migrantów w pobliżu wybrzeża Libii, co było liczbą od wielu lat nierejestrowaną w tak krótkim czasie.

W wywiadzie opublikowanym 10 lutego w „L'Avvenire” szef Ligi twierdził, że do stawienia czoła nielegalnej imigracji potrzebna jest polityka europejska i że

inwestycjach i obniżeniu podatków, co jest zgodne z postulatami Ligi.

Dziennik „Il Giornale”, choć tradycyjnie uchodził za gazetę bliską partii Silvia Berlusconi, od lat pisze w tonie przychylnym o Lidze Matteo Salvini. I tak 14 lutego dziennik ten tłumaczył zmiany retoryki tego ostatniego:

„Promowanie przez rząd Giancarlo Giorgetti i Massimo Garavaglii, dwóch specjalistów Ligi od ekonomii dalekich od eurosceptycznego suwerenizmu promowanego w przeszłości przez Salvini, jest zarówno szansą, jak i wyzwaniem dla tego ostatniego. Z jednej strony może on utwierdzić wizerunek Ligi jako partii rządowej, zdolnej do zarządzania kluczową dziedziną, taką jak rozwój gospodarczy, a następnie rozszerzyć swoje wpływy na bardziej umiarkowany elektorat oraz uspokoić europejskie stolice, mając na uwadze swoje dążenie do premierostwa. Z drugiej strony jasne jest, że Meloni, która została pominięta w koalicji pro-Draghi, łatwiej

z walką z nielegalną imigracją w pierwszym rządzie Contego, jest to mniej więcej wzrost o 10 punktów procentowych dla partii Meloni i spadek o 10 punktów dla partii Salvini.

W tej sytuacji trudno będzie Matteo Salviniemu, który sam nie wszedł do rządu, powstrzymać się od głośnej krytyki rządu, którego jego formacja jest częścią. Zapytałem znajomego z Ligi, będącego bliskim doradcą prezydenta Lombardii, dlaczego Liga weszła do rządu zamiast, podobnie jak Giorgia Meloni, domagać się przyspieszonych wyborów, które blok prawicowy, składający się z Ligi, Fratelli d'Italia i Forza Italia, miałby wszelkie szanse wygrać, zapewniając sobie stabilną większość w parlamencie. Odpowiedział mi: „Tylko prezydent może zwołać nowe wybory, a [lewicowy prezydent – przyp. red.] Mattarella tego nie chciał. Ten nowy rząd to nie koalicja, lecz rząd stanu wyjątkowego”.



Zanim zacząłem pisać ten tekst, znajomy, którego rodzina od pokoleń mieszka w Szwecji, uprzedził mnie: – Jeśli chcesz poznać prawdę, to nie pytaj rodowitych Szwedów. Nie powiedzą niczego złego o swoim kraju, nawet gdy pewne rzeczy im się nie podobają.

Pomyślałem, że chciałbym, aby tacy byli Polacy. A po opinii na temat tego, jak naprawdę wygląda dziś sytuacja w Szwecji podczas pandemii, ruszyłem do mieszkających tam – od dekad, ale też od niedawna – rodaków.

Marek Kierzkowski mieszka w Sztokholmie i zajmuje się tankowaniem samolotów na lotnisku. Mówi, że gdyby nie media, to w zasadzie pandemii by prawie nie zauważył. – Mieszkam obok dużego centrum handlowego. Wszystko tam jest otwarte. Jedyne mały oddział banku wpuszcza po dwie osoby i widać, że ludzie muszą odstać na ulicy w kolejce – opowiada. – Gdy przechodzę koło restauracji, widzę w nich ludzi z dziećmi. Mniej jest tych starszych. Oni zwykle wpadali na kawę i ciastko, teraz najstarsi klienci mają tak 50–60 lat. Nie wszystkie stoliki są w restauracjach dostępne, ale to tam jedyne ograniczenie.

Na lotnisku pracownicy nie muszą zakładać maseczek. Na zapleczu socjalnym też nie mają. – Mamy tam biuro i kuchnię, przy stole zasiada kilka osób. Nikt się niczym nie przejmuję. A są starsi ode mnie, mają 50, 60 lat. Oczywiście nie przychodzi do pracy ten, kto kaszle i źle się czuje – wyjaśnia.

Żona pana Marka, która pracuje w służbie zdrowia i zajmuje się starszymi osobami, zabezpiecza się już poważnie: maseczka, rękawiczki, a nawet zarękawki, żeby nie przenosić wirusa ani do pacjentów, ani do domu. – Nawet telefon zostawia w samochodzie, żeby na nim niczego starszym ludziom nie przenieść – mówi pan Marek.

Podobne doświadczenia ma pani Edyta, również mieszkająca w Sztokholmie.

– U nas nie ma obowiązków, jest tylko zalecenie, żeby w szczytce komunikacyjnym w metrze nosić maseczki. Połowa ludzi i tak ich nie zakłada – opowiada „Do Rzeczy”. – Kiedy wczoraj odbierałam dzieci ze szkoły – bo do podstawówek dzieci chodzą i nikt im tam maseczek nie każe zakładać – w autobusie było więcej ludzi niż miejsc. Jak więc mieli zachować dystans? Jedzie się i ktoś bez maseczki kichnie, no trudno – opisuje. Jej zdaniem Szwedzi dość swobodnie podchodzą do ostrzeżeń. – Nie wolno się gromadzić, tworzyć grup większych niż osiem osób, a niedawno sąsiadka robiła

Szwecja wciąż czynna



Łukasz Zboralski

Szwedzi tak jak Polacy są mocno podzieleni w sprawie reakcji na COVID-19. Część żąda obostrzeń, część ma w nosie nawet dotychczasowe zalecenia. Jedno jednak poważnie wyróżnia ten kraj – nie zamknięto w nim żadnej dziedziny biznesu. Życie toczy się prawie normalnie

imprezę, było tam z 30 osób. Uprzedzała, że będzie głośna muzyka do wieczora – mówi pani Edyta. Potwierdza, że do sklepów może wchodzić określona liczba osób. Obsługa ma liczniki i rzeczywiście to mierzy. – Pracuję w firmie sprzątającej i tam też nie muszę zakładać maseczki – opowiada. – Jedynie w pokoju pani, która miała niedawno poważną operację, musia-
łam się zabezpieczyć, żeby jej nie narażać.

W Sztokholmie działają też kluby fitness (z ograniczoną liczbą osób mogących naraz w nich przebywać), które w Polsce od miesięcy zamknięte są na głucho. Zdalnie uczą się jedynie uczniowie szkół średnich i studenci.

Nie wszyscy mają jednak taki sam stosunek do polityki rządu. – Wszystkim kieruje tu Agencja Zdrowia Publicznego i jej przedstawiciele nie byli za obostrzeniami, jedynie wprowadzali zalecenia. Część osób ich podejście traktuje jak religię, a część jest po prostu wściekła – mówi nam z kolei pani Ariana, mieszkająca w okolicy Göteborga. – Nie przejmują się głównie ludzie młodzi, oni są zadowoleni z tego, że wszystko działa. Jednak nie wszyscy tak to postrzegają. Gdy mamy 10 razy więcej zakażeń niż sąsiednia Norwe-

gia, część osób złości się, że tutejszy rząd działa tak powoli. Ja sama na przykład od roku nie jeździłam komunikacją miejską.

Pani Ariana uważa, że rozsądne jest to, iż nie zamknięto działalności firm. – Część osób uznaje, że lockdown dla firm byłby niepotrzebny, ale przy wysokiej fali zarażeń chcieliby ograniczenia np. dla restauracji czy fitnessu, którego nie uważają za niezbędny w tym czasie – opowiada. Dodaje, że gniew części społeczeństwa wzrósł tak poważnie, iż całkiem niedawno osobom odpowiedzialnym za krajową strategię zarządzania pandemią przyznano ochronę policji.

Autorka bloga Zimnaszwecja.pl wypro-
wadziła się podczas pandemii ze Sztokholmu do Småland, bo chciała zmniejszyć ryzyko zakażenia. „Wynajęliśmy tu dom, czekamy na koniec pandemii lub na szczepienia” – napisała nam o sytuacji. Z jej obserwacji wynika, że w Szwecji rodziny spotykają się na zewnątrz, z zachowaniem zalecanej odległości, najczęściej na grillu w lesie. Gdy odwiedza się starszych, rozmawia się z nimi raczej przez okno. „Większość sklepów jest otwarta, ale w środku jest przeważnie dość pusto” – opisuje w e-mailu do „Do Rzeczy”.

Paweł Matlak, z którym udało się nam porozmawiać, pracuje w firmie budowlanej na północy Szwecji, w Kirunie. Jego uwagę zwróciła kultura. – Sklepy są otwarte, ale ludziom nie trzeba zwracać uwagi. Gdy stoją w kolejce, sami dbają o to, żeby utrzymać między sobą dystans. Nikt tu sobie na plecy nie wchodzi – mówi nam.

Pan Tomasz, który pracuje jako pielęgniarz środowiskowy w Malmö, mówi, że ludzie w Szwecji nie panikują. – Wariactwa nie ma – opowiada mi. – My docieramy do ludzi starszych i schorowanych, którym np. robimy zakupy, pomagamy w różnych czynnościach, oczywiście zawsze, nie tylko podczas pandemii, i oni nie są jakoś specjalnie wystraszeni. Chociaż w mediach podaje się, że to my możemy być „roznośicielami” wirusa wśród starszych, to ci bez strachu nas przyjmują. Tacy, którzy mogą to robić sami, nadal wychodzą do sklepów i załatwiają swoje sprawy. Zdarza się jedynie, że zrezygnowali z pomocy ci, którzy najmniej jej potrzebowali, którym np. tylko wkładaliśmy skarpety – dodaje. Jego zdaniem maseczki w jego okolicach nosi może 15 proc. ludzi. – Życie toczy się tu normalnie – kończy.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

A. PILIPIUK
CZARNA GÓRA

PREMIERA KSIĄŻKI 24.02.2021

MISTRZ OPOWIADĄŃ ODSLANIA KOLEJNE TAJEMNICE SWOICH BOHATERÓW.

Jeśli zastanawialiście się kiedyś, kim był Paweł Skórzewski, zanim został doktorem Skórzewskim, teraz się tego dowiedzie. Dowiedzie się także do czego może się przydać pobyt w szpitalu psychiatrycznym, ile może człowieka kosztować imperatyw moralny (w przeliczeniu na złotówki) oraz co łączy Roberta Storma z Marszałkiem Piłsudskim.

fabryka słów
WYDAWNICTWO

Patroni medialni



APLIKACJA DO ZGODY NA SEKS

W Danii od grudnia obowiązuje nowe prawo, w myśl którego seks bez potwierdzonej zgody jednej ze stron jest gwałtem. Wolny rynek natychmiast dostarczył narzędzia do tego, żeby potwierdzenie zgody na seks było wygodne i weryfikowalne. Zaprojektowano aplikację, która pozwala potencjalnym partnerom uniknąć późniejszego oskarżenia o gwałt. Aplikacja nazywa się iConsent. Wybierając w niej numer, obie strony mogą w ciągu 30 s zawrzeć zgodę na seks. Umowa jest ważna 24 godziny, ale może też zostać dowolnie odwołana.

FOT. ADAM STOK

FACEBOOK ODCIĄŁ AUSTRALIĘ

Na antypodach powstał projekt ustawy przewidującej wprowadzenie opłat dla wielkich firm technologicznych za rozpowszechnianie informacji mediów. W odpowiedzi Facebook zablokował Australijczykom dostęp do treści newswych. Tamtejsze media mogą więc wciąż publikować linki do swoich wiadomości, ale na portalu Marka Zuckerberga nikt ich nie widzi. I to nie tylko nie widzą ich Australijczycy, lecz także wszyscy użytkownicy na świecie zostali od tego odcięci.

METODA „NA SZCZEPIONKĘ TRUMPA”

89-letnia mieszkanka Niemiec padła ofiarą oszustów podszywających się pod lekarza. Zadzwonili do kobiety i poinformowali ją, że jej córka i zięć mają COVID-19, w związku z tym proponują jej leczenie wyjątkowym specyfikiem. Wmówili pani, że taki „zastrzyk” otrzymywał sam były prezydent USA Donald Trump. Mamili ją przez telefon przez dwie godziny, aż skołowana starsza

pani wręczyła „kurierce” 10 tys. euro i biżuterię wartą 30 tys. euro.

RIHANNA KONTRA HINDUSI

Znana piosenkarka Rihanna zareklamowała w sieci społecznościowej nową linię bielizny. Zamieściła zdjęcie topless. Na szyi zawieszony ma wisior czterorękiego mężczyzny z głową słońca. Okazało się, że to hinduski bóg Gańeśa. Hindusi poczuli się znieważeni. Światowa Rada Hindusów zgłosiła sprawę policji.

ZARABIANIE PRZEZ SPANIE

Nowy trend w serwisie YouTube. Streamerzy zaczęli zarabiać na tym, że włączają transmisję i idą spać. Według magazynu „Vice” ludzie w sieci coraz częściej skłonni są płacić za oglądanie czyjegoś snu. Czasem można liczyć na dodatkową rozrywkę – można wysłać odgłosy lub wiadomości, które streamerowi we śnie przeszkadzają. Najślynniejszy śpiący streamer Asian Andy zarobił przez siedem godzin spania 16 tys. dol. ©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Albo praca, albo krzyżyk?

Prześladowania chrześcijan – polegające na mniej lub bardziej otwartej walce z chrześcijaństwem i jego wyznawcami – kojarzą się głównie z krajami Bliskiego Wschodu, Afryki czy Azji.

Z najnowszego raportu organizacji wynika, że w ubiegłym roku bardzo wysokiego lub skrajnego poziomu prześladowań doświadczyło aż 309 mln chrześcijan (wzrost o 19 proc. w stosunku do roku 2019). Aż o 60 proc. wzrosła zaś liczba zabójstw motywowanych względami religijnymi (do 4761 osób).

W Europie chrześcijanie nie padają ofiarami prześladowań na

tak wielką skalę, ale z pewnością cieszą się mniejszą ochroną niż muzułmanie czy żydzi. O tym, jak groźna może być lewicowa „poprawność polityczna”, przekonał się George Tannouri, chrześcijanin, który na okres próbny został zatrudniony w Szwecji w sieci Zalando.

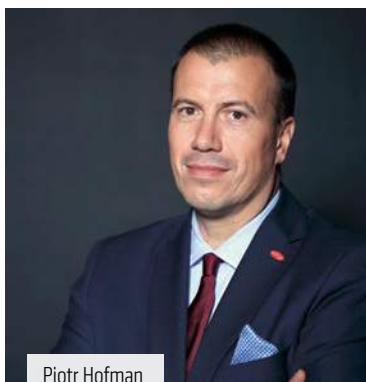
Jak poinformował Tannouri w rozmowie z serwisem „Världen idag”, po trzech miesiącach pracy został przez przełożonych postawiony przed wyborem: albo przestanie nosić krzyżyk na szyi, albo będzie musiał zrezygnować z pracy. Mężczyzna pozostał wierny wierze i odszedł z Zalando,

choć – jak twierdzi – jego muzułmańskie koleżanki mogą swobodnie pracować w hidżabach.

I chociaż zwykłemu Polakowi bardzo trudno jest zmienić sytuację chrześcijan w krajach takich jak Nigeria czy Pakistan, to o wiele łatwiej jest dać wyraz swym poglądom w przypadku firm działających również w Polsce. Poczekam więc, co z tą sprawą zrobią szefowie Zalando. Jeśli okaże się, że zachowanie ich menedżera uznają za „poprawne”, to zakupy będę robił gdzie indziej – nie chciałbym bowiem obrażać szefów Zalando jakąkolwiek wpłatą dokonaną przez faceta z krzyżykiem u szyi. ©

Koszty rosną

Firm nie definiuje kod PKD, lecz ludzie, którzy je tworzą. Często są to małe firmy rodzinne, przedsiębiorcy działający od lat. Nazywanie firm, które z powodu nierównych przepisów nie mogą liczyć na pomoc z tarczy – firmami widmo – jest niedopuszczalne.



Piotr Hofman

Ponad 30 mld zł. Tyle, zgodnie z licznikiem lockdownowym, od marca 2020 r. polska gospodarka straciła przez różne formy jej zamrażania. Kwotę wskazuje licznik strat uruchomiony przez Warsaw Enterprise Institute (WEI) i Związek Przedsiębiorców i Pracodawców (ZPP).

Firmy, które są w bardzo trudnej sytuacji, nie wiedzą, co robić dalej – czy mają zawieszać działalność, czy zwalniać pracowników. Koszty cały czas rosną. Są np. restauracje czy hotele, których długi powinny być już wyznacznikiem podjęcia postępowania upadłościowego. Jeśli strategia rządu pozostanie bez zmian – nie będą w stanie przetrwać. To właśnie małe firmy są w tej chwili w najgorszej sytuacji. Niezależnie od branży, wszystkich dotyka zamrażanie gospodarki. Gospodarka to naczynia połączone i musi funkcjonować jako całość, jako jeden ekonomiczny organizm. Ludzie przyparci do ściany nie widzą wyjścia, zwłaszcza że wielu z nich ryzykuje majątkiem prywatnym. W Polsce bardzo popularna jest jednoosobowa działalność gospodarcza, która pociąga za sobą odpowiedzialność nie tylko

majątkiem firmowym, lecz także osobistym, w tym majątkiem całej rodziny. W przypadku trwania dotychczasowego modelu walki z pandemią polskiego, prywatnego kapitału zaraz nie będzie. Grozi nam sytuacja, w której być może będziemy mieli tylko wielkie państwowe spółki i wielkie zagraniczne koncerny.

Małe i średnie firmy nie będą miały po prostu kapitału i sił na dalsze funkcjonowanie. Ponadto obecna sytuacja powoduje strach przed podejmowaniem ryzyka i ogranicza powstawanie nowych inicjatyw gospodarczych.

Sposobem na walkę z pandemią nie może być całkowite zamknięcie firm bez pełnego wsparcia dla wszystkich branż. A takich przypadków – pomimo niedawnego częściowego poluzowania obostrzeń – jest nadal dużo. Szczególnie niefortunny okazał się pomysł przyznawania dofinansowania według kodów PKD. Z tarczą branżową 6.0 przedsiębiorcy mają więc dwa poważne problemy. Po pierwsze, nie obejmuje ona wszystkich, którzy odnosili duże straty przez pandemię. Po drugie, nawet ci, którzy mają odpowiedni kod PKD we wpisie do ewidencji działalności gospodarczej, pomocy nie dostaną, jeśli nie jest on zaznaczony jako przeważający.

A to nie jest jedyny problem z tarczą branżową. Wiele kodów PKD nie trafiło bowiem do ustawy. Według Adama Abramowicza, Rzecznika Małych i Średnich Przedsiębiorców, aż 36! Wykluczeni byli też ci, którzy działalność założyli dopiero w 2020 r. – na szczęście tu apele pomogły i od 1 lutego z tarczy branżowej mogą korzystać także firmy założone w ubiegłym roku. Innym przykładem absurdu mogą być sklepiki szkolne czy uczelniane, które teoretycznie mogą działać, tylko nie mają komu sprzedawać, bo większość szkół i uczelni naucza zdalnie. To właśnie pokazuje jak w soczewce, że cierpią wszyscy, nieważne, czy dzisiaj akurat ich

branża jest otwarta, czy podlega zamknięciu. Większość przedsiębiorców bardzo dobrze przygotowała swoje biznesy na restrykcje sanitarne. „Zachowaliśmy dystans, ograniczyliśmy liczbę gości, zainwestowaliśmy w środki konieczne do dezynfekcji” – mówi właścicielka stołecznego pubu. Dotyczy to barów, restauracji, siłowni, całego sektora, którego straty idą w setki milionów złotych, a który niestety nadal jest objęty całkowitym lockdownem. Od dawna słyszymy, że jeszcze chwila cierpliwości i wszystko wróci do normy. Tymczasem nadal mamy pozamykane większość biznesów, co doprowadza do absurdalnych sytuacji – restauracje zmieniają się w muzea, siłownie w wypożyczalnie sprzętu, a hotele w uzdrowiska. Przedsiębiorcy nie mają już siły i cierpliwości i to samo dotyczy konsumentów.

Wiemy, że za liczbami stoją ludzie z krwi i kości. Codziennie słyszymy o ludzkich dramatach, o straconych milionach. Poznajemy historie depresji, lęku o każdy dzień z powodu utraty miejsc pracy, niezapłaconych rachunków, niespłaconych kredytów, widma utraty dorobku życia. Jesteśmy odpowiedzialnym narodem, który potrafi stawić czoła wielu problemom. Należy spojrzeć na aktualną, jakże wyjątkową i trudną sytuację, zarówno z punktu widzenia gospodarki, która jest niezbędna do funkcjonowania kraju, jak i z punktu tworzących ją ludzi. Tego niestety ostatnimi czasy brakuje. Jeśli mówimy o solidarności społecznej i odpowiedzialnym zachowaniu, to pamiętajmy, że teraz jest okazja, aby to pokazać – ratując polski mały biznes, który tego ratunku potrzebuje. Dzisiaj jest również szansa na nowe otwarcie, właśnie taki „Nowy Polski Ład”, który może dać impuls rozwojowy na kolejne pokolenia. To zadanie dla liderów, aby trudności przekuć w sukces i postawić na budowę silnej, nowoczesnej, narodowej gospodarki, w oparciu o własny kapitał i polskich przedsiębiorców.

JACEK PRZYBYLSKI: Panie prezesie: kupować czy sprzedawać?

MAREK DIETL: Jako prezes giełdy mam zakaz inwestowania na niej. Na pewno jednak, jeśli kupować lub sprzedawać, to poprzez polską giełdę.

Nie brakuje panu w tak gorących, pandemicznych czasach możliwości inwestowania na warszawskiej giełdzie?

Bardzo mi brakuje. Najbardziej w momentach, gdy na giełdę wchodzi nowe, naprawdę ciekawe spółki. W ramach zabawy stworzyłem więc wirtualny portfel, na którym tylko w 2020 r. dało się spokojnie zarobić 40 proc. I chociaż jest mi żal, że nie mogę sam inwestować, to jednocześnie cieszę się, że rośnie grono zadowolonych klientów w postaci inwestorów na polskiej giełdzie.

Na takie zyski liczy wielu drobnych ciułaczy, których lokaty oprocentowane na 0,05 proc. w skali roku przestały już satysfakcjonować.

To prawda. Nawet porównując giełdę do inwestycji na rynku nieruchomości, na którym nadal utrzymuje się bardzo dobra koniunktura, na akcjach można było zarobić o wiele, wiele więcej.

Gdzie jest więc większa bańka: na giełdzie czy w nieruchomościach?

Pytanie, czy w ogóle jest bańka. Jeden z amerykańskich ekonomistów pochodzenia japońskiego zadał bowiem fundamentalne pytanie: Po co oszczędzać pieniądze, skoro ktoś może je dodrukować? Jesteśmy więc w szczególnym momencie, w którym paradygmaty ekonomii zostają mocno nadwyrężone. Wydaje się bowiem, że na razie luzowanie ilościowe – czyli mówiąc wprost: dodruk pieniędzy – wywołuje inflację cen aktywów czy to nieruchomości, czy akcji.

Szczególnie wyraźnie widać to w Stanach Zjednoczonych, gdzie ten dodruk pieniędzy trwa od dawna. W Polsce ta skala jest jeszcze bardzo umiarkowana, więc efekt nie jest aż taki wyraźny.

Ale inflację już mamy wysoką...

W Polsce mamy wyższą inflację niż w innych krajach, ale wciąż znajduje się ona w celu inflacyjnym RPP. To zdrowa inflacja, która wynika po prostu z ograniczonych zasobów i nieograniczonej chęci konsumpcji. Warto zauważyć, że jest to pierwszy kryzys gospodarczy, który nie wywołał przecen na rynku nieruchomości.



Z Markiem Dietlem, prezesem Giełdy Papierów Wartościowych w Warszawie rozmawia Jacek Przybylski



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Skąd w takim razie ogromne depozyty zarówno osób fizycznych, jak i firm, które leżą i – biorąc pod uwagę trzyprocentową inflację – tylko tracą na wartości?

Struktura oszczędności Polaków pokazuje, że niestety wielu z nas ma wciąż małe oszczędności i przechowujemy je na czarną godzinę. Stąd brak chęci ich pomnażania. Rada, aby w czasach wysokiej inflacji inwestować w mieszkania, dla wielu jest więc niemożliwa do zrealizowania.

Nie trzeba jednak wielkich pieniędzy, aby spróbować swoich sił na giełdzie. W zeszłym roku udział drobnych inwestorów w obrotach wyraźnie wzrósł. Kim są ci nowi inwestorzy?

W zeszłym roku przybyło 85 tys. rachunków maklerskich. Część z tych inwestorów stanowią osoby, które mają

pies do jeża, zaczęły teraz wykorzystywać możliwości, które daje nasza giełda.

Rozpoczęcie przygody z giełdą podczas hossy jest zawsze bardzo przyjemne...

To prawda, ale większość nowych inwestorów nie pojawiła się wcale podczas hossy, lecz tuż po gigantycznych przecenach, podczas których wartość indeksów zmalała o 32 proc. Pierwszy raz w historii inwestorzy indywidualni weszli więc na giełdę w dobrym momencie. W tym też upatruję pewnej nadziei na przyszłość.

Teoretycznie, gdy wszyscy dookoła mówią o kupowaniu akcji, jest to mocny sygnał do sprzedaży papierów.

Ma pan rację. Obecna sytuacja na giełdzie przypomina mi początki lat 90.,

dzie dość duża zmienność. Spodziewam się też kolejnych ciekawych debiutów. Jestem więc przekonany, że inwestorzy nas tak szybko nie opuszczą.

Nie obawia się pan, że po ubiegłorocznej hossie na rynku wielu nowych drobnych inwestorów sparzy się, kupując akcje na górze, i warszawska giełda znów będzie narzekać na brak zaufania zwykłego Kowalskiego?

Nie. Na giełdzie w Warszawie dużo się bowiem poprawiło, jesteśmy dużo bardziej transparentni.

Negatywne doświadczenia, o których pan mówi, dotyczą zaś głównie np. rynku Forex czy kontraktów CFD, który jest rodzajem zakładu z organizatorem obrotu, np. przeciw biuram maklerskim. Oczywiście, nie jest tak, że giełda w Warszawie daje gwarancję zwrotu kapitału. Ryzyko

Dzięki akcjom wciąż można zostać milionerem

już doświadczenie na rynku kapitałowym i wróciły na giełdę, licząc na zarobek przy podwyższonej zmienności. Część pojawiła się dlatego, że daliśmy możliwość inwestowania w nowe ETF-y, instrumenty pochodne czy produkty strukturyzowane (np. ETP związane choćby z ropą naftową). Ta ofensywa, którą przeprowadziliśmy w zakresie udostępnienia możliwości inwestowania w różne klasy aktywów, zakończyła się sukcesem.

Pojawili się też zupełnie nowi inwestorzy, w tym wiele osób młodych, które nie miały wcześniej styczności z transparentnym rynkiem kapitałowym. Dzięki temu obniżyła się mediana wieku polskich inwestorów giełdowych, co nastraja niezwykle optymistycznie do przyszłości GPW.

Jestem przekonany, że ludzie młodzi i dobrze wykształceni, którzy do tej pory podchodzili do rynku kapitałowego jak

gdy zewsząd napływała do Polski pomoc gospodarcza. Skandynawscy naukowcy zrobili wówczas test, by sprawdzić, jak Polacy dają sobie radę z matematyką. Wyniki były fatalne. Polscy psycholodzy powtórzyli to badanie, ale zamiast teoretycznych pytań, np. o to, co to jest procent, prosili np. o wyliczenie procentu od lokaty. W tej kategorii Polacy uzyskali lepsze wyniki niż ktokolwiek inny na świecie. Mamy niezwykley zmysł adaptacyjny, który sprawia, że znamy matematykę czy ekonomię na tyle, by dobrze wykorzystać tę wiedzę na nasze potrzeby. Ostatnie miesiące na giełdzie kolejny raz pokazały mądrość polskiego społeczeństwa. Poza tym giełda w Warszawie funkcjonuje już 30 lat, więc Polacy nabrali pewnego doświadczenia.

To znaczy, że wierzy pan w kontynuację ubiegłorocznej hossy?

Nie wiem, jakie będą wyceny, ale jestem przekonany, że nadal na rynku bę-

zawsze jest. W obecnych czasach trzeba jednak wybrać między gwarancją straty wartości nabywczej wynikającej z inflacji a potencjalnym ryzykiem utraty kapitału w wyniku inwestycji giełdowych. W przypadku giełdy mamy też szansę na obronę wartości nabywczej naszych pieniędzy.

Nie chcę przez to powiedzieć, że inwestowanie na giełdzie jest dla każdego. Nie namawiam osób, które z trudem odkładają pieniądze na czarną godzinę, aby natychmiast kupowały akcje. Ci jednak, którzy mają odłożone większe oszczędności i części z nich w najbliższym czasie nie będą potrzebować, jak najbardziej mogą szukać możliwości ich lokowania między innymi na giełdzie.

Do niedawna wielu początkujących inwestorów, gdy nie wiedziało, na którą akcję postawić, wybierało spółki gamingowe i na tym zarabiało krocie. Ten boom sprawił, że polska giełda w kategorii spółek gamingowych wyprzedziła już nawet Japończyków.

■ Nie wszystkie spółki sektora game-dev zyskiwały na wartości. Tak naprawdę wzrost w ostatnich miesiącach odnotowała połowa notowanych na naszej giełdzie spółek. Tę branżę można podzielić na dwie mniejsze. Pierwszą „hollywoodzką” – tu za setki milionów przygotowuje się dużą produkcję, która zakończy się sukcesem lub nie. Drugi segment stanowią producenci dużo tańszych gier, w których tworzenie inwestuje się o wiele mniej pieniędzy, ale próbuje się trafić w gusta i sprawić, by ludzie chcieli w nie grać. Jeśli zaś chodzi o wielkość przychodów, to wciąż na naszej giełdzie reprezentowany jest zaledwie ułamek polskiej branży gamingowej. W tym sektorze może być więc jeszcze wiele możliwości inwestycyjnych, zwłaszcza że do drzwi polskiej giełdy pukają też studia spoza Polski.

Jaka branża ma podobne szanse rozwoju?

Jeżeli ktoś lubi emocje i potrafi trzymać nerwy na wodzy, to może zainwestować w spółki biotechnologiczne. Ta branża ma w Polsce bardzo dobre tradycje, ale poprzez nieuporządkowaną prywatyzację bardzo podupadła. Potencjał spółek medycznych jest stopniowo odbudowywany i widzimy spektakularne sukcesy tego typu firm. Takie inwestycje są obciążone dużym ryzykiem, ale potencjalnie mogą przynieść też ogromny zysk.

To znaczy, że zwykły Kowalski ma jeszcze szanse, aby kupić na warszawskiej giełdzie akcje za 25 tys. zł i po latach zostać milionerem?

Oczywiście. Jeśli weźmiemy spektakularny przykład CD Projekt, który wchodził na giełdę po 10 zł za akcję, a można było ją sprzedać nawet za 450 zł, to spółka ta dała możliwość stania się milionerem nawet tym, którzy mieli niewielki kapitał początkowy. Zawsze z wyższym potencjalnym zyskiem wiąże się też jednak wyższe ryzyko. Nie jest więc tak, że wystarczy wylosować dowolną spółkę na giełdzie, zainwestować i czekać, aż urośnie ona o 45 razy w ciągu 10 lat.

Na wielu dużych rynkach, choćby na Wall Street, zasada „kup i trzymaj” bardzo często się sprawdza. Niestety, gdy spojrzymy na niektóre spółki z WIG20, taka strategia zakończyłaby się dużą stratą.

Nie jest tak, jeśli weźmiemy pod uwagę całkowitą stopę zwrotu, czyli nie tylko kurs, lecz także wielkość wypłacanych dywidend. Indeks WIG20 TR zachowuje się bardzo przyzwoicie. Przeprowadziliśmy eksperyment, który to potwierdził. Gdyby

Na giełdzie nie trzeba mieć racji, trzeba umieć na niej zarobić. I to jest podstawa

kupił pan portfel akcji WIG w wybrany dzień w 30-letniej historii warszawskiej giełdy i poczekał mniej więcej 10 lat, to był tylko jeden taki dzień, kiedy uwzględniając wahania kursów oraz wypłacone dywidendy, rzeczywiście poniósłby pan stratę. Takiego pecha mogłoby się mieć, kupując akcje w szczycie hossy internetowej roku 2000 i sprzedając akcje w 2008 r., zaraz po upadku Lehman Brothers. Wie pan, ile można było w takiej sytuacji stracić?

10 proc.?

3 proc. Ten eksperyment pokazuje, że jeśli ma się cierpliwość i odporność na wahania, to warszawska giełda jest dobrym miejscem do lokowania środków.

Mogę też posłużyć się swoim przykładem. Na regularnym, comiesięcznym inwestowaniu na giełdzie, stosując bardzo prostą strategię, średnio rocznie uzyskiwałem zwrot na poziomie 16 proc.

Musi pan jednak przyznać, że WIG20 nie radzi sobie najlepiej w porównaniu z innymi warszawskimi indeksami.

To prawda. WIG20 jest bardziej kapryśny i bardziej podatny na zmiany na globalnych rynkach, ale już mWIG40 dużo lepiej odzwierciedla systematyczny rozwój polskiej gospodarki.

Teoretycznie giełda opiera się na przekonaniu kupujących, że spółka ma solidne fundamenty i powinna stawać się coraz droższa. Jak w takim razie ocenia pan możliwość zarabiania na spadkach? Czy wzorem niektórych giełd na świecie podczas postpandemicznego kryzysu tego typu formy giełdowej gry nie powinny być na GPW zabronione?

Znowu się z panem nie zgodzę. Na giełdzie nie trzeba mieć racji, trzeba umieć na niej zarobić. I to jest podstawa. Analiza fundamentalna jest tylko jednym z elementów inwestowania. Dochodzi do niej również analiza techniczna, pewne wyczucie psychologiczne czy intuicja. Inwestowanie giełdowe jest więc połączeniem sztuki z wyrobniactwem. Nie jest to więc nauka ścisła, lecz w dużej części humanistyczna.

Co więcej, makrostruktura rynku zmienia się w tę stronę, że coraz więcej

inwestujemy pasywnie, np. w ETF-y i inne tego typu instrumenty. Jest to zupełnie zrozumiałe, bo jest to strategia prosta w obsłudze, efektywna kosztowo i pozwala na dużą dywersyfikację. W ten sposób w tych funduszach, podobnie jak w funduszach emerytalnych, gromadzą się bardzo duże zasoby akcji. I tu pojawiają się aktywni inwestorzy grający na spadki – pożyczają oni akcje od tych pasywnych, licząc na to, że kurs spadnie i odkupią je taniej. De facto zarabiają na tym nie tylko oni, lecz także fundusze pasywne, które za takie „wypożyczenie” zostają odpowiednio wynagrodzone.

Abstrahując od hollywoodzkich produkcji – a zwłaszcza filmu „Big Short”, którego bohaterowie uważają zawieranie krótkich pozycji za traktowanie pozostałych inwestorów jak kukiełki, które wrabia się w kupowanie zbyt drogiej akcji – możliwość tego typu inwestycji daje funduszm pewną amortyzację przy spadkach na giełdzie.

Boleję więc nad tym, że choć od trzech lat pracujemy nad platformą pożyczek papierów wartościowych, to wciąż regulacje prawne w tym zakresie utrudniają działalność banków-depozytariuszy, które mogłyby takie pożyczki oferować. Z kolei biura maklerskie bardzo bronią rynku pożyczek, przez co jest on bardzo płytki. To jedna z największych bolączek warszawskiej giełdy. Tymczasem w kontekście programów emerytalnych typu PPK czy funduszy pasywnych możliwość pożyczek byłaby jak najbardziej korzystna zarówno dla grających na krótko, jak i dla tych, którzy są tylko po stronie kupującej.

Inwestycje inwestycjami. A nie myślał pan o tym, żeby rzucić to wszystko i kopać bitcoiny?

Jestem dość mocno zaangażowany emocjonalnie w kwestie ochrony środowiska, więc widząc, ile energii elektrycznej pochłania technologia blockchain, uważam, że nie powinno się jej z nadmiarem wykorzystywać. A mówiąc serio, inwestycje w kryptowaluty są rodzajem zakładu ekonomicznego i nie można ludziom tego zabraniać. Martwi mnie jednak, że nie wszystkie giełdy kryptowalutowe są w pełni transparentne. Nie są też objęte rygiem regulacyjnym jak inne giełdy, przez co zdarzały się przypadki upadków całych giełd kryptowalutowych. Z ciekawości obserwuję to, że można zakładać się o tak różne rzeczy, w tym również o cenę bitcoina w przyszłości.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYCZAKIEM

Szybko zaszczep albo przegraj!

Trudno z całą pewnością wyrokować, jakie znaczenie dla zwalczania tego, co się określa mianem pandemii COVID-19, będzie miało zaszczepienie odpowiednio dużej liczby ludzi, czyli 60–70 proc. populacji. Trudno z całą pewnością wyrokować, zważywszy na zróżnicowaną skuteczność stosowanych szczepionek oraz mutacje koronawirusa, które już się pojawiły, i tych, które będą się pojawiać. Wszelako jest chyba jeśli nie pewne, to wielce prawdopodobne, że zaszczepienie owej odpowiednio dużej liczby ludzi będzie miało – już ma! – gigantyczne znaczenie dla zwalczania psychozy paniki towarzyszącej COVID-19, tak bowiem zdaje się funkcjonować zbiorowa psychika postludzi w totalnie medialnej epoce postpandemicznej. A co za tym idzie, będzie miało – całkiem realnie – kolosalne znaczenie dla tempa powrotu do życia zamrożonych ponad miarę gospodarki i służby zdrowia. A więc także – w rezultacie – dla liczby ludzi uratowanych dzięki przywróceniu do normalnego działania służby zdrowia oraz dla setek miliardów dolarów, euro i złotych nieutraconych z powodu przeciąganego w nieskończoność lockdownu.

Zatem: kto pierwszy, kto szybszy – ten lepszy. Kraj, który pierwszy zaszczepi odpowiednią część swego narodu, będzie w tej rozgrywce zwycięzcą, a kraje z końca listy – przegranymi. I już widać, że w walce tej nie ma reguł innych niż dbałość o interesy własnego narodu i własnego państwa. A zresztą,

czy kiedykolwiek, gdy w grę wchodziły naprawdę żywotne interesy, jakieś inne reguły odgrywały dużą rolę? Dość wymienić Izrael i Wielką Brytanię czy Niemcy i Węgry, które bez oglądania się na innych (w tym na UE) na własną rękę zabiegają o jak największą liczbę jak najlepszych szczepionek dla siebie.

Jak w tym wyścigu wypada Polska? Zgodnie z niezmiennie entuzjastycznymi deklaracjami premiera Morawieckiego, rzecz jasna, znakomicie: „Mamy 6 tys. punktów szczepień, średnio na jeden punkt szczepień to może być ponad 60 osób, czasami dużo więcej, ale czasami nieco mniej. Łatwo policzyć, że pomnożone przez 30 dni w miesiącu oznacza, iż możemy szczepić miesięcznie ponad 10 mln osób”. A jak jest naprawdę? Ile osób miesięcznie szczepimy? Otóż w pierwszym pełnym miesiącu szczepień, w styczniu 2020 r. – niecałe 1,2 mln osób (w tym 200 tys. objęta dawkami). I z powodu niedostatku szczepionek trudno stwierdzić, czy była to jedyna przeszkoda, by Polska szczepiła więcej ludzi.

A czas biegnie i za kilka miesięcy rzeczywistość powie krótko: sprawdzam. Powie: sprawdzam, które państwa zaszczepiły na tyle dużą liczbę swych obywateli, że mają odmrożoną gospodarkę i służbę zdrowia, ich obywatele nie umierają dalej z powodu odkładania planowych wizyt, a firmy bez przeszkód robią interesy z całym światem. I sprawdzam, które nie dały rady tego zrobić. ©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Upadek policji

Na filmie z interwencji w otwartej restauracji zamaskowany – a jakże – policjant jest grzecznie proszony o podanie swojego stopnia i nazwiska. Burkliwie odmawia, choć pytający powołuje się na wcześniejszą rozmowę z dowodzącym akcją. Policjant nie ma imiennika. Ten ostatnio nagminnie stosowany wybieg polega na uznaniu interweniującej np. w restauracji właśnie grupy policjantów za tzw. pododdział zwarty, w którym noszenie imienników nie obowiązuje. Można jednak

Wrocławiu, wkrótce po tym, jak pod koniec stycznia tamtejsza policja najechała dwa otwarte kluby. Pan aspirant nie był łaskaw odpowiedzieć przez 18 dni (czyli do momentu, gdy piszę ten tekst), choć ustawa o informacji publicznej zobowiązuje go do udzielenia odpowiedzi w ciągu dwóch tygodni.

Jednocześnie w publicznym radiu występuje wiceminister spraw wewnętrznych Maciej Wąsik i oznajmia, że policjanci sprawują się znakomicie i nie ma żadnych powodów, żeby prowadzić wobec nich postępowania dyscyplinarne.

Tymczasem policja za ponad 200 tys. zł postanowiła właśnie przeprowadzić badanie własnego wizerunku na naprawdę dużej próbie. Nie wiem tylko, czy podzieli się z nami wynikami, bo jeśli te będą uczciwe, to zakładałbym, że wizerunek służby polecał na łeb na szyję w stosunku do ocen z początku 2020 r., gdy ostatni raz badał go CBOS.

Pamiętam, jak policja poczyniła sobie za Platformy. Pamiętam beczelne wypowiedzi ówczesnego rzecznika Mariusza Sokołowskiego i występującego z miedzianym czołem szefa MSW Bartłomieja Sienkiewicza, który usprawiedliwiał wszelkie ekscesy – dokładnie tak jak min. Wąsik. Jest jednak pewna różnica: obecny rzecznik policji, insp. Mariusz Ciarka, w ogóle wydarzeń nie komentuje. Zamiast tego wrzuca na Twitter śmieszne filmiki.

Droga policjo, powodzenia w sondażu. ©

Regularną praktyką w przypadku otwartych lokali gastronomicznych jest blokowanie do nich dostępu przez policję

spytać: Czego policjanci się wstydzą lub boją? Czy może jest to metoda ich przełożonych, aby czuli się bardziej bezkarni – bo wiadomo, anonimowość zwiększa bezkarność?

Regularną praktyką w przypadku otwartych lokali gastronomicznych jest blokowanie do nich dostępu przez policję. Na jakiej podstawie prawnej – nie wiadomo. Takie pytanie zadałem aspirantowi sztabowemu Łukaszowi Dutkowiakowi, rzecznikowi prasowemu Komendy Miejskiej Policji we

Rok 2021 zaczął się od serii podwyżek wielu opłat i podatków, z których stosunkowo największe poruszenie wywołał tzw. podatek cukrowy. Produkty zawierające cukier są wszak nabywane przez miliony Polaków każdego dnia i większość z nas zauważyła już, że ich ceny poszły wyraźnie w górę. Trudno więc sobie wyobrazić niezadowolenie, jakie miałyby miejsce w sytuacji, gdyby zrealizowało się marzenie lobbujących na rzecz wprowadzenia opłaty reprograficznej o wartości nawet 6 proc. sprzedawanego towaru. Wedle wstępnych projektów miałyby ona obowiązywać także w przypadku tabletów czy smartfonów, których ceny momentalnie wzrosłyby nawet o kilkaset

3 proc. i jest wliczona w cenę produktów, które umożliwiają zwielokrotnianie utworów chronionych prawem autorskim. Do tej pory obejmowała głównie płyty CD, dyski czy też drukarki, lecz według pomysłodawców nowych zmian powinna obejmować także tablety, smartfony, a nawet laptopy. Ogromne kontrowersje budzi już sama stawka opłaty. Krzysztof Kucharski z firmy AB zajmującej się m.in. dystrybucją sprzętu elektronicznego jest pełen obaw co do ewentualnych skutków proponowanych zmian: „Efekt wprowadzenia tej opłaty można przyrównać do podwyżki podatku VAT. Opłata reprograficzna to opłata od obrotu. Byłoby więc to mniej więcej tak, jak podnieśliśmyby staw-

samolotem, aby je kupić. Obecnie może być podobnie”.

Wprowadzając nagle wysoką opłatę reprograficzną na tak popularne artykuły jak smartfony czy też tablety, polskie państwo wręcz samo prosi się o zwiększenie udziału szarej strefy i stwarza warunki sprzyjające nakręcaniu zysków zagranicznym dostawcom. Ale to niejedyny problem związany z proponowanymi zmianami. Krzysztof Kucharski zwraca uwagę na jeszcze jeden istotny aspekt: „Smartfony i tablety należą do tzw. artykułów wolumenowych, których sprzedaje się najwięcej. Są wartościowe, a jednocześnie małowagarytowe. To jest towar tzw. wrażliwy z podatkowego punktu widzenia,

Składka na artystów



Jakub Wozinski

Przedstawiciele środowiska artystów od dłuższego czasu intensywnie lobbują na rzecz objęcia opłatą reprograficzną smartfonów i laptopów. W efekcie sprzęt elektroniczny może podrożeć nawet o kilkaset złotych, a wiele firm zyska zachętę do omijania prawa

złotych. Choć prace nad zmianami w poborze opłaty reprograficznej trwają w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego już od dłuższego czasu, to opinia publiczna jest wciąż nieświadoma szykowanych zmian, które zadowolili mogą wąskie grono artystów.

RELIKT Z CZASÓW POWSZECHNEGO PIRACTWA

Czym jest w ogóle opłata reprograficzna? Ogromna większość Polaków nie ma nawet świadomości, że płaci ją już od wielu lat (według przeprowadzonych badań wie o niej tylko 9 proc. społeczeństwa). Wynosi ona od 1 proc. do

kę VAT z 23 proc. do 30 proc. Efekty tego dostrzegliśmy po pierwsze we wzroście cen, i to w sposób znaczący. Dodatkowo wystąpiłyby pewne perturbacje w całej gospodarce. Ceny produktów elektronicznych w Polsce byłyby zdecydowanie wyższe niż za granicą. W tej chwili Niemcy obniżyli VAT na elektronikę z 19 proc. do 16 proc., więc gdyby u nas było faktycznie 30 proc., to z dnia na dzień bardzo opłacalny stałby się prywatny import czy też kupowanie w internetowych sklepach za granicą. Parę lat temu, gdy iPhone'y w Wielkiej Brytanii kosztowały dużo mniej niż w Polsce, opłacało się nawet latać tam

jak papierosy, paliwo czy alkohol. Tego typu produkty w przypadku różnego rodzaju firm garażowych dają ogromną okazję do nadużyć. Karzele VAT-owskie dotyczyły bardzo często właśnie ich. Dlatego konsekwencje wprowadzenia wysokiej opłaty reprograficznej mogą być naprawdę poważne”.

Uwagę zwraca również to, że propozycja nałożenia opłaty reprograficznej na smartfony i tablety pada w sytuacji, gdy problem nielegalnego kopiowania i naruszania praw autorskich jest w coraz większym zaniku. Przedstawiciele



artystów wskazują wprawdzie, że tego rodzaju opłaty obowiązują w innych krajach, lecz nakładanie ich w Polsce akurat w momencie, gdy na popularność zyskują serwisy streamingowe, wydaje się kompletnie pozbawione podstaw.

MINISTERSTWO DAJE ZGODĘ

Pomysł podwyższenia opłaty reprograficznej i rozciągnięcia jej na nowe produkty pojawił się już dużo wcześniej. Środowiska artystów bardzo liczyły na to, że przekona się do niego jeszcze poprzednia ekipa rządząca, lecz skończyło się jedy-

właśnie w polskich importerów sprzętu elektronicznego. To jedna ze stosunkowo nielicznych branż, którym udało się obronić przed inwazją wielkiego zagranicznego kapitału, lecz proponowane zmiany mogłyby zupełnie to zmienić.

Wiele wątpliwości wzbudza także to, że według wstępnych projektów nowej ustawy opłatę reprograficzną miałyby egzekwować nie organy państwowe, lecz instytucje wskazane przez MKiDN, czyli ZAiKS, ZPAV czy SAWP, które czynią to w sposób daleki od doskonałości i skuteczności. Rodzi to obawy o to, czy opłata reprograficzna byłaby płacona przez wszystkie podmioty w sposób sprawiedliwy.

Lobbing środowisk artystycznych w sprawie planowanej wysokiej opłaty wywołał także reakcję ze strony Federacji Konsumentów.

W opublikowanym przez nią raporcie o wykluczeniu cyfrowym wskazano, że proponowany podatek jeszcze bardziej utrudni dostęp do narzędzi umożliwiających korzystanie z Internetu w niezwykle trudnym dla tysięcy osób momencie, w którym

nauka wciąż odbywa się w sposób zdalny, a wiele usług publicznych staje się dostępnych on-line. Federacja zwraca szczególną uwagę na to, że planowane poszerzenie opłaty reprograficznej o nowe urządzenia, takie jak smartfony, tablety, laptopy czy też komputery stacjonarne, uderzy ostatecznie w najbardziej potrzebujących.

Argument ten wydaje się bardzo zasadny, gdyż rząd przeznaczył w ciągu ostatnich miesięcy w ramach akcji „Zdalna Szkoła Plus” już co najmniej 365 mln zł na dofinansowanie zakupu sprzętu dla najbardziej potrzebujących. Jeśli propozycja artystów wejdzie w życie, to publiczne pieniądze na walkę z tzw. wykluczeniem cyfrowym będą musiały popłynąć jeszcze szerszym nurtem. Przyczyną wykluczenia będzie zaś samo państwo bohatersko walczące z problemami, które spowodowało.

Bodajże najbardziej niezrozumiałym aspektem planów rozszerzenia opłaty reprograficznej jest to, że dochodzą

one do skutku w czasie, gdy realne szkody powodowane przez kopiowanie i naruszanie praw autorskich za pomocą różnego rodzaju nośników są już tak naprawdę znikome. Wielki boom przeżywają w ostatnim czasie wszelkiego rodzaju platformy streamingowe i to właśnie je należałoby nakłonić do ewentualnego podzielenia się rosnącymi zyskami ze środowiskiem artystów. Wynegocjowanie wyższych stawek od potężnych firm o międzynarodowej pozycji to jednak zdecydowanie trudniejsze zadanie niż próba sięgnięcia do kieszeni zwykłego Kowalskiego.

Wprowadzając nagle wysoką opłatę reprograficzną na smartfony czy tablety, polskie państwo wręcz samo prosi się o zwiększenie udziału szarej strefy

Środowisko artystów próbuje na wszelkie możliwe sposoby zapewnić sobie korzystne przepisy prawne, których przewidywany kształt uderza jednak bezpośrednio we wszystkich konsumentów. Środki pozyskiwane z opłaty reprograficznej mają częściowo płynąć na specjalny fundusz emerytalny dla przedstawicieli całej branży. Oznacza to, że nabywając tablet czy smartfon, składalibyśmy się na dostatnią starość dla osób, które nie ponoszą w związku z naszym zakupem żadnych realnych strat.

Równolegle do działań na rzecz wprowadzenia nowej opłaty trwają więc prace nad uregulowaniem zawodu artysty, które mają pomóc sformalizować zakres beneficjentów funduszu. Projekt odpowiedniej ustawy przedstawili już posłowie Koalicji Obywatelskiej, lecz wicepremier Gliński poinformował, że Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego ma już gotową własną wersję.

Wobec oczywistych problemów, które wywołałoby wprowadzenie nowych zasad naliczania opłaty reprograficznej, powstaje pytanie, czy czeka nas powtórka z rozrywki, w której ramach resort wycofa się ze swojego pomysłu dopiero w następstwie medialnej wrzawy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



nie na obietnicach. Temat powrócił w ostatnich miesiącach i tym razem MKiDN wydaje się być o wiele bardziej przychylny kontrowersyjnym propozycjom. Szef resortu zadeklarował już kilka miesięcy temu zgodę na podwyżkę opłaty, choć zastrzegł, że nie powinna być aż tak wysoka. Od tamtej deklaracji minęło jednak sporo czasu.

W OBRONIE ARTYSTÓW

Wprowadzenie nowej opłaty reprograficznej uderzyłoby najmocniej



Z wiceminister kultury Wandą Zwinogrodzką
rozmawia *Jakub Woźniński*

Czas śmiało bronić własnych interesów



FOT. DANUTA MATLOCH

JAKUB WOŹNISKI: Kiedy możemy się spodziewać, że szczegóły zmian w naliczaniu opłaty reprograficznej zostaną podane publicznie?

WANDA ZWINOGRODZKA: Niebawem. To jeden z aspektów projektowanej ustawy o uprawnieniach artysty zawodowego, która stanowi systemową zmianę warunków pracy w dziedzinie kultury, zaniebdywanej u nas od kilkadziesiąt lat. Oczekujemy teraz na wpisanie projektu do wykazu prac legislacyjnych rządu i, gdy to nastąpi, ogłosimy go i poddamy pod konsultacje publiczne oraz międzyresortowe.

Czy wysokość opłaty reprograficznej od smartfonów i laptopów będzie zbliżona bardziej do 1 czy raczej do 6 proc.?

Wysokość opłaty będzie jeszcze przedmiotem konsultacji. Z pewnością stawka nie będzie identyczna dla wszystkich urządzeń i nośników danych. Proszę pamiętać, że one bardzo się od siebie różnią – jedne służą do kopiowania tekstów, inne – utworów dźwiękowych czy audiowizualnych, jeszcze inne łączą te możliwości. Najważniejsze jest, aby kwoty, które dotąd zostawały przez lata w kieszeni producentów sprzętu, trafiły wreszcie – tak jak w większości rozwiniętych krajów – do artystów pozbawionych

wynagrodzenia za swoją pracę wskutek masowego, bezpłatnego kopiowania i odtworzenia ich utworów na urządzeniach elektronicznych.

Czy MKiDN nie obawia się, że wprowadzanie tych zmian w trudnym dla gospodarki momencie przyczyni się do negatywnej reakcji społeczeństwa? Od początku roku było już nawet kilkadziesiąt różnych podwyżek, a tu szykuje się kolejna.

W tej sprawie polska opinia publiczna jest manipulowana przez potentatów branży elektronicznej. Polska jest dla nich jednym z ostatnich – ledwie kilku – krajów europejskich, w których nie muszą uiszczać opłaty reprograficznej, ponieważ od kilkunastu lat skutecznie lobbują przeciwko nowelizacji przepisów i w rezultacie opłata dotyczy archaicznych urządzeń, np. magnetofonów czy magnetowidów, którymi nikt już nie handluje.

Na potrzeby artystów przekazuje się więc niespełna 2 mln euro rocznie, podczas gdy np. w Niemczech ponad 330 mln, we Francji ponad 270 mln. Nawet w znacznie mniejszych niż Polska krajach naszego regionu są to o wiele wyższe kwoty – np. na Węgrzech 27 mln. A mimo to sprzęt elektroniczny za granicą jest tańszy. Wystarczy posłużyć się

porównywarą cenową, by stwierdzić, że np. w Niemczech, gdzie opłata reprograficzna jest najwyższa, ceny bywają niższe o kilkaset, czasem nawet o tysiąc złotych. Zatem ta rekompensata nie podwyższa automatycznie ceny, pokrywana jest bowiem z marży producentów i odrobinną uszczupla ich zysk. To sprawiedliwe rozwiązanie, ponieważ bezpłatny dostęp do dóbr kultury w ramach dozwolonego, prywatnego użytku znacznie podnosi atrakcyjność urządzeń elektronicznych, popyt na nie, a więc także dochody z ich sprzedaży.

Wydaje się jednak, że koszty wprowadzenia opłaty reprograficznej zostaną przerzucone w sporej mierze na konsumentów, a to w okresie funkcjonowania nauki zdalnej w szkołach może ograniczyć dostępność sprzętu dla najbardziej go potrzebujących. Ucierpią też polscy importerzy.

To bajki. W UE mamy wspólny rynek, więc w praktyce nie można bezkarnie śrubować cen. Skoro za granicą jest taniej, to polski konsument dokona zakupu tam – już teraz w Niemczech sklepy oferują wysyłkę towaru do Polski bez dodatkowych kosztów.

Jeśli jednak uda się zastraszyć opinię publiczną groźbą podwyżek i zapobiec

objęciu opłatą nowoczesnych urządzeń, to cały zysk z ich tutejszej sprzedaży pozostanie na kontach producentów. I o to toczy się gra. Naprawdę bezwzględna gra, bo w czasach pandemii popyt na elektronikę gwałtownie rośnie, a tym samym rosną dochody wytwarzających ją koncernów. To jedna z nielicznych branż, która obecnie przeżywa prosperity. Tymczasem artyści drastycznie ubożeją, bo z ich dziełami publiczność obcuje głównie poprzez monitory i słuchawki, przeważnie za darmo. I w tych okolicznościach odmawia się im nawet tej niewielkiej rekompensaty, jaką stanowi opłata reprograficzna. Po to, by maksymalizować własne zyski, łudząc naiwnych frazesami o rzekomej obronie konsumentów i zwracając tych ostatnich przeciwko artystom.

W efekcie Polacy wciąż kupują laptopy drożej, a nasi muzycy najmują się do pracy na budowach, tak jak np. Mateusz Gawęda, pianista jazzowy, którego przejmującą historię niedawno przedstawiono w „Warto rozmawiać”. Dziel i rządź! Dopóki opinia publiczna pozwoli się konfliktować i tumażać, także z udziałem mediów i polityków, dopóty nasz rynek będzie drenowany bez skrępowań.

Czy nie lepiej byłoby tych pieniędzy poszukać w różnego rodzaju serwisach streamingowych? Szkody w zakresie prawa autorskiego generowane przez smartfony czy laptopy są już dziś znikome.

Przytacza pan argumenty Związku Importerów i Producentów Sprzętu Elektrycznego i Elektronicznego. Usiłują oni skompromitować rekompensatę reprograficzną, ale nie konkretyzują tego jakoby lepszego, przyszłościowego rozwiązania kwestii naruszania praw autorskich. A może zapytajmy: Dlaczego prawie wszystkie kraje europejskie ściągają skutecznie tę rekompensatę i przekazują ją swoim artystom, zamiast ją zlikwidować i wprowadzić to tajemnicze, cudowne narzędzie, które ZIPSEE proponuje Polsce? Gdy ono sprawdzi się gdzie indziej, przyjdzie pora, by mu się przyjrzeć. Na razie lepiej poprzestańmy na tym, które działa na całym naszym kontynencie, z wyjątkiem kilku krajów, np. Białorusi czy Albanii. To chyba nie są wzorce regulacji rynku, do których aspirujemy?

Federacja Konsumentów zwróciła się z apelem do wicepremiera Piotra Glińskiego o wycofanie się

z prac nad nowelizacją ustawy o opłacie reprograficznej, wskazując na to, że przyczyni się ona do pogłębienia wykluczenia cyfrowego. Jak się do tego państwo ustosunkowali?

Cóż, wciąż mamy do czynienia z tego typu presją. Z uwagi na skalę zagrożonych zysków jest to zrozumiałe. Jednak stanowisko MKiDN w tej sprawie jest niezmiennie i było już wiele razy przedstawiane w mediach. Dobrze znane jest też stanowisko Federacji Konsumentów, która współpracuje z ZIPSEE od wielu lat. Tak to niestety jest, że producenci miewają u nas rozległe wpływy, bo przez całe dziesięciolecia traktowano ich czołobitnie w przekonaniu, że polski rynek bardziej ich potrzebuje niż oni naszego rynku. To założenie przyjęte w obliczu zapaści gospodarczej, odziedziczonej po komunizmie.

Po ponad 30 latach sytuacja się jednak zmieniła, najwyższy czas wyzwolić się z takich kompleksów i śmiało bronić własnych interesów – w tym wypadku interesu polskich konsumentów wciąż przepłacających za sprzęt elektroniczny oraz polskich artystów odzieranych z uczciwego zarobku.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Ważne i ciekawe pozycje książkowe
związane z życiem i pracą
śp. prof. Lecha Kaczyńskiego,
Prezydenta RP.

**Zamów książki
z rabatem 40%**

przesyłka gratis*
*na terenie Polski

THE FACTO

Odwiedź stronę www.thefacto.pl



23,94 zł ~~39,90~~



26,94 zł ~~44,90~~

Zamówienie możesz złożyć wysyłając
e-mail pod adres: sklep@thefacto.pl

TE KSIĄŻKI POWINNY ZNALEŻĆ SIĘ NA
TWOJEJ PÓŁCE.

TEST „DO RZECZY”: INTELIGENTNA KAMERA DO MONITORINGU TP-LINK TAPO C310

Dobra jakość obrazu, automatyczne powiadomienia w aplikacji po wykryciu ruchu, wbudowana syrena alarmowa, dwukierunkowa transmisja dźwięku oraz bardzo dobry stosunek ceny do jakości – to największe zalety niedrogiej kamery do zdalnego monitoringu zewnętrznego chińskiej firmy TP-Link.

Obudowa kamery wykonana z wysokiej jakości plastiku sprawia, że model wygląda nowocześnie. Tapo C310 jest też łatwa w konfiguracji, montażu i regulacji kąta nachylenia. Konstrukcja została tak przygotowana, aby obiektyw kamery (o jasności f/2.2) pozostawał czysty nawet przy ulewnych deszczach. Klasa odporności na deszcz, pył czy wiatr wynosi IP66, co oznacza, że kamera jest całkowicie odporna na wnikanie pyłu, a także na zalewanie falą wody z dowolnego kierunku.

Przód urządzenia skrywa także diody IR, które pozwalają na monitoring po zapadnięciu zmroku. Na zewnątrz znajdują się zaś dwie anteny wi-fi. Kamerę do routera można podłączyć przewodowo za pomocą przewodu Ethernet lub bezprzewodowo, wykorzystując łączność wi-fi.

Największą zaletą testowanego modelu jest matryca o wielkości 3 MP, umożliwiającą nagrywanie w rozdzielczości 1080 p z prędkością 15 klatek na sekundę. Podczas testów

jakość obrazu była dobra zarówno w dzień, jak i w nocy. Nie na tyle jednak, aby np. rejestrowane tablice rejestracyjne były zawsze możliwe do odczytania.

Nagrania i zdjęcia można obserwować zdalnie poprzez bezpłatną, dedykowaną aplikację, która umożliwia podłączenie jednocześnie do 32 tego typu kamer. Dzięki aplikacji można otrzymywać powiadomienia o wykrytym przez kamerę ruchu, a także – jeśli sprzęt wykryje włamywacza – zdalnie uruchomić wbudowaną w kamerkę syrenę alarmową. Syrena może się też włączać automatycznie np. w przypadku zmiany pozycji kamery czy zamazania jej obiektywu.

Przydatną cechą Tapo C310 jest też kilka trybów nagrywania. Kamera może więc nagrywać bez przerwy 24 godziny na dobę, siedem dni w tygodniu albo według ustawionego wcześniej harmonogramu, albo też jedynie po wykryciu ruchu. Tapo C310 może wykrywać ruch w odległości do 30 m – aby ograniczyć liczbę fałszywych alarmów, monitorowany obszar można jednak łatwo zawęzić w aplikacji.

Kamera posiada również wbudowany mikrofon oraz głośnik, dzięki czemu można ją wykorzystywać do dwustronnej komunikacji. Za pomocą dedykowanej aplikacji Tapo można więc

np. poprosić kuriera o przerzucenie paczki przez płot. Kamera Tapo C310 współpracuje również z asystentami głosowymi takimi jak Google Assistant czy Amazon Alexa.

A wady? Po pierwsze, szkoda, że kamera nie ma choćby małego akumulatora, który pozwoliłby jej pracować po odcięciu prądu. Po drugie, syrenie alarmowej towarzyszy teoretycznie alarm świetlny, ale diody są stosunkowo słabe, więc trudno liczyć np. na oślepienie włamywacza. Po trzecie, w zestawie nie ma nawet najtańszej karty microSD, która jest niezbędna do zapisywania plików wideo oraz zdjęć. Trzeba kupić ją oddzielnie (ten model obsługuje karty o pojemności do 128 GB). Ten ostatni minus można jednak łatwo wytłumaczyć, patrząc na cenę testowanego egzemplarza, która wynosi tylko 229 zł. Wspomniany stosunek ceny do jakości jest więc naprawdę bardzo dobry. ©©

Jacek Przybylski



SMARTWATCHE DLA CUKRZYKÓW



Tak zwane gadżety ubieralne, czyli wszelkiego rodzaju opaski, smartwatche etc., są coraz powszechniejsze. Najwięksi producenci chcą więc wkroczyć na nowe rynki i wykorzystać zdrowotny potencjał elektroniki. W ciągu kilku miesięcy na rynku powinny pojawić się inteligentne zegarki z możliwością pomiaru glukozy we krwi bez potrzeby jakiegokolwiek nakłuwania skóry.

Nowa technologia ma zostać zastosowana przez Samsunga w modelach Galaxy Watch 4 oraz Galaxy Watch Active 3. Pomiar ma trwać zaledwie ok. 20 sekund.

W wyścigu po pieniądze milionów diabetyków bierze udział też amerykański Apple. Niewykluczone, że dzięki opatentowanemu czujnikowi optycznemu stałe monitorowanie poziomu cukru we krwi będzie umożliwiał już model Apple Watch 7.

TYGRYS OD HYUNDAIA

Hyundai Tiger X-1 Ultimate Mobility Vehicle to skrócona nazwa pojazdu zaprezentowanego w lutym przez południowokoreański koncern. Ważący zaledwie 11 kg bezzakładowy samochód terenowy ma dostarczać przesyłki do najbardziej odległych i niedostępnych lokalizacji, a także nieść pomoc podczas akcji ratunkowych. Pojazd koncepcyjny napędzany za pomocą 28 mniejszych silników ma nie tylko napęd na wszystkie koła, lecz także możliwość wysunięcia czterech „nóg” i wspinania się po przeszkodach, np. po schodach, lub sprawnego pokonywania leżących na drodze konarów. ©©

Jacek Przybylski



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

DODATEK SPECJALNY

Skoki narciarskie

zimowy sport narodowy Polaków



FOT. TADEUSZ MIECZYSKI / POLSKI ZWIĄZEK NARCIARSKI

MECENAS WYDANIA



eprasa.pl d661ad10ef



Radość polskich skoczków po zwycięstwie Kamila Stocha (na zdjęciu niesiony przez Dawida Kubackiego – z lewej – i Piotra Żyłę) w Turnieju Czterech Skoczni
FOT. MATTHIAS SCHRADER/AP/EAST NEWS

Dziwny sezon

Halvor Egner Granerud może wybierać miejsce, w którym ustawi Krysztalową Kulę. Zwycięstwa w Pucharze Świata raczej nikt już Norwegowi odebrać nie zdoła. Teraz wszyscy koncentrują się na mistrzostwach świata. Dziwny, komplikowany przez pandemię sezon trwa, ale Polacy mogą już zaliczyć go do udanych

Nawet gdyby odbyły się wszystkie punktowane do Pucharu Świata konkursy odwołanego z powodu COVID-owych obostrzeń w Norwegii turnieju Raw Air, ani Markus Eisenbichler, ani Kamil Stoch, ani tym bardziej nikt spoza pierwszej trójki nie miałby już szans dogonić genialnego w tym sezonie Halvora Egnera Graneruda. To Norweg podniesie w tym roku Krysztalową Kulę. Po pechowych dla Polaków konkursach w Zakopanem 13 i 14 lutego (tygodnik oddaliśmy do druku przed konkursami w rumuńskim Rasnov) Granerud miał 1542 pkt w klasyfikacji generalnej. Drugą lokatę zajmował Niemiec Markus Eisenbichler z 1017 pkt na koncie (525 pkt straty), trzeci był Kamil Stoch (864 pkt, 678 pkt straty do lidera i 153 pkt do Eisenbichlera). A pozostali Polacy? Dawid Kubacki szósty z 708 pkt (834 pkt straty), Piotr Żyła siódmy (698 pkt, 844 pkt straty), Andrzej Stękała (435 pkt, 1107 pkt straty) zajmował 14. pozycję, na 26. miejscu był Jakub Wolny (134 pkt, 1408 pkt straty). W pierwszej trzydziestce znalazł się jeszcze Klemens Murańka (29. pozycja z 124 zdobytymi punktami i 1418 pkt straty do lidera). W Pucharze Narodów Polacy są drudzy (4126 pkt, 603 pkt straty do liderów, Norwegów). Trzeci są Niemcy (3204 pkt).

W Pucharze Świata wyścig w zasadzie już się skończył, teraz priorytetem

Najlepsi polscy skoczkowie, którzy zakończyli już kariery



Stanisław Marusarz

Lata kariery: 1923–1957
Rekord życiowy: 97 m, Planica, 1935 r.

Legenda polskiego

przedwojennego sportu, jeden z najlepszych polskich skoczków, ale także dwuboista i alpejczyk. Czterokrotny olimpijczyk, siedmiokrotny uczestnik narciarskich mistrzostw świata, 11-krotny mistrz kraju. W 1935 r. w Planicy, skacząc na odległość 95 m, ustanowił rekord świata (pobity jednak tego samego dnia). Zdobywca srebrnego medalu mistrzostw świata w 1938 r. (pozbawiony złota w skandalicznych okolicznościach przez decyzję sędziów). Marusarz skakał w czasach, gdy nie organizowano jeszcze Pucharu Świata. Skok życia? Z okna celi na I piętrze w trakcie drugiej wojny światowej podczas ucieczki z aresztu.



Józef Przybyła

Lata kariery: 1956–1972
Rekord życiowy: 143 m, Planica, 1968 r.

Dwukrotny olimpijczyk.

Sześciokrotny mistrz Polski, 11-krotny medalista mistrzostw Polski. Pierwszy Polak, który na poważnie zaistniał na Turnieju Czterech Skoczni. Po trzech konkursach zajmował drugą pozycję, na prowadzenie wyszedł po skoku na 100 m w Bischofshofen (jako pierwszy skoczek w historii poszybował tam na taką odległość). Finałowego skoku na 90 m nie ustał i upadek pozbawił go zwycięstwa w turnieju. – Nie wiem, co się stało. Padłem jak skoszony. Prawdopodobnie najechałem na kamień lub jakąś przeszkodę, gdyż śnieg na skocznię w Bischofshofen był przywożony ciężarówkami z gór. Sędziowie za upadek odjęli mi 30 pkt – wyjaśniał.



Wojciech Fortuna

Lata kariery: 1962–1979
Rekord życiowy: 132 m, Planica, 1972 r.

Jednym skokiem oddanym

na igrzyskach olimpijskich na dużej skoczni w Sapporo 11 lutego 1972 r. 19-lletni Wojciech Fortuna zapisał się na zawsze w historii polskiego sportu. Skoczek, który początkowo do Japonii miał w ogóle nie lecieć, poszybował na 111 m, czyli na odległość, na jaką podczas igrzysk olimpijskich nie skoczył wtedy nikt. Nawet drugi słaby skok, na 87,5 m, nie pozbawił go złotego medalu ani przyznawanego wtedy automatycznie mistrzom olimpijskim tytułu mistrza świata. Fortuna to także trzykrotny medalista mistrzostw Polski.

są mistrzostwa świata w Obersdorfie (pierwszy konkurs 27 lutego). Michał Doleżał ogłosił nazwiska sześciu najlepszych skoczków, którzy dostaną swoją szansę na jednej z najważniejszych imprez sezonu. Są to: Kamil Stoch, Dawid Kubacki, Piotr Żyła, Klemens Murańka, Jakub Wolny i Andrzej Stękała, jedyny Polak, który stanął na podium podczas ostatnich konkursów w Zakopanem.

PRZEBUDZENIE STĘKAŁY

W walentynkowy weekend Zakopane organizowało zawody Pucharu Świata drugi raz w tym sezonie, ze względu na odwołane (COVID) konkursy w chińskim Zhangjiakou. Wielka Krokiew tym razem nie była szczęśliwa dla Polaków. Powody do radości dał drużynie i kibicom tylko Andrzej Stękała (i tylko w sobotnim konkursie, w niedzielę został zdyskwalifikowany ze względu na zbyt długie narty). W pierwszym z zakopiańskich konkursów Stękała wyprzedził o włos, zaledwie o 0,3 pkt, tylko Japończyk Ryoyu Kobayashi. – Niedosyt, że zabrakło 0,3 pkt do zwycięstwa? Nie no, o czym my w ogóle rozmawiamy? Jestem drugi i jest super – komentował szczęśliwy Stękała, który 13 lutego jako 13. Polak w historii skoków wychodził na podium Pucharu Świata. – Trzeba dalej walczyć. W końcu komuś braknie do mnie – dodawał. To pierwsze indywidualne podium w zawodach Pucharu Świata tego 25-letniego zawodnika.

Tak ocenia się skok

Punkty za odległość

60 pkt na skoczniach zwykłych lub 120 pkt w przypadku mamucich skoczni zdobywa zawodnik, który osiągnie punkt konstrukcyjny skoczni. Za skoki krótsze punkty są odejmowane, za dłuższe dodawane. W przypadku skoczni K-90 każdy metr to 2 pkt, K-120 to 1,8 pkt, a na mamutach każdy metr to 1,2 pkt. Długość skoku mierzona jest od progu skoczni do piąty buta skoczka (u nogi zostającej z tyłu) w chwili, gdy narta na całej długości zetknie się z zeskokiem. Dokładność pomiaru to pół metra.

Punkty za styl

Każdy skok ocenia pięciu sędziów, którzy przyznają punkty za każdy etap skoku. Nota od jednego sędziego wynosić może maksymalnie 20 pkt. Dwie skrajne oceny są odrzucone, pozostałe trzy sumowane. Za błędy popełnione w fazie lotu każdy sędzia może odjąć maksymalnie 5 pkt, tak samo jak w fazie lądowania (np. brak telemarku to utrata 2 pkt). Faza odjazdu to moment, w którym stracić można najwięcej punktów, np. 7 pkt za upadek, 4–5 pkt za dotknięcie zeskoku.

Punkty za warunki

Dodatkowe punkty dodaje się lub odejmuje za zmianę wysokości belki startowej oraz za wiatr. Jeśli skoczek ma korzystny wiatr pod narty, wówczas punkty są mu odejmowane. Jeśli skacze w trudniejszych warunkach z wiatrem w plecy, to punkty się dodaje. Wpływ wiatru na długość skoku wylicza się według wzoru: $\Delta w = TWG \times (HS - 36) / 20$, gdzie TWG to tangensowa prędkość wiatru – średnia wartość (m/s), a HS to rozmiar skoczni.

Reszta drużyny wypadła poniżej oczekiwań. W sobotę Piotr Żyła był ósmy, Dawid Kubacki – 11., Kamil Stoch dopiero 20., a Paweł Wąsek, Jakub Wolny, Klemens Murańka, Maciej Kot, Tomasz Pilch, Stefan Hula i Aleksander Zniszczoł nie zakwalifikowali się do drugiej serii. Kibicom, którzy na Wielką Krokiew nie weszli, ale których w Zakopanem było widać i słyszać, humory nie

poprawiły się w niedzielę. Do finałowej serii awansowało trzech Polaków. Tego dnia najlepszy z nich był Dawid Kubacki, który zajął szóste miejsce. Klemens Murańka był 19., a Kamil Stoch 23.

Andrzej Stękała na sobotni sukces czekał długo. Pierwsze punkty w Pucharze Świata zdobywał w sezonie 2015/2016. Zgromadził ich wtedy 105. Za mało, by utrzymać się w kadrze prowadzonej



Stanisław Bobak

Lata kariery: 1966–1981
Rekord życiowy: 153 m,
Oberstdorf, 1981 r.

Trzy lata młodszy od Fortuny Bobak był pierwszym w historii Polakiem, który zwyciężył w zawodach Pucharu Świata, a w klasyfikacji generalnej sezonu 1979/1980 zajął trzecie miejsce. Dwukrotny olimpijczyk, medalista Turnieju Czterech Skoczni. Ośmiokrotny mistrz Polski. Zawodnik ze światowej czołówki przełomu lat 70. i 80.



Piotr Fijas

Lata kariery: 1970–1989
Rekord życiowy: 194 m,
Planica, 1987 r.

Ostatni przed Adamem Małyszem polski skoczek, który rywalizował z najlepszymi na świecie. Najlepiej czuł się na mamucich skoczniach. Brązowy medalista na mistrzostwach świata w lotach narciarskich w Planicy w 1979 r. Rekordzista świata z Planicy (skok na 194 m). Trzykrotny zwycięzca zawodów Pucharu Świata, trzykrotny olimpijczyk, czterokrotny uczestnik mistrzostw świata w narciarstwie oraz sześciokrotny uczestnik mistrzostw świata w lotach. Karierę Fijasa zakończyła bardzo poważna kontuzja kolana.



Adam Małysz

Lata kariery: 1994–2011
Rekord życiowy: 230,5 m,
Vikersund, 2011 r.

Najlepszy polski skoczek w historii czy może najlepszy zaraz po Kamilu Stochu? Opinie są podzielone. To od małyszomanii zaczęło się masowe zainteresowanie skokami w naszym kraju, które – niewątpliwie dzięki sukcesom obecnej kadry – trwa do dziś. Adam Małysz to czterokrotny zdobywca Pucharu Świata, czterokrotny olimpijczyk (trzy srebrne medale i jeden brązowy). Sześciokrotny medalista mistrzostw świata (cztery złote, jeden srebrny i jeden brązowy). Triumfator 49. Turnieju Czterech Skoczni. 39-krotny mistrz Polski (21 razy zimą i 18-krotnie latem).

■ przez Stefana Horngachera, z którym skoczek nie znajdował wspólnego języka. Niedługo później wypadł z kadry, ale mógł przy niej trenować.

Jeszcze zanim pożegnał się z główną reprezentacją, zaczął pracować. Wiedział, że ze skakania pieniędzy długo (o ile w ogóle) nie będzie. Zatrudnił się w karczynie Chata Zbójnicka. – Potrzebowaliśmy kelnerów. Dałam ogłoszenie i Andrzej jakoś za pośrednictwem znajomych do nas trafił. Oczywiście wiedziałam, kim jest, ale dopiero potem opowiedział nam, jak wygląda jego sytuacja w skokach. Od początku wierzyłam, nawet jak miał chwile zawahania, że będzie odnosić sukcesy. Wszyscy zawsze trzymaliśmy za niego kciuki – opowiadała WP.pl Halina Zapotoczna, właścicielka karczmy. – Jeśli kiedyś jeszcze będzie chciał sobie polatać z tacą, to zapraszamy! – uśmiecha się. – Przez pandemię w listopadzie byłam w pracy tylko raz. Moim skokiem wyszło to na dobre – cytował najlepszego skoczka wśród kelnerów portal Sport.pl.

Rzeczywiście, to sezon życia Stękały. Po zawodach w Zakopanem z 14 lutego zajmuje 14. pozycję w klasyfikacji generalnej Pucharu Świata. Oprócz indywidualnego podium z soboty ma na koncie drużynowy medal mistrzostw świata w lotach, znalazł się też w kadrze na mistrzostwa świata do Oberstdorfu. Czy spełni swoją deklarację, składaną jeszcze w listopadzie ubiegłego roku? – Dalej łączę skakanie z pracą. Teraz pojawił się sponsor, więc będzie łatwiej. Cieszę się z tego bardzo, ale pracy na razie nie rzucam. I chyba jej nie rzucę. Bo bardzo lubię tam chodzić – mówił wówczas portalowi Sport.pl.

CZTERE SKOCZNIE

Do listy tegorocznych sukcesów Stękały nie można nie dopisać szóstej lokaty w klasyfikacji końcowej Turnieju Czterech Skoczni. Turnieju, który polscy kibice chyba najbardziej zapamiętają z całego sezonu (choć życzylibyśmy sobie, żeby zbliżające się mistrzostwa świata jeszcze bardziej zapadły nam w pamięć).

W pierwszej dziesiątce TCS znalazło się czterech Polaków. Oprócz wspomnianego Stękały byli to: Piotr Żyła (piąte miejsce), Dawid Kubacki, zwycięzca poprzedniej edycji turnieju, który stanął tym razem na najniższym stopniu podium, oraz zwycięzca turnieju Kamil Stoch, który wyprzedził Niemca Karla



FOT. ALICJA KOSMAN/POLSKI ZWIĄZEK NARODOWY

Od najmłodszych lat

Droga do mistrzostwa zaczyna się w sporcie już w dzieciństwie. W Polsce ze szkoleniem najmłodszych bywało przed laty różnie, ale popularność skoków to też sponsorzy i pieniądze, inwestowane także w młodzież. Najlepsi młodzi zawodnicy mogą dziś liczyć na stypendia, mają też okazję do osvajania się z emocjami na skoczni i w trakcie zawodów, choćby za sprawą konkursu dla najmłodszych zawodników LOTOS Cup Kids. Starsi początkujący skoczkowie mierzą się np. w organizowanym od 2005 r. LOTOS Cup.

Geigego o 48,1 pkt i po raz trzeci w karierze wywalczył Złotego Orła.

Szanse na te laury mógł Polakom odebrać COVID, a będąc bardziej precyzyjnym – niemiecki sanepid. Testy przed pierwszym konkursem w Oberstdorfie dały w przypadku jednego z naszych zawodników, Klemensa Murańki, wynik dodatni. Został on odizolowany od reszty kadry, ale organizatorzy ogłosili, że wszyscy Polacy nie będą mogli wystartować w turnieju. – Bardzo żałujemy tej decyzji, ale w kontekście ochrony innych sportowców władze sanitarne nie miały wyboru – mówił sekretarz generalny zawodów w Oberstdorfie Florian Stern. Zakażenie koronawirusem stwierdzono też u jednej osoby z niemieckiej ekipy. Niemiecka federacja poinformowała jednak, że pozytywny wynik dał test zrobiony u fizjoterapeuty,

który nie miał kontaktu z kadrą, a więc nie ma podstaw, aby reprezentacja RFN miała być wykluczona z konkursu. – To decyzja lokalnych władz sanitarnych. Wierzymy im, a poza tym było przeprowadzone dogłębne dochodzenie odnośnie do tego, czy był bezpośredni kontakt z zawodnikami – mówił sekretarz generalny zawodów w Oberstdorfie.

Ostatecznie Polacy wystartowali w konkursie, bo ponowne testy dały ujemne wyniki. W Oberstdorfie wygrał Karl Geiger przed Kamilem Stochem, ale na zakończenie trzech pozostałych konkursów grano już „Mazurka Dąbrowskiego”. W Garmisch-Partenkirchen po zwycięstwie Dawida Kubackiego, a w Innsbruck i Bischofshofen po wygranych Kamila Stocha.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone
oprac. Radosław Wojtas

Polskie buty niosą dalej?

Od kiedy luźne kurtki i wełniane swetry, bo w takich strojach zawodnicy oddawali kiedyś skoki nawet w najważniejszych światowych zawodach, zostały zastąpione profesjonalnymi kombinezonami, rozpoczął się w skokach wyścig technologiczny.

W zasadzie nie ma sezonu, by któraś z reprezentacji nie wprowadziła innowacji, podpatrywanej z zainteresowaniem przez konkurencję. Przed mistrzostwami świata w Oberstdorfie polscy skoczkowie testowali nowe kombinezony. Na co postavili? To do ostatniej chwili tajemnica naszej kadry. – Produkcja jest już właściwie zakończona, choć wiadomo, że nie chcę ogłaszać, które to będą. Zobaczycie wkrótce – mówił po konkursie w Zakopanem trener główny polskich skoczków Michał Doleżal.

Niedawno za sprawą polskich skoczków dokonana się mała rewolucja. Polacy zrezygnowali z butów niemieckiej firmy Rass i zaczęli skakać w obuwiu polskiej produkcji. – Stosujemy specjalną skórę, którą nazywamy „wegańską” – mówiła Sport.pl Ewa Nagaba, właścicielka firmy, a Piotr Żyła w swoim stylu żartował, że nowy sprzęt dodaje mu 10 m do każdego skoku. Żarty żartami, ale polskim obuwiem zainteresowały się inne reprezentacje.

Istotną przewagę mogą dawać nawet z pozoru niewielkie różnice. Dlatego przepisy FIS regulują nawet takie detale jak np. maksymalna liczba szwów kopmbinezonu czy to, na ile centymetrów ponad kołnierz może wystawać zamek. Kolejne regulacje są zwykłe odpowiedzią na przeróbki mające dać nieuczciwą przewagę. Wystarczy bowiem np. nieco zwiększyć obwód szyi w kombinezonie i odpowiednio poprowadzić szew, by zawodnik podczas lotu frunął z „poduszką powietrzną” na plecach.

Z paliwem Dynamic zima Cię nie zaskoczy.
Ciesz się pewnym rozruchem silnika
i efektywną jazdą w każdych warunkach.

PrzeSKOCZ na zimowe paliwo

Dynamic



Generalny Sponsor Polskiego Narciarstwa





Zima to czas, w którym kierowcy powinni szczególnie zadbać o swoje samochody. Niska temperatura oraz zmienne warunki pogodowe sprawiają, że właściciele aut dostosowują swoje pojazdy do zimowych okoliczności. W tym czasie warto również zadbać o odpowiednie paliwo

Paliwa LOTOSU zadbają o auto zimą

W niskich temperaturach olej napędowy w naturalny sposób zaczyna mętnieć. W bardzo mroźne dni proces ten może zwiększyć zużycie paliwa lub nawet uniemożliwić rozruch. Dlatego olej napędowy produkowany w gdańskiej rafinerii, który jest dostępny na stacjach LOTOSU, zawiera dodatki ułatwiające bezproblemową jazdę.

Zimą przy wyborze oleju napędowego warto zwrócić uwagę na tzw. temperaturę mętnienia oraz temperaturę zablokowania zimnego filtra (CFPP). W Polsce, zgodnie z normą, w okresie zimowym CFPP limitowany jest na poziomie maksymalnie -20°C . Natomiast najbardziej wymagający klienci na stacjach sieci LOTOS znajdą również arktyczny olej napędowy premium Dy-

namic, który gwarantuje CFPP do -32°C oraz temperaturę mętnienia do -22°C . Ten drugi parametr gwarantowany jest tylko w arktycznym oleju premium (a nie w paliwie standardowym, gdzie temperatura mętnienia nie jest limitowana, a typowe wartości tego parametru wahają się w granicach od -9 do -7°C). Dlatego podczas srogich mrozów warto stosować



Dynamic, który zmniejsza ryzyko blokady filtra paliwa przez kryształy parafin.

PALIWA PREMIUM Z DODATKAMI

Oleje napędowe Dynamic zawierają także dodatki uszlachetniające. Depresatory – dodawane do oleju od początku października do połowy kwietnia – sprawiają, że w niskich temperaturach naturalny proces mętnienia paliwa jest utrudniony. Dzięki temu filtr paliwa łatwiej poradzi sobie z przepływem mniejszych kryształów parafin. Inne dodatki – WASA – spowalniają opadanie na dół zbiornika już skrzystalizowanych parafin. To ważne, bo paliwo zasysane jest z dołu zbiornika i jeśli jest tam warstwa parafin, to filtr może szybko się zapchać.

Oprócz tego przez cały rok do olejów napędowych dodawane są biocydy, które hamują rozwój bakterii i innych mikro-

organizmów w zbiornikach. Powstające z nich osady również mogą zatkać filtry. Poza tym paliwa Dynamic mają pakiet dodatków, np. detergentów myjących silnik, antykorozyjnych, przeciwpieńnych (oleje napędowe). Gdyby nie było tego ostatniego, piana uniemożliwiłaby zatankowanie całego baku. Bez dodatków myjących w komorach spalania powstawałyby nagary (osady) obniżające sprawność silnika.

TRZY SŁOWA O BENZYNIE

W przypadku benzyn zwiększa się prężność tego paliwa przez dodanie większej ilości komponentów lekkich, np. butanu. Wyższa prężność benzyny w jesienno-zimowym okresie pozwala bezproblemowo uruchomić silnik w niskich temperaturach. Latem prężność par może wynieść maksymalnie 60 kPa, a w okresie zimowym parametr ten osiąga maksymalnie 90 kPa.

JAK DBAĆ O AUTO ZIMĄ?

W sytuacji, kiedy mamy do czynienia z niskimi temperaturami, kierowcy powinni pamiętać o kilku istotnych zasadach tankowania samochodu. Po pierwsze, warto tankować do pełna, ponieważ ogranicza to skraplanie się wody na ściankach zbiornika paliwa, zapobiegając jego korozji. Co więcej, właściciele aut z silnikami Diesla przed pierwszymi mrozami powinni zadbać o pełen bak paliwa o parametrach zimowych, gdyż nawet domieszka paliwa letniego (które było tankowane przed 1 października) zimą, gdy temperatura spada poniżej 0°C, może zaszkodzić układowi paliwowemu. Co oczywiste, warto też w miarę możliwości trzymać samochód w garażu lub miejscu osłoniętym od wiatru, co zmniejszy ryzyko wychłodzenia paliwa.



Z prof. Anną Kosterą-Pruszczyk,
kierownikiem Katedry i Kliniki Neurologii WUM
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Jak najszybciej rozpocząć leczenie

KATARZYNA PINKOSZ: W ostatnich dniach pojawiła się bardzo dobra wiadomość: do panelu badań przesiewowych noworodków zostało dołączone badanie w kierunku SMA (rdzeniowego zaniku mięśni), o co od dawna występowali zarówno środowisko ekspertów, jak i pacjenci. Dlaczego jest to tak ważne badanie?

PROF. ANNA KOSTERA-PRUSZCZYK: To decyzja, którą wszyscy neurologi i rodziny pacjentów z rdzeniowym zanikiem mięśni przyjęli z ogromną radością. Dzięki niej co roku kilkadziesiąt dzieci w Polsce, u których rdzeniowy zanik mięśni zostanie rozpoznany dzięki badaniom przesiewowym, zyska możliwość rozpoczęcia leczenia farmakologicznego w okresie przedobjawowym – czyli zanim pojawią się nawet najdrobniejsze objawy choroby. W przypadku rozpoczęcia leczenia w okresie przedobjawowym uzyskujemy największą skuteczność. Dla znakomitej większości dzieci oznacza to, że będą mogły normalnie żyć, być sprawne ruchowo. To najlepszy scenariusz w medycynie, który jeszcze kilka lat temu był trudny nawet do wyobrażenia. Spełniają się marzenia wszystkich, którzy leczą SMA. Zmienia się na lepsze życie dzieci, które przyjdą na świat, i ich rodzin.

Czy to oznacza, że dzieci, które jeszcze kilka lat temu były skazane na głęboką niepełnosprawność, będą mogły dzięki wczesnemu rozpoznaniu i rozpoczęciu leczenia żyć tak jak zdrowi rówieśnicy?

Zarówno z badań klinicznych jak i z publikacji naukowych oraz doświadczeń krajów, w których zaczęto już leczyć dzieci w okresie przedobjawowym, wynika, że takie postępowanie jest w pełni skuteczne i przynosi najlepsze wyniki.

SMA jest chorobą uwarunkowaną genetycznie, która może ujawnić się w każdym wieku, jednak w najcięższej, ostrej postaci (SMA 1), rozpoczyna się w pierwszych miesiącach życia. Bez leczenia prowadzi do bardzo głębokiej niesprawności, dzieci nie nabywają umiejętności ruchowych, zamiast tego tracą siły: nie siadają, nie raczkują, nie wstają. Zanik dotyczy mięśni szkieletowych, słabną też mięśnie oddechowe; często już pod koniec pierwszego roku życia pojawia się niewydolność oddechowa i konieczność wsparcia oddechowego. To choroba rzadka; polskie badania epidemiologiczne wskazują, że występuje ona z częstością 1 na 8,3 tys. narodzin. Co roku rodzi się w Polsce 50–54 noworodków z SMA, większość z typem 1 choroby, czyli tym, w którym objawy pojawiają się już w pierwszych miesiącach życia.

Od dwóch lat w Polsce bardzo dobrze funkcjonuje program leczenia SMA, jednak w ostatnim czasie pojawiają się nowe terapie w leczeniu tej choroby, m.in. terapia genowa. Czy jest niezaspokojona potrzeba medyczna, by ją wprowadzać?

Zdecydowanie możemy mówić o sukcesie leczenia pierwszym lekiem, który został zarejestrowany do leczenia tej choroby; dziś w Polsce już ok. 75 proc. chorych jest leczonych farmakologicznie. To zarówno dzieci, jak i dorośli. Jednak zawsze, gdy pojawiają się nowe leki, jest dla nich miejsce. To jednak kolejne wyzwanie: trzeba zdefiniować, jakie grupy pacjentów będą odnosiły największe korzyści z poszczególnych terapii.

Dla rodziców terapia genowa wydaje się bardzo ciekawą opcją budzącą nadzieję: wystarczy ją podać jedynie raz.

W ostatnich latach bardzo dużo dzieje się w terapii SMA. Lek, który dziś

stosujemy w Polsce, został zarejestrowany w Europie w 2017 r. Terapia genowa została zarejestrowana w Europie w ubiegłym roku. Trochę łatwiej mówić nam o terapiach, które są stosowane od wielu lat, a obserwacja pacjentów była możliwa przez długi okres. W przypadku SMA 1 kluczem do skuteczności każdej terapii jest bardzo wczesne jej rozpoczęcie, ponieważ w związku z toczącymi się procesami chorobowymi, z narastającym zanikiem mięśni, żaden ze znanych leków nie jest w stanie odwrócić wszystkiego, co zabrała choroba, wszystkich objawów, które się pojawiły. Dlatego największą szansą dla dzieci z SMA jest możliwość bardzo szybkiego rozpoznania i niemal natychmiastowego rozpoczęcia terapii.

Jak działa terapia genowa? Jedno podanie faktycznie może spowodować, że dziecko nie będzie miało objawów choroby?

Terapia genowa opiera się na wykozystaniu tzw. wektora wirusowego, czyli specjalnie przygotowanego wirusa, który jest swego rodzaju „kurierem” wprowadzającym do komórek informację genetyczną: kopię genu SMN, którego brak powoduje objawy choroby. Pozwala to na syntetyzowanie brakującego białka, co sprawia, że komórki ruchowe rogów przednich rdzenia, tzw. motoneurony, mogą podejmować swoją funkcję, poprawiając działanie mięśni. Jest to terapia jednorazowa o innowacyjnym mechanizmie działania. Dzisiaj nie jest ona w Polsce refundowana.

Jak jednak wspominałam, najważniejsze w przypadku każdego leczenia jest jak najszybsze jego rozpoczęcie, ponieważ leczenie w zaawansowanych okresach SMA nie cofa wszystkich objawów choroby.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



**Z Kacprem Rucińskim, członkiem Rady
Strategicznej Fundacji SMA**

rozmawia Katarzyna Pinkosz

Coraz bliżej pokonania choroby

KATARZYNA PINKOSZ: Jak sytuacja pacjentów zmieni się po wprowadzeniu badań przesiewowych w kierunku SMA?

KACPER RUCIŃSKI: Będziemy coraz bliżej pokonania choroby, przypadki ciężkiego przebiegu SMA będą przechodziły do historii. Oczywiście osoby, które zostały diagnozowane wcześniej, będą nadal żyły z tą chorobą, jednak w przyszłości nie będzie występować ciężka niepełnosprawność: niemożność samodzielnego chodzenia, siedzenia, trudności z oddychaniem, przełykaniem, życie w całkowitej zależności od innych osób. Dzięki badaniom przesiewowym i wczesnemu rozpoczęciu leczenia mam nadzieję, że do takich sytuacji nie będzie dochodziło.

Podczas niedawnych międzynarodowych warsztatów na temat SMA często pojawiało się sformułowanie „niezaspokojona potrzeba medyczna”. Czy ona występuje, skoro od dwóch lat prowadzony jest program leczenia SMA w Polsce?

To na pewno jeden z najbardziej ambitnych programów leczenia SMA na świecie. Zawsze jest jednak miejsce na kolejne leki, zwłaszcza takie, które przynoszą korzyści, w porównaniu z już istniejącymi. Terapia genowa jest leczeniem podawanym jednokrotnie. Jeśli faktycznie będzie miała skuteczność mierzoną w dekadach, jak to się zakłada, to dziecko będzie żyło jak zdrowe, bez konieczności przyjmowania co cztery miesiące leczenia w postaci wlewu dokanałowego i bez poczucia choroby.

W innych krajach terapia genowa jest już dostępna?

Tak, poprzez różne mechanizmy, np. wczesnego dostępu, czasem jest to już normalna refundacja. W niektórych krajach decyzja wkrótce zostanie podjęta. Pacjenci mają już dostęp do leczenia m.in. w Austrii, Czechach, we Francji, w Holandii, Niemczech, Portugalii, na Słowacji, we Włoszech.

Terapię genową można stosować u wszystkich dzieci z SMA?

Nie. SMA jest ciężką chorobą, nie jest możliwe wyleczenie, jeśli doszło już do rozwinięcia się poważnych objawów. Mechanizm choroby jest taki, że zaczyna się od degeneracji motoneuronów, czyli neuronów sterujących mięśniami, które słabną i nie są w stanie przewodzić sygnałów do mięśni, przez co nie są one

pobudzane, słabną i zanikają. Leczenie trzeba wprowadzić jak najszybciej, zanim motoneurony stracą swoją funkcję. Terapia genowa ma tę korzyść, że działa błyskawicznie, podnosi poziom brakującego białka w ciągu kilku dni po podaniu; w przypadku pozostałych leków trwa to sporo dłużej. Jej podanie ma sens na początkowym etapie choroby – widzimy dużo lepszą odpowiedź na takie leczenie w ciągu pierwszych kilku miesięcy od pojawienia się pierwszych objawów SMA, bez względu na wiek dziecka. Przed wprowadzeniem terapii w Polsce niezbędne będzie zbudowanie konsensusu medycznego w odniesieniu do tego, które dzieci powinny leczenie otrzymywać.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



**Stanisław Maćkowiak,
prezes Federacji Pacjentów Polskich**

Terapia genowa SMA to wysoce innowacyjna, przełomowa terapia, która pozwala na wyleczenie choroby. Warto podkreślić, że daje ona szansę nie tylko na leczenie, lecz także na wyleczenie choroby. To niezwykle ważny element, którego wcześniej nie było. Finansowanie tego typu terapii musi następować ze środków publicznych. To forma wyrównania szans chorych na choroby rzadkie w stosunku do osób mających schorzenia populacyjne. W Polsce możliwość finansowania

tę innowacyjną terapię daje nowo utworzony Fundusz Medyczny. Są w nim wydzielone środki, które będą przekazywane na refundację innowacyjnych leków dla chorych na choroby rzadkie. To szansa, by poprawić opiekę nad osobami z chorobami rzadkimi. Czekamy też na zapowiadane wejście w życie Narodowego Planu dla Chorób Rzadkich, w którym jest system wskazówek do budowy systemowej opieki i zapewnienia bezpieczeństwa osobom z chorobami rzadkimi.



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Sól ziemi ruskiej

Kiedy myślimy o soli, od razu przed oczyma staje żupa w Wieliczce. Nie do końca prawdziwie, bo kopalnia owa, uważana za jeden z cudów świata, nie była jedynym miejscem, gdzie pozyskiwano surowiec będący nie tylko przyprawą, lecz także środkiem konserwu-

kto zdaje sobie sprawę, że aż do końca XIX w. całe pogórze karpackie pełne było studni i dymiących warzelnii soli. W niektórych miejscach czerpano solankę nawet w okresie międzywojennym. Po większości źródeł nie ma już śladu, aczkolwiek w kilku miejscach – np. w Sołonce pod Rzeszowem – odkopano dawną studnię i zbudowano kaskadę solankową.

Ruskie żupy działały jeszcze wtedy, kiedy o Wieliczce nikt nie słyszał – sól z solin halickich wywożono do Sandomierza i Kijowa już w XII w. Po przyłączeniu Rusi Halickiej do Polski stały się one monopolem królewskim. A spośród wielu ośrodków pozyskiwania na uwagę zasługiwały dwa – Tyrawa Solna koło Sanoka, gdzie do dziś znaleźć można źródła solanki, i Kałusz – na południe od Lwowa. W tym ostatnim już w XV w. miejscowy pleban otrzymał przywilej na zbudowanie warzelni. W 1553 r. były ich dwie, w 20 lat później – trzy. Handel solą stał się podporą ekonomiczną miasteczka, które w XVII w. było już dużym ośrodkiem. Podobnie jak w Wieliczce znajdował się tam też zamek żupny, z którego nadzorowano handel i produkcję surowca. W 1771 r. według lustracji był on zrujnowany – parkany na wałach popalone i przegniłe, w dobrym stanie pozostawała brama, gdzie stacjonowali żołnierze, na dziedzińcu znajdowała się rezydencja, obok niej oficyna, spichlerz i stajnia. Do dzisiejszych czasów nie pozostał po tych zabudowaniach żaden ślad.

Żupa w Kałuszu przetrwała rozbiory; od razu przejęli ją Austriacy. I jak zwykle zastosowali wymuszenia rozbójnicze – przymusowo wykupili na własność wszystkie najważniejsze dobra i włości, w których znajdowały się soliny; następnie podzielili je na trzy okręgi, aby czerpać ogromne zyski

z monopolu solnego obejmującego 26 wielkich warzelnii.

Jak wyglądało pozyskiwanie soli z solanek? Wcale nie tak prosto, jak można by sądzić. Przede wszystkim najpierw należało solankę oczyścić – w tym celu mieszano ją z wapnem w stosunku 10 do 1. Następnie nalewano w ogromną, żelazną panew wiszącą nad ogniem – osobiwą, bo podłużną, o długości ok. 14 metrów, szerokości ok. 7 metrów i głębokich do 4 metrów. Palono pod nią drewnem, węglem lub torfem. Najpierw w czasie podgrzewania zbierały się szumowiny, które usuwano. Ciecz wrzała później w temperaturze powyżej 70 st. C, a kiedy wyparowywała, zgarniano osadzającą się na dnie krystaliczną sól. W panwi pozostawały jeszcze resztki – ługi, których można było użyć do kolejnego warzenia lub do produkcji tzw. soli glauberskiej służącej m.in. jako nawóz.

Pozyskaną w ten sposób sól należało teraz wysuszyć. Do tego z kolei służyły suszarnie, w których wysypywano surowiec na żelazne blaty, pod którymi przechodziły gazy i dym z pieców. Po wysuszeniu pakowano ją w beczki zwane solówkami i kierowano do sprzedaży.

W Polsce nie zachowała się ani jedna warzelnia soli z XVII czy XVIII w. Jedyna przemyślowa, z pierwszej połowy XIX w., znajduje się w Ciechocinku; podziwiać możemy tam wszystkie stare technologie pozyskiwania soli, gdyż zakład działający nieprzerwanie jest wielkim unikatem w skali regionu. Podobna warzelnia znajduje się w Drohobyczu na Ukrainie, jest jednak bardzo zrujnowana i zaniebdana. Proste zaś, drewniane studnie solankowe i warzelnie, które znajdowały się przy większych wsiach, znikły na zawsze z krajobrazu naszych Karpat i pogórzy bieszczadzkich. ©



FOT. MALPOLSKADUNIE.PL



jącym żywność. Daleko większe wzięcie miała sól z żupy w Bochni; w XVII w. w Warszawie szlachcic, który nabywał dwie beczki soli wielickiej, mógł za to kupić tylko jedną beczkę bocheńskiej. Dużą konkurencją dla jednej i drugiej była zaś sól z Rusi Czerwonej, pozyskiwana z terenów Pogórza Karpackiego – od Bochni przez Sanok, Przemyśl, Sambor, Delatyn, Kołomyję do jednego z najważniejszych miejsc – Kałusza.

Sól ową wydobywano innymi metodami niż w Wieliczce. Przede wszystkim nie było tam kopalń, ale studnie, z których czerpano solankę i następnie wygotowywano ją w warzelniach, uzyskując gotowy surowiec, czasem znacznie lepiej oczyszczony niż sól wielicka. Mało

SKANDYNAWSKI SPOSÓB NA ŚLEDZIA ZDRADZA JERZY GRUNWALD

Ponieważ mieszkałem bardzo długo w Szwecji, chcąc nie chcąc, próbowałem różnych tubylczych specjałów. Śledzie po skandynawsku przypadły mi do gustu, choć byłem bardzo sceptycznie nastawiony. No bo jak można jeść śledzia na słodko? Nic bardziej mylnego – jest świetny!

Składniki:

- 8 opłukanych filetów śledzia à la matias
- 100 ml octu (10-procentowego)
- 200 g cukru
- 300 ml wody
- 2 średnie czerwone cebule
- 1 cienko pokrojona w plasterki marchew
- 12–15 ziarenek ziela angielskiego
- 3 liście laurowe

Jerzy Grunwald jest wokalistą, kompozytorem i producentem muzycznym.

Przygotowanie:

Do garnka wkładamy wszystkie składniki, oczywiście oprócz śledzi. Doprowadzamy do zagotowania i gotujemy 3 minuty, po czym odstawiamy zalewę do ostygnięcia.

Śledzie kroimy według uznania na paski ok. 3 cm. Potem do słoika wkładamy kawałki śledzi marchewkę, cebulę, liście laurowe, ziele angielskie i zalewamy ostudzoną zalewą.

Zakręcamy słoik i wstawiamy do lodówki. I tutaj następuje najgorszy moment, ponieważ te śledzie muszą być w lodówce minimum 24 godziny. Trzeba

wytrzymać! Najlepiej trochę dłużej, bo najsmaczniejsze są po dwóch dniach. Smacznego! ©©

oprac. raw



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Śpij dobrze



FOT. ANDRZEJ STOK

Bezsenność jest, jak wiadomo, problemem naszej zbyt zaawansowanej cywilizacji. Połowa ludzkości nie może spać, reszta śpi lepiej lub gorzej, rzadko zastanawiając się nad tym, na czym co wieczór położyć zmęczone dniem pracy członki. Kupujemy jakiś materac i o sprawie zapominamy. Przypominamy sobie dopiero, gdy dopadnie nas ból kręgosłupa. Gdy pewien akwizytor odkurzaczy postraszył mnie milionami roztoczy zaludniającymi materac, na chwilę postanowiłam, że (rezygnując z kupna odkurzacza) będę wietrzyć, odwracać, odkurzać. W postanowieniu nie wytrzymałam, z roztoczami żyję w przyjaźni. Pewnie dopiero jak sprężyny zaczną wbijać mi się w plecy, przypomnę sobie, że jakość snu zależy od jakości materaca.

A przecież wieki całe sypiano na byle czym. Na workach wypełnionych sianem, suchymi liśćmi, trawą, grochem. Na skórach zwierząt. Rzymianie wprowadzili do wyściełania urozmaicenie w postaci piór. To dla bogatych, dla plebsu były worki wypełnione trzcina lub sianem. Bogatsi zamiast worka miewali aksamity i jedwabie, a wypełnieniem były końskie włosie, mata kokosowa lub trzcina. Sprężyny to dopiero połowa XIX w.

Potem atrakcji było coraz więcej. Wymyślano coraz bardziej pomysłowe urządzenia usypiające.

W głębokich latach 80. w Nowym Jorku spodobała mi się (na przecenie) pościel. Już była prawie zapakowana, gdy ekspedientka od niechcenia rzuciła: – Mają państwo łóżko wodne oczywiście? Zamarłam. – Łóżko wodne? Nie miałam pojęcia, że coś takiego w ogóle istnieje, a co dopiero, żeby je mieć... Tymczasem takie łóżka wypełnione wodą były wówczas modnym w Ameryce wynalazkiem, mającym zapewnić optymalne warunki dla kręgosłupa. Pod warunkiem że strop wytrzyma, ponieważ łóżeczko może ważyć nawet 800 kg...

Współczesna materacologia to już odrębna dziedzina specjalistycznej wiedzy. Proszę zapomnieć o byle gąbce. W ogóle o plastiku. Pod pupą zmęczonego człowieka XXI w. znajdują się dziś materie szlachetne: wełna z alpaki, merynosów, lamy, len, bawełna bio. Sypialniane Rolls-Royce to szwedzka firma Hastings. Samo łóżko wykonane jest z drewna wolno rosnących północnych sosen, wełna pochodzi z owiec merynosów. Górne warstwy materaca zrobione są z bawełny i wełny, uszywane końskim włosiem. Na hastingisie podobno nie sposób nie zasnąć, o ile wydatek 25 tys. euro nie spędzi nam snu z powiek. ©©



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Bardzo ciemny obraz

W lutym oglądałem filmy z przemówieniami licealistów. Moja fundacja organizuje konkurs retoryczny dla uczniów i musimy wyłonić finalistów. W tym roku mamy rekord – do obejrzenia 240 filmów. Karol Marks twierdził, że ilość przechodzi w jakość. W tym przypadku ma rację. Wiele przemówień było na wysokim poziomie i lubię myśleć, że to w jakimś stopniu efekt naszej działalności. Zarazem jednak te wystąpienia wpędziły mnie w dość poważne przysnęienie.

Ponieważ nie zadajemy konkretnego tematu, młodzi mówią o tym, co im w duszy gra. I w tym roku zauważyłem drastyczną zmianę tematyki. Do tej pory dominowały sztampowe przemówienia o umierającej Ziemi (niełatwo wygłosić dobrą mowę ekologiczną, tak jak trudno wyróżnić się w tłumie) oraz motywacyjne – przekonujące, że wszystko zależy od nas i każdy może zrealizować najbardziej fantastyczne marzenia. Z jednej strony był – czasem niezbyt autentyczny – niepokój o planetę, ale z drugiej buzowała młodzieńcza wiara, że wszystko jest możliwe. W tym roku nastąpiła gwałtowna zmiana tonacji. Obraz, jaki wyłania się z przemówień młodych ludzi, jest ciemny. Bardzo ciemny.

Każdy normalny człowiek źle znosi pandemię, ale oni mają poczucie, że zabiera im się najlepsze lata życia. Ci z trzyletnich liceów naprawdę mają kiepską passę. Pierwszy rok – strajk nauczycieli. Drugi rok – pandemia. Trzeci rok

– pandemia. Ale zmęczenie zdalną nauką przebija ze słów niemal wszystkich. Podobnie jak brak normalnych relacji, które w tym wieku są pełnym życia oceanem. Dzisiaj ten ocean stał się kałużą.

Pandemia jeszcze mocniej wpełchnęła nastolatków w wirtualny świat. I, o dziwo, oni i w nim cierpią. Motyw numer jeden, który przejawiał się najczęściej w wystąpieniach, to lęk przed ocenianiem. Każdy gest, każde słowo czy zdjęcie natychmiast wzbudza krytykę, którą oni znoszą coraz trudniej. Wszyscy mamy z tym problem (ja na pewno), ale nikt nie jest tak na nią wystawiony jak oni. Głupią odpowiedź na lekcji w moich czasach kwitowano krótkim rechotem, dziś wyśmiewa się ją na czatach towarzyszących zdalnej edukacji. Każdy może zostać memem czy gifem. Wiele wystąpień to coś na kształt apeli, by ważyć słowa i pamiętać, że one ranią. Krytyka może i jest wirtualna, ale rany są jak najbardziej realne.

Z wielu przemówień przebija znużenie mediami społecznościowymi. I nie chodzi o utyskiwania intelektualistów, że ogłupiają. Raczej to opowieści skazańców – wpakowanych do więzienia, z którego nie da się wyjść, choć niby można. Skądinąd to zapewne czują nie tylko młodzi, a na pewno poczułem ja, słuchając ich wystąpień. Naprawdę, nasze dzieci cierpią. Osuwają się w coś niedobrego. Świata nie zmienimy, Instagrama nie skasujemy, ale niech wrócą do normalnej szkoły. Potrzebują tego. ©©



MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Szejk pilnie poszukiwany

Małgośka – mówią mi – ty w reżimowym piśmie pracujesz. To taki test na zachowanie zimnej krwi, jaki zdarza mi się przechodzić. Polemika z ludźmi otumanionymi nie należy do zajęć przyjemnych, ale raczej do praktyk pokutnych. Poza tym jak przekonać kogoś, kto latami poddawany był profesjonalnej obróbce psychologicznej, a teraz musi wygadać, czyli obrazić? I choć od dziecka marzy mi się, aby raz w życiu zachować się jak Miss Piggy, tzn. jedną ręką zamasyżować odgarnąć włosy, a drugą sprawnie przylutować jakimś Kermitowi, to zawsze się opanowuję. Wiadomo: damy panują nad sobą w przeciwieństwie do świnek i LEmpartów.

Zajmijmy się jednak mediami autentycznie flirtującymi z reżimem. Codziennie zanurzam się w prasę hiszpańską i dlatego ze zdziwieniem odkrywam wydarzenia ze świata przemilczane przez polskie media głównego nurtu. Dlaczego selekcjonują nam doniesienia? Ponieważ wszystko, co mogłoby wzmacniać narrację prawicy, należy zataić! W końcu od doboru przedstawionych faktów zależy interpretacja rzeczywistości, a oni już dbają o to, żeby wyinterpretować z niej to, co zgodne z obowiązującą linią partii (opozycyjnej). Przykłady mogłabym mnożyć, ale sięgnijmy po ostatni – opisany przeze mnie artykuł „Time’a” potwierdzający spisek wokół Trumpa. Mówiło o nim

przez trzy dni pół Hiszpanii i – jak się domyślam – kawał świata, ale u nas cisza. A gdy o tym napisałam, dla jednych mój tekst okazał się objawieniem, dla innych – manipulacją. Ten dysonans zaczyna być dla mnie porażający, bo to znak, że z premedytacją selekcjonuje się fakty, głośnie teksty, aby tylko Polacy nie odkryli realnych rozmiarów zakusów globalistów i eurokołchozu. Innym razem wystarczy zaś wziąć do ręki „El País”, zwany biuletynem socjalistycznej PSOE, aby ze zdumieniem odkryć, że martwi się o stan demokracji w Polsce i „torturowanie” Polek w identycznym tonie jak nasze mainstreamowe dzienniki. No cuda! „Wyborcza” i „El País” wychodzą na antypodach Europy, a mówią jednym głosem! I wolne media strajkują? Wolne żarty! Co najciekawsze, w zarządzie grupy PRISA (właściciela „El País”) zasiada szejk katarski i choć kontroluje ledwie 6 proc. akcji, to – jak Hiszpanie dobrze wiedzą – przekłada się to na zmwę milczenia dziennikarzy wokół kwestii torturowania gejów w Katarze i dyskryminacji kobiet, o drastycznych prześladowaniach chrześcijan nie wspominając. A przecież misją „El País” jest obrona kobiet i LGBT! No, ale gdzie reżimowi katarskiemu do reżimu Kaczyńskiego! Niechby wreszcie przez wsadził jakichś swoich szejków do zarządu wielkich mediów. Okazałoby się wtedy, że nasz reżim to jednak jedna wielka fatamorgana. ©©



JOANNA SIEDECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Stary ramol

Pluton egzekucyjny”, jak nazywano zarząd prezesa Kruczkowskiego (w skład którego wchodził Jerzy Putrament, Janina Broniewska, Stanisław Ryszard Dobrowolski), rządził Związkiem Literatów wyjątkowo ciężką ręką. W październiku 1956 r. pisarze wystawili mu więc rachunek i w wolnościowej, odwilżowej atmosferze, przy sprzeciwie jedynie organizacji partyjnej, wybrali na prezesa głównego wtedy liberała, Antoniego Słonimskiego. Jego krótka, zaledwie trzyletnia prezesura

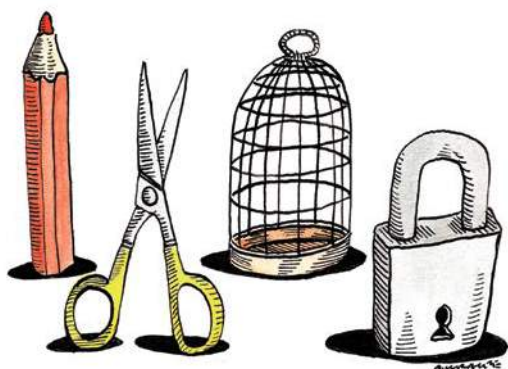
Zbyszka Bednorza (w sprawie najbardziej poszkodowanego, skazanego na dożywocie Brauna, któremu wybito w śledztwie oko, prezes Słonimski interweniował osobiście u ministra sprawiedliwości). Występowali o ich rehabilitację, przywracali członkostwo w ZLP, pomagali materialnie – wychodzili bowiem schorowani, goli i bosi. Dostawali więc zasiłki, bezzwrotne pożyczki, ryczałty na leczenie sanatoryjne. Jerzy Braun dostał rentę i mieszkanie.

Utworzono też komisję weryfikacyjną, która nie tylko przyjmowała z powrotem niesłusznie usuniętych, np. Wojciecha Bąka, Władysława Grabskiego, lecz także utrudniała akces do ZLP, znosząc kategorię kandydata, przyjmując od razu na członka jedynie autorów co najmniej dwóch liczących się książek, i – co wywołało największą wściekłość partyjnych – zlikwidowano utworzone na wzór sowiecki Koło Młodych, przepędzając „gówniarczyków”, jak nazywał ich Słonimski, z czerwonymi legitymacjami, ale bez dorobku. Starano się też otwierać Związek na Zachód, to wtedy właśnie pojechał po raz pierwszy do Paryża Zbigniew Herbert.

Prezesurę Słonimskiego zaakceptowali komuniści pod presją Października, ale gdy tylko go odrzabili, poczuł się w siodle, przestał być potrzebny. Związek inżynierów dusz nie mógł wymknąć się im z rąk, stać się ośrodkiem wpływów rodzącej się opozycji. Coraz częściej więc atakował Słonimskiego nie tylko nienawidzący inteligencji Gomułka, lecz także MSZ zaniepokojone jego „nieodpowiedzialnymi, antysowieckimi wystąpieniami” – listem do pisarzy węgierskich,

solidaryzującym się z węgierską rewolucją, telegramem gratulacyjnym do Borysa Pasternaka, laureata Nobla za „Doktora Żywago”, zmuszonego przez ekipę Chruszczowa do zrzeczenia się „wrażej” nagrody, słowami na Kongresie PEN Clubów w Londynie („Czy w krajach tłumiących wolność PEN Cluby nie powinny być zamknięte?” – zapytano go. „Należałoby tam zamknąć nie PEN Cluby, ale rządy” – odpowiedział. Po powrocie z Leningradu, na pytania dziennikarzy, co mu się tam najbardziej podobało, wypalił: „Petersburg”. Szybko więc dymisji Słonimskiego chcieli również pisarze. Związek utrzymanek władzy był na jej garnuszkę, zależał wyłącznie od jej dotacji, opłacały mu się dobre z nią układy, a za prezesurę „liberała” ta zmniejszyła „obrywy z pańskiego stołu” – przydziały mieszkań, talonów na samochody, zablokowała prace nad projektem emerytur i ubezpieczeń dla twórców. Już w następnych wyborach, w 1959 r., większość głosów wybrali więc na prezesa posłusznego Iwaszkiewicza, który potrafił dogadywać się z władzą i cieszył się jej zaufaniem. Słonimski przeżył na pewno porażkę, mimo to żartował na odchodnym: „Jarosławie, bierz to mienie pożydowskie”. „Pontyfikat Iwachy” – jak mówił – zlikwidował wszystkie wprowadzone przez niego zmiany. Do zarządu wrócili staliści, Kruczkowski i Putrament, reaktywowano Koło Młodych. Mimo to nie odpuścił, został teraz, jak pisał o nim SB, „wodzirejem i prowodyrem rodzącej się opozycji”, inicjatorem Listu 34 i innych. „Stary ramol ciągle w Związku bruździ” – skarżył się Iwaszkiewicz. I tak było rzeczywiście. Do końca. ©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



Ostatni rycerze wolnego słowa

to jedna z najchłubniejszych kart zniewolonego Związku Literatów. Do swego zarządu dobrał wyłącznie cieszących się największym autorytetem: Pawła Jasienicę, Stefana Kisielewskiego, Marię Dąbrowską, Annę Kowalską. Zaczęli od „zmywania talerzy z krwią”, jak określił to Jerzy Zagórski, naprawiania, choćby częściowo, licznych krzywd, wyrządzonych literatom w okresie stalinowskim. Pomagali wyciągnąć z więzienia Jerzego Brauna, Antoniego Madeja, Tadeusza Kudlińskiego,

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Jak zatrzymać szaleńców? Zanim zrobimy sobie taką krzywdę, jaką zrobił sobie właśnie Teksas. Teksas ma swoich szaleńców i my mamy własnych. Naszym jest Morawiecki, który mówi (w obecnej sytuacji!), że priorytetem Polski jest klimat i odejście od węgla. Mam gdzieś jego motywację osobiste – czy on, tak jak Tusek, chce zrobić karierę za granicą, czy jest może zwyczajnie głupi i działa jako pożyteczny idiota... Szajs i obojętne. Ważne, że zamyka kopalnie, stawia wiatraki oraz każe ludziom likwidować piece na paliwo konwencjonalne i wymieniać te piece na takie, które mają sterowanie i wymagają... ELEKTRYCZNOŚCI. A co, gdy elektryczności zabraknie?

Teksas doprowadził się do sytuacji, w której z powodu „zielonej” energii giną ludzie. Zamarzają w domach, bo zamarzły „zielone” wiatraki, a wszystko w amerykańskim domu, z piecem włącznie, wymaga elektryczności. Bez prądu nie zadziała piec na gaz, na ropę, na pelet ani, klasyczna w Ameryce, pompa AC, która latem chłodzi, a zimą ma grzać. Bez prądu to wszystko nie działa.

Ja mam kominek i własne drewno (w PL i w USA), ale większość populacji nie stać na takie fanaberie. Większość z nas polega na dostawach prądu, które pozwalają uruchomić domowy piec lub zapewniają ciepły kaloryfer zasilany z elektrociepłowni. „Elektro” – słowo kluczowe.

Dlatego elektryczność nie może być zależna od klimatu! Powtórzę powoli: W naszej cywilizacji i przy naszej obecnej technologii elektryczność musi być zawsze dostępna, czyli nie może być NIGDY zależna od klimatu i pogody.



FOT. W. CEJROWSKI / D. B. MROZOWSKI

ZANIM

Teksas zrobił błąd – z powodów politycznych uzależnił swoje dostawy prądu od energii „zielonej”. Produkuje 25 proc. prądu na wiatrakach, co jest politycznie poprawne, a jednocześnie śmiertelnie niebezpieczne. Śmiertelnie! Brak prądu zabił wiele osób, a ponad połowę gospodarstw domowych cofnął do poziomu Trzeciego Świata. Ludzie siedzą w domach i grzeją się w salonie za pomocą ogrodowego grilla, w którym spalają kartonowe pudełka po przesyłkach z Amazona.

Przyszła mróz, wiatraki stanęły, panele słoneczne zamarzły i zabrakło prądu dla połowy mieszkańców. Teksas to był kiedyś stan wiodący i potężny. Do Teksasu przeprowadzali się ludzie z Kalifornii. Wiodący w skali świata producent i eksporter gazu i ropy, potężne rafinerie... Wszystko to na nic, gdy zaczniesz stawiać na wiatraki.

Zamarzły. W sieci są filmy, na których wiatrak (taki sam jak te w Polsce), zrobiony w Chinach, z tworzyw ropopochodnych jest polewany ropopochodnym odmrażaczem z helikoptera napędzanego paliwem ropopochodnym. To jest ta ich ochrona klimatu.

Ten sam błąd chcą nam zafundować Morawiecki i cała reszta Kumpi z Davos – Macron, Trudeau i głupek wio-

skowy o nazwisku Bill Gates. To, że ktoś jest bardzo bogaty, nie oznacza, że jest mądry czy kulturalny. (Pamiętaj Państwo procesy tego bardzo bogatego chama, który wyzywał swoje polskie pracownice?) Bill Gates jest zły, a do tego infantylny – widzieli Państwo jego „wykłady” dotyczące szczepionek, depopulacji planety oraz ochrony klimatu? Beznadziejne i głupie pogadanki, a do tego rekwizyty jak dla dzieci w przedszkolu – sam głupi i nas traktuje jak głupków.

Dlatego nie warto słuchać klimatycznych opowieści z Davos i trzeba usunąć klimatyczne priorytety polskiego rządu.

Wiatraki zabijają. A Polska, skoro ma węgiel, powinna zapewniać swoim mieszkańcom NIEPRZERWANE dostawy energii z węgla właśnie. Zamykanie kopalń i wygaszanie elektrociepłowni węglowych oznacza w konsekwencji zamarzanie ludzi takie jak w Teksasie. Należy polegać na tym, co jest, na zasobach własnych, skoro są. Można modyfikować piece węglowe, by spalały lepiej i kopciły mniej – to się opłaca – ale likwidacja pieców i przejście na wiatraki... Teksas pokazał, czym to owocuje.

„Zielona” energia wcale nie jest zielona (paneły słoneczne i wiatraki zrobione z plastiku), a do tego jest droższa od kon-

wencjonalnej. W kogo to uderzy, gdy zaczniemy produkować kosztowny prąd z wiatraków zamiast taniego z węgla? Bogaty po prostu zapłaci trochę więcej i nawet nie zauważy, a biedny...

„Zielona” energia oznacza też sezonowe braki w dostawie prądu, a braki w dostawach oznaczają „planowe wyłączenia prądu”, który trzeba racjonować – tobie wyłączyć, aby wysłać innym. W tej chwili Teksas pożycza prąd z sąsiednich stanów, w których jest trochę cieplej, i dlatego „planowo” gasi się prąd w Nowym Meksyku, a nawet w Arizonie. Węgiel w elektrociepłowni pali się zawsze – niezależnie od mrozu na zewnątrz.

A do tego koszt społeczny „zielonej” energii: Dokąd chcecie wysłać polskich górników po likwidacji kopalń? Do montowania wiatraków? Wiatraki montowane są w Chinach.

Farm wiatrakowych nie popiera nikt, kto mieszka koło nich. Podobnie jak nikt, kto mieszka pod anteną 5G, nie popiera tej anteny. Oraz nikt nie chce mieszkać koło elektrowni atomowej! (Ty chcesz? No to nie mów, że to jest dobre i bezpieczne albo sam się tam wprowadź razem z Morawieckim.)

Jeżeli podoba nam się demokracja, czyli decyzje podejmowane większością głosów, to należy wiatraki wywalić do kosza, zanim spowodują jeszcze większe szkody. Zanim ta opętana ekipa klimatyczna doprowadzi Polskę do cywilizacyjnego upadku. Takiego jak w Teksasie, gdzie ludzie w zamrożonych domach z popękanymi rurami i bez prądu ruszyli do siedziby lokalnych władz, bo tam jeszcze były prąd i ciepło.

Wiatraki i panele słoneczne przestają produkować prąd wtedy, gdy jest najbardziej potrzebny – przestają, bo akurat wtedy zamarzają. ©©

TYGODNIK LIŚCICKIEGO

**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



~~709 zł~~

W PREZENCIE KSIĄŻKA

KS. PROF. WALDEMAR CISŁO
„IMIGRANCY U BRAM. KRYZYS UCHODŹCZY
I MĘCZEŃSTWO CHRZEŚCIJAN XXI W.”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

271,00 zł
OSZCZĘDNOŚĆ 438 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmgp.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl d661ad10ef



*Polska Grupa
Energetyczna*

www.gkpge.pl